W006

ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 10/601 1997

• « La Culture » • Revue mensuelle •

R. KACZMAREK: **LATEM ÓSMEGO ROKU**
S. STECKO: **JEDNAK NOWA GENERACJA ANKIETA „KULTURY"**
A. KORASZEWSKI: **O PERSPEKTYWACH INTEGRACJI Z UE**
St. LEM: **SCJENTOLOGIA**
A. MICEWSKI: **III RZECZPOSPOLITA PO TRZECICH WYBORACH**

SPIS RZECZY

Robert Kaczmarek: — *Latem ósmego roku* 3
Samanta Stecko: *Jednak nowa generacja (II) – Ankieta „Kultury"* 14
Mariusz Wilk: *Zapiski sołowieckie (IV)* 35

WIERSZE
Antoni Pawlak: *Powązki Travel (list do Andrzeja Saramonowicza)* 44
* * * 45
Elizabeth Barrett Browning: *Drogi miłości* 46

ARCHIWUM POLITYCZNE
Andrzej Koraszewski: *Uwagi o perspektywach integracji z Unią Europejską* 47
S.A.: *Notatki nordyckie* 61

Z PERSPEKTYWY POGRANICZA
Krzysztof Czyżewski: *Powrót Europy Środkowej* 62

SPRAWY I TROSKI
Ewa Berberyusz: *Kartki ze skażonej strefy* 71
Stefan Abner: *Wejście do Unii Europejskiej* . . . 80

KRAJ
SMECZ: *Z ukosa* 81

SĄSIEDZI
Witold Rodkiewicz: *Jubileusz paryskiej „Kultury" w Kijowie* 95
Bohdan Osadczuk: *Bilans lata: od Lublina do Lwowa* 107

KRONIKA KULTURALNA
Stanisław Lem: *Scjentologia* 114
– *Instytut Europy Wschodniej i Wschodnio-Środkowej we Fryburgu* 119
– *Niezwykła nagroda literacka* . . . 120
– *Konkurs Fundacji Roberta Boscha* 121
– *Konkurs na polską powieść* . . . 122

NOTATKI REDAKTORA 123

Ciąg dalszy na str. 160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik/Octobre 1997

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Muriel Allnutt, Londyn – dla uczczenia pamięci bohaterskich Lotników Polskich, poległych w Bitwie o Anglię – £ 20,00 F. 250,00

Zdzisław M. Bobrowicz, Princeton, N.Y. (USA) – po raz 4-ty – dol. 100,00 ..... F. 600,00

Wiesław K. Brodowski-Prus, Spartanburg, SC (USA) – kwiatki pamięci i ukochania na groby moich wspaniałych: Jędrusia Bobkowskiego, wspaniałego rotmistrza, malarza i pisarza – Józefa Czapskiego oraz mego umiłowanego 15-letniego braciszka Grzesia, zabitego w grudniu 1970 – dol. 34,00 ..... F. 204,00

Andrzej Brzeski, Davis, CA – pamięci Zygmunta Hertza, w 18-tą rocznicę Jego śmierci – dol. 100,00 ..... F. 600,00

Janusz A. Cyran, Gdańsk:

– Pamięci Michała Hellera ..... F. 200,00

– W 5-tą rocznicę tragicznej śmierci mojej Matki Heleny Parol ..... F. 200,00

Dla uczczenia pamięci Matki mojej, śp. Zofii Feliksy Goroszeniukowej, zmarłej w Warszawie 14.03.1997, syn Teodor z rodziną, Londyn – £ 50,00 ..... F. 500,00

Dla uczczenia mojej żony, śp. Murki, w rocznicę Jej śmierci 23.09.1996 – Eugeniusz K. Łazowski – dol. 30,00 ..... F. 180,00

Dla uczczenia pamięci mojej Siostry Antoniny, zmarłej 17.02.1997 w Ann Arbor, MI (USA) – przesyła Irena Thiel – dol. 500,00 ..... F. 3.000,00

Dla uczczenia pamięci Ojca, Igora Newerlego, zmarłego 19.10.1987 – w 10-tą rocznicę Jego śmierci – syn (Warszawa–Toronto, Canada) – dol. 100,00 ..... F. 600,00

Henryk Ratajczak, Paryż – po raz 4-ty ..... F. 500,00

Teresa Romer, Ste Eustache, QUE (Canada) – po raz 25-ty – dol. can. 20,00 ..... F. 86,00

DZIĘKUJEMY

Latem ósmego roku

Sygnały dotyczące polskiej zaradności dochodzą do nas w drodze do kraju, w Niemczech, gdzie zatrzymujemy się u znajomych. Nauczyciel z Hannoweru, od lat współpracujący z polskimi szkołami, jest pełen uznania dla ruchliwości kolegów z Wrocławia i Krakowa, energicznie zabiegających o kontakty ze szkołami niemieckimi. Zapytany o szanse nowych inicjatyw mówi, że w jego kręgu oferta polska nie znajduje już wielu zwolenników. Przemysłowiec z Hamburga ze swej strony wysoko ceni pracowników swej gdańskiej filii, w ogóle jest zdania, że Polacy wykazują większą przedsiębiorczość, niż Niemcy ze wschodnich landów. Nie zaprzecza, że na ocenę tę wpływa gotowość Polaków do pracowania za znacznie mniejsze pieniądze.

Na przejściu granicznym spotykamy się z nieprzyjemnym przejawem zaradności rodaków, kiedy z kolejki kilkudziesięciu pojazdów wyrywa się parę samochodów, zajeżdżając drogę reszcie wyczekujących. Podchodzę do jednego z zaradnych, pytam czy jego kolejka nie obowiązuje. Kierowca odpowiada, że jest strażakiem i jedzie do powodzi. Proszę o legitymację, ten ją okazuje: rzeczywiście, strażak. Jego osobowe volvo wypchane jest częściowo zapasowymi oponami, standardowym towarem prywatnego importu z Niemiec.

Turystyczna pocztówka

Po przekroczeniu granicy zatrzymujemy się w Łagowie, który w latach komuny cieszył się opinią doskonałego, z lekka snobistycznego letniska.

Z tarasów łagowskich willi wczasowicze obserwują ulicę, słychać język niemiecki, rosyjski i ukraiński. Zdaniem naszej gospodyni zarówno Niemcy, jak turyści ze Wschodu przybywają tu za interesem. Z tymi ostatnimi mamy trochę kłopotów, a to hałas w środku nocy, a to wolno puszczony, skaczący na dziecko pitbull – *on rebionok, igrat' chatieł.*

Wokół Łagowa senne wioski, smętnie sterczą fantomy zabudowań PGR-ów. Popadają w ruinę od czasu ich rozwiązania, czyli od paru lat zaledwie – co je odróżnia od budowli poniemieckich, które, odkąd sięgam pamięcią, zawsze były zaniedbane. Tymczasem wyruszamy na zwiedzanie niemieckiego wału obronnego. Przed wejściem do podziemnego bunkra przewodnik uprzedza: nie ma światła, korytarze kręte, trzeba mieć latarki. Oddychamy z ulgą, akurat mamy latarkę. Przewodnik nie traci werwy: trzymać się w grupie, inaczej wędrówka może być niebezpieczna, niedawno padły tu trzy trupy: harcerz, zmuszony przez instruktora do niebezpiecznych ewolucji, narkomanka, która szybowała w swoich omamach i jakaś ofiara kłótni, spalona żywcem przez kolegów. Przewodnikowi przerywa płacz małej dziewczynki, nie wejdzie, boi się. Także nasz syn traci odwagę, a my ochotę, w sumie wycofuje się parę osób. Nie zrażona większość podąża za przewodnikiem, zresztą w tym miejscu nie ma już wyboru: nie zwrócą za bilety.

Następny tydzień spędzamy w Krakowie. Zauważamy nowe supermarkety i drugiego McDonald'sa, silny rozwój sieci noclegowej w prywatnych kwaterach pod miastem, rozległe prace naprawcze na Wawelu i nową nawierzchnię na Karmelickiej. Odczuwamy spadek jakości potraw w kilku restauracjach, także zagranicznych, wszędzie kiepską kawę i niesmaczne lody w kawiarniach. Więcej niż w ubiegłych latach przypadków niechętnej obsługi, ludzie łatwo się denerwują, bywają opryskliwi. W banku urzędniczka na mój widok rzuca – czego pan chce, lecz uspakaja się natychmiast po mojej ostrzegawczej reakcji. Sekretarka prywatnego wydawnictwa, dokąd dzwonię z prośbą o połączenie z dyrektorem, nieoczekiwanie się obraża: skąd pan dzwoni, ja pana z niczym nie kojarzę. Odpowiadam, że mi to nie wadzi, ponieważ tak się składa, że nie z nią chciałem rozmawiać, tylko z dyrektorem. Mam wprawę w takich dialogach,

niczego bowiem nie zapomniałem z lat PRL, co pomaga niekiedy ujść cało także i na rynku.

W spółdzielni lekarskiej, dokąd udaję się z matką, lekarz siada do nas tyłem, rozmawia przez ramię nie kryjąc niesmaku do wykonywanego zawodu, z zadowoleniem stwierdza nieścisłości w zeznaniach zdezorientowanej pacjentki, na koniec krzyczy, że nie przygotowaliśmy się do wizyty. Zanim zacznie nas bić, wyprowadzam matkę i odbieram pieniądze, które w tej przychodni przezornie pobierają przed usługą. Zabiera mi to parę minut, w czasie których lekarz oddaje się rozmyślaniom, w następstwie czego mamy prawo do jego przeprosin. Dodać należy, że w tej samej spółdzielni inny specjalista zachował się normalnie, to znaczy zbadał, postawił diagnozę i zastosował odpowiednie środki.

Najtrudniejsze chwile przeżywam na skrzyżowaniach ze światłami, gdzie samochód otaczają mali żebracy z prośbą o wsparcie, za nic albo za ubrudzenie przedniej szyby. Są to dramatyczne sceny, z realnym niebezpieczeństwem dla biegających pomiędzy sznurami samochodów dzieci i trudnym ćwiczeniem sumienia i poczucia obowiązku kierowcy. Dotąd nie dopracowałem się trwałej taktyki, nie wiem, jak postępować, ale zdarzają mi się szerokie objazdy dla uniknięcia dylematu. Na przyszłość gotów jestem przyjąć zasadę płacenia bez wyjątku, dla świętego spokoju.

Przemierzając ulice odnosi się wrażenie, że po kilku latach ożywionych nadziei nowy ustrój jakby tracił oddech, niczego już nie obiecując w sprawie krytycznych problemów krakowskiej komunikacji i zabudowy, za to zapraszając turystę do podziwiania swych osiągnięć: odnowione Stare Miasto, liczne hotele i kawiarnie, sklepy z zawsze tą samą tandetą, kilka liźniętych nawierzchni, nieliczne kikuty napoczętych rozwiązań komunikacyjnych. Za fasadami natknąć się można na dotkliwy brud: na życzenie syna szukającego śladów „Żółtej ciżemki" wstąpiliśmy do pięknie odnowionej kamienicy Wita Stwosza, by ją szybko opuścić, wypchnięci intensywnym smrodem moczu i stęchlizny. Jedynie kościoły wydają się gruntownie odnowione, nie tylko z wierzchu. Natomiast jak zapomniane wyglądają niektóre osiedla bloków mieszkalnych, odrapane, otoczone zdziczałymi trawnikami i gęstwiną brudnych krzewów, z krzywymi chodnikami,

dziurawymi drogami i popsutymi automatami telefonicznymi. W dzielnicach willowych duża ilość nowych, pretensjonalnych posesji o wielokrotnie łamanej linii dachów, wieżyczkach nie z tej ziemi i solidnych murach obronnych.

Deszczowe lato, pochmurna jesień

Powódź silnie ograniczyła nasze wakacje, przyblokowała w rejonie środkowej Odry i osaczyła w południowej Polsce, by rychło wypchnąć nas z terenów objętych już psychozą katastrofy sanitarnej ku wąskim przesmykom wolnych od wody wschodnich Czech. Z okruchów wrażeń układamy mozaikę wielotorowych zmian, których nie można oglądać tylko w porównaniu z okresem PRL-u, który się już skończył; obecnie liczy się rynkowa wartość oferty, inwencja w obliczu nowych problemów i układanie perspektyw na przyszłość. Tutaj zaś obraz jest zniuansowany, a miejscami niepokojący.

Nieodwracalne zmiany w postawach zawodowych i konsumpcyjnych wywołane zostały przez zbliżenie struktury cen i – w mniejszym stopniu – zarobków do schematów rynkowych, co rozszerzyło wachlarz spożycia o towary i usługi dawniej dostępne tylko wąskiej grupie ludności. Inżynier zauważy, że może kupić samochód za jedną fuchę, listonosz oceni, że zagraniczna wycieczka jest w jego zasięgu, nawet psycholog w zespole antyalkoholowym zabiegać będzie o uznanie swych inicjatyw przez szefa, ponieważ za dodatkowe zajęcia w wolne soboty opłaci sobie wycieczkę do Wiednia. Gdy chodzi o kadry i wolne zawody to niemal każdy zapytany przez nas od razu mówił, że jak się chce, to można zarobić, przy czym niektórzy ze średniego pokolenia mówią o tym z zadumą i jakby pewnym zdumieniem, natomiast dla młodych jest to już oczywistość i zasadniczy wskaźnik postawy życiowej. Na terenach wysokiego zatrudnienia robotnicy nie lękali się bezrobocia, co jednak nie dotyczyło całego kraju. Chłopi pozostawali pod ochroną koalicyjnej polityki, a niektórzy emeryci i renciści otrzymali podwyżkę uposażeń, zapewne na fali przedwyborczych manewrów lewicy. Krótko mówiąc, lato 1997, skądinąd pod znakiem wielkiej wody, solidarności z powodzianami i przedwyborczych trosk

polityków, mijało w atmosferze pewnego spokoju społecznego i wyraźnych oznak zawodowej i finansowej zaradności wielu ludzi ćwiczących ósmy rok systemu rynkowego.

Płytkie źródła optymizmu

Wiele wskazuje jednak na to, że ten spokój i umiarkowany optymizm mogą być krótkotrwałe, ponieważ ich źródłem jest doraźny wzrost spożycia, któremu nie towarzyszą przekształcenia konieczne dla nadania temu spożyciu trwałego charakteru. Najpierw wątpliwości budzi sama struktura tego wzrostu, w dużym stopniu skierowanego na towary symbolizujące zewnętrzne oznaki zachodniego konsumeryzmu: sprzęt elektroniczny, samochody, zagraniczne urlopy. Wyrazem zmian może być firmowa etykieta coca-coli z jej europejskim sloganem reklamowym *always coca-cola*, gdzie do słów *always*, *toujours* i *siempre* doszedł ich polski odpowiednik – *zawsze*. Świadczy to o zaufaniu wytwórcy do polskich obyczajów spożywczych, gdzie amerykańska soda zakorzeniła się głęboko, za to zniknęło tanie ongiś mleko i nie zagościły wody mineralne i soki owocowe. Przy średnim zarobku pięciokrotnie niższym niż we Francji i cenach około dwukrotnie niższych, a niekiedy porównywalnych z francuskimi, koniunktura spożywcza musi mieć charakter wybiórczy; tym sposobem rośnie ilość samochodów i wycieczek zagranicznych, nierzadko jednak kosztem jakości wyżywienia, zdrowia i higieny osobistej, wyposażenia mieszkania, nie mówiąc już o wydatkach na kulturę.

Wybiórczemu wzrostowi spożycia indywidualnego towarzyszy zaniedbanie sfery spożycia zbiorowego. Przykładem jest silny popyt na samochody przy braku polityki komunikacyjnej, co dławi miasta i zamienia sieć zaniedbanych dróg w fatalną pułapkę. Ponadto spożywcza koniunktura rozwija się przy braku zachęty do oszczędzania, co osłabia siłę inwestycyjną krajowego kapitału. Tymczasem właśnie niedoinwestowanie gospodarki, pospołu z obyczajem szybkiego zysku za wszelką cenę, tworzą piętę achillesową polskiego handlu, jaką jest niskowartościowa oferta.

Nadal na rynku wewnętrznym głównym atutem towarów

krajowych jest ich niska cena, co utrwala strukturę gospodarczego neokolonializmu: krajowe środki czystości są tanie, lecz do niczego, importowane zaś – doskonałe, za to droższe, niż w Paryżu. Skrajnym przykładem służyć tu może skandal polskich implantów do leczenia kręgosłupa, które rdzewieją w ciele pacjentów, na ogół dzieci. Ministerstwo Zdrowia tłumaczy, że kupiono polski wyrób, bo tańszy o 30% od zachodnich, natomiast wytwórca winą za powikłania obarcza chirurgów oraz pacjentów, którzy są uczuleni na metal, czytamy w *Życiu*. Nawet jeśli uznamy to za sytuację skrajną, to na pewno nie wyjątkową; społeczeństwo nie dysponuje skutecznymi instrumentami obrony konsumenckiej i handel detaliczny wydaje się być rynkiem sprzedawcy, a nie konsumenta. Może to funkcjonować tylko na rynku wewnętrznym, w eksporcie bowiem tania oferta o niskiej jakości, mało zróżnicowanym asortymencie i bez składnika innowacji technologicznej nie wytrzymuje konkurencji i handel zagraniczny jest coraz bardziej deficytowy.

Gospodarka zaczyna bowiem zbierać owoce psychologicznej presji finansowego powodzenia, bez względu na inne koszty, skojarzonego z namiętnym pragnieniem konsumpcji w społeczeństwie wygłodniałym przez pół wieku kolektywizmu oraz z polityką gospodarczo-społeczną, a ściśle mówiąc brakiem takiej polityki. Od początku III Rzeczpospolitej jej władze, pospołu szczebla centralnego i terenowego, zajmują się raczej szukaniem pieniędzy, obroną interesów wpływowej klienteli i własną taktyką wyborczą, niż kształtowaniem technologicznego modelu gospodarki i określaniem jej miejsca w międzynarodowym podziale pracy z jednoczesnym uwzględnianiem problemów społecznych i środowiskowych. Środki przekazu ze swej strony z zapałem głoszą ideologię zarabiania i spożywania, nie zaprzątając sobie głowy sprawami deontologii zawodowej, dobra publicznego czy głębszą analizą rynkowych konfliktów. Wreszcie konsument stanie na głowie, by spędzić urlop za granicą, lecz nie ruszy palcem by uporządkować osiedlowy trawnik albo poprzez zaangażowanie polityczne przygotować własną przyszłość.

Rynek pozorny

W praktyce można przede wszystkim zauważyć dużą ruchliwość w dochodzeniu do środków finansowych, ogólny jednak rysunek tej ruchliwości nie układa się w wyraźny obraz wykształcania się sprawnej, konkurencyjnej struktury wytwarzania i handlu. Bardziej dostrzegalne jest sprzężenie prywatnej potrzeby pieniędzy z finansowym interwencjonizmem państwa i licznych fundacji, co rysuje dwuznaczną hybrydę indywidualnej zaradności i dystrybucji sterowanej.

Sytuacja taka uchodzi za normalną w sferze kultury i nauki, które nie do końca mogą podlegać prawom konkurencji finansowej. Wyniki współistnienia rynku i subwencji bywają jednak dyskusyjne zarówno dla rynku, jak i mecenasa. Spotkaliśmy się z przypadkami uczonych, którzy znajdują dojście do grantów i kontraktów zagranicznych bez związku z programem badań rodzimej instytucji, a niekiedy wręcz z własnymi kompetencjami. Wskazywano nam także na problemy rynku książki, gdzie pewną rolę odgrywają fundacje. Umożliwiają one wydanie książek, które innym sposobem nie ujrzałyby światła dziennego, co jednak wiele nie załatwia, ponieważ przy jednoczesnym braku popieranej dystrybucji dla bibliotek, książkom tym zdarza się zalegać półki aż do rychłego przemiału.

Zdaniem poważnego wydawcy wszystkich może pogodzić niemiecka firma Bertelsmann, jeśli tylko zechce opanować rynek, równie ożywiony co rozdrobniony. Dlaczego jednak nie powstają wielkie domy wydawnicze zdolne do konkurowania u siebie z potęgami Zachodu? Jedną z przyczyn są fundacje i konkursy. Fundacje na ogół pomagają autorom krajowym, zwłaszcza początkującym, a konkursy obdarzają najczęściej autorów zagranicznych, przede wszystkim amerykańskich, co oczywiście nie sprzyja rozwinięciu wartościowej produkcji lokalnej.

Dwuznaczna symbioza rynku i dystrybucji sterowanej dotyczy wielu dziedzin gospodarki. Z malowniczym tego przykładem zetknęliśmy się w biurze projektowym wielkiej firmy państwowej, która utrzymuje się z funduszów europejskiego projektu PHARE, lecz zwykle przegrywa konkursy z firmami prywatnymi, zapewniającymi lepsze warunki wy-

konania wysoko dochodowych projektów. Po wygraniu konkursu firmy te polecają wykonawstwo... pracownikom wspomnianego biura państwowego, którzy w ukryciu wykonują je jako fuchy w oficjalnym czasie pracy.

Krótkiej perspektywie finansowej hołdują niektóre wyższe uczelnie, w tym najbardziej renomowane, które ciągną wielkie zyski z opłat studiów zaocznych, lecz nie dbają o dobry poziom tych studiów w słusznym przekonaniu, że ci co się nie dostali na dzienne i tak przełkną wszystko na zaocznych. Słyszeliśmy również zarzuty pod adresem szkół prywatnych, które oszczędzają na wyposażeniu klas, np. oferując uczniom wyższych klas zbyt małe ławki, za to zachowując normy niskiej liczebności klas, co zapewnia im atrakcyjność w stosunku do szkół państwowych.

Silną motywację doraźnego zysku dostrzec można w różnych działach handlu. Do obyczajów w supermarketach należą taktyczne promocje cen, które polegają na sektorowym ich retuszu, nie naruszającym ogólnej zasady wysokiej marży; pomimo, że z oczywistych powodów niektóre towary są nieco tańsze w wielkich magazynach, niż w małych sklepach, to nadal ich cena jest wysoka, lub bardzo wysoka, niekiedy przekraczająca poziom zachodni. Pewne oznaki poważnej konkurencji cen zauważyliśmy w sezonowej wyprzedaży odzieży oraz w reklamowym zapewnieniu jednego ze sprzedawców o zwrocie nadwyżki: „jeśli znajdziesz mokietę tańszą, niż u nas". Wydaje się jednak, że chodzi tu o sytuacje wyjątkowe, zasadą bowiem jest wyciśnięcie maksymalnego i szybkiego zarobku bez względu na dalsze stosunki z klientem.

Wynikiem tego wszystkiego jest krótki zasięg gospodarczej ruchliwości, gdzie latem 1997 perspektywa szybkiego zysku była nadal realna, lecz już przyciemniona oznakami finansowej wrażliwości państwa i rynku oraz blokady rozwojowej gospodarki w obliczu przestarzałego sprzętu i infrastruktury, niskiej wartości towarów i usług, kurczącego się wywozu i rosnącego spożycia towarów importowanych.

Niepodzielne zda się panowanie ideologii pieniądza i indywidualnego powodzenia znajduje oczywiście oparcie w schematach zwycięskiego rynku, lecz łatwo wykazać pozorny, ponieważ wybiórczy charakter liberalnych intencji aktorów polskiego pseudo-rynku, z władzami państwowymi na czele. W

zasadzie prywatyzacyjna powściągliwość rządu lewicowego nie jest niczym nienormalnym, jeśli układa się w spójny program społeczno-gospodarczej zapobiegliwości. W polityce postkomunistów jednak chodziło raczej o mieszankę nieudolności, taktyki wyborczej i zawłaszczenia, skądinąd charakteryzującą nie tylko rządy lewicy, lecz – w różnych proporcjach – wszystkie rządy III Rzeczpospolitej. W szczególności najtrudniejsze problemy nie podlegają zarządzaniu według programowych niuansów ideologicznych, lecz od 8 już lat są po prostu ignorowane, oddalane w nieskończoność, co prowadzi do kumulacji czynników niewydolności gospodarki na dłuższą metę. Malowniczego przykładu dostarczają tu kablowe telefony, nadal w państwowym monopolu, drogie i mało sprawne, z praktycznie nie istniejącą siecią aparatów publicznych. Cała infrastruktura – drogi, energetyka, woda – pozostaje w rękach państwa, które mało interesuje się sprawami zagospodarowania terytorium. Żaden z rządów nie ruszył kopalń Górnego Śląska, ani rolnictwa indywidualnego, utrzymując system dopłat nie w celu łagodzenia przemian, lecz przekazania pałeczki następnym rządom. Zawieszono reformę ubezpieczeń, których niewydolność hipotekuje finanse państwa, na lata gwarantując trwały drenaż podatkowy, a co za tym idzie – dławienie spożycia i inwestycji. Nie rusza z miejsca reforma służby zdrowia, a zwłaszcza szpitalnictwo, gdzie monopol państwa stanowi przykrywkę dla przekupstwa i nieprawdziwego fakturowania usług i inwestycji. Niektórzy lekarze mówili nam, że reforma służby zdrowia oddalana jest z obawy przed oporem samego środowiska, zainteresowanego utrzymywaniem chaosu, który pozwala na zyski nieformalne bez obowiązku podnoszenia jakości pracy.

Współdziałanie interesów pracowniczych i partyjnych w hamowaniu reform utrudnia adaptację rynku pracy, któremu grozi nagłe bezrobocie w chwili, gdy państwu zabraknie pieniędzy. Innym źródłem bezrobocia może być upadek małych firm, które jak dotąd uchodzą za główne źródło wpływów podatkowych, wzrostu produktu krajowego i nowych miejsc pracy. Rozwinęły się one w początkowej fazie przemian, kiedy monopole już nie zabezpieczały wystarczających dostaw na rynek, a jeszcze nie rozwinęły skrzydeł wielkie firmy prywatne. Sytuacja zaczyna się stopniowo zmieniać, wielkie firmy bowiem wykazują coraz większą elastyczność, a dysponując siłą

inwestycyjną przebijają małe firmy pod względem innowacji. Stąd np. niepokój w środowisku małych drukarń, których rozległa sieć sięga swymi początkami czasów podziemia. Do niedawna utrzymywały się one z prac niskonakładowych, gdzie nie opłacało się uruchamiać wielkich maszyn. Wszelako duże firmy zaopatrzyły się już w sprawne urządzenia komputerowe i zgłaszają korzystne oferty już od 200 egzemplarzy, dowodząc małym przedsiębiorcom, że na rozwiniętym rynku nie będzie dla nich miejsca.

O całej złożoności problemu przekonać się można śledząc losy handlu detalicznego, gdzie supermarkety wycinają małych handlowców. Pomimo, że inwazja wielkich jest nieunikniona i pożądana, to o sile i umiejętności dostosowania się gospodarki do zmiennych losów koniunktury decydują małe i średnie firmy, którym należy zapewnić warunki istnienia i rozwoju. Pomiędzy tymi z pozoru sprzecznymi koniecznościami mieści się pole manewru polityki gospodarczej i perspektywa obyczajowa ludzi przedsiębiorczych, których w takim samym stopniu, jak polityków, dotyczą zasady dobrej pracy, rzetelności kredytowej i wyważonego stosunku pomiędzy spożyciem i oszczędzaniem.

Jak dotąd, w sieci prywatnych firm niełatwo dostrzec rynkową gospodarność, tak dalece polityczne konsekwencje, cwaniactwo, przekupstwo i spekulacje zdają się leżeć u podstaw działania wielu z nich. Kulawy charakter rynku przejawia się brakiem konkurencji cenowej, niskim poziomem obsługi klienta i promocji handlowej, nieufnością inwestorów, brakiem racjonalnej polityki prywatyzacyjnej w sektorze bankowym i wielkich struktur gospodarczych, słabą kumulacją kapitału, zwłaszcza gdy chodzi o sojusze i fuzje, przypadkami inwestowania w zewnętrzny prestiż firmy raczej niż w poprawę jej funkcjonowania, nieskrywanym kumoterstwem polityki i gospodarki, powszechnym łapówkarstwem, coraz większym ciężarem państwa przejawiającym się ilościowym wzrostem administracji wyższego szczebla, rosnącą ilością koncesji, silnym rozwojem pozornej komercjalizacji, polegającej na przekształcaniu firm państwowych w jednoosobowe spółki skarbu państwa, nieformalnymi powiązaniami pokomunistycznych spółek i rolą przywilejów przyznawanych inwestorom zagranicznym.

Kapitał zagraniczny

Inwestorzy nisko oceniają polski rynek, przypisując mu głównie możliwości szybkiego lecz nietrwałego zysku, czego wynikiem jest niechęć do ponoszenia ryzyka. W rezultacie warunkują swe zaangażowanie od gwarancji przywilejów, po otrzymaniu których mogą się zdecydować na inwestycję działającą w oparciu o import kompetencji, składników i części zamiennych, lecz mało zainteresowaną rozwojem lokalnego zaplecza.

Szczególnym przykładem doraźnego drenażu zysków jest działalność zachodnich banków. Zyski Citibanku za pierwsze półrocze 1997 przekroczyły dwa miliardy dolarów, co jak na zagraniczną filię jest nadzwyczajnym wynikiem. Według zaś francuskiej prasy filie banków Credit Lyonnais i Societé Générale notują u nas nieosiągalne na innych rynkach zyski, co jednak – zdaniem francuskiego przedstawiciela Credit Lyonnais nazwiskiem Kościuszko – nie powinno trwać długo, stanowiąc dodatkowy impuls dla polityki drenażu. Uprzywilejowana sytuacja banków zagranicznych w stosunku do krajowych bierze się najpierw z solidnego zaplecza centrali, gwarancji własnego rządu i zachęt inwestycyjnych rządu polskiego, lecz rychło sprzężeniem zwrotnym wzmocniona jest przez wybiórczy charakter operacji finansowych, gdzie ograniczają się one do najbardziej zyskownych transakcji, pozostawiając polskim bankom ryzyko strategii rozwojowej. W tych warunkach trudno mówić o wolnej konkurencji.

Wszelako ani uprzywilejowana sytuacja zagranicznej konkurencji, ani niskie zasoby własne nie przeszkadzają czołówce polskich banków, zwłaszcza państwowych, w osiąganiu godziwych zysków. Bankowcy unikają wszelkiego ryzyka, udzielają sobie wysokich premii i dbają o wystawność placówek centralnych, za to poziom oferowanych usług mało odbiega od heroicznej epoki pierwszych kroków na rynku. Strategia inwestycyjna schodzi na dalszy plan, ponieważ w warunkach atawistycznego monetaryzmu banku centralnego zyski zapewnia polityka drogiego kredytu, znacznie wyższego niż oprocentowanie depozytów.

Robert KACZMAREK

Jednak nowa generacja (II)
Ankieta „Kultury"

Poza ideologią

Młodzi ludzie z trzecich, czwartych klas liceów, techników, zawodówek, w odpowiedzi na pytanie o to, czy należą do odrębnego pokolenia, przyznają, że tak, jednak niechętnie występują w roli jego rzeczników, nie piszą manifestów. Mają jednocześnie spore problemy z określeniem, na czym owa odrębność polega, nie potrafią jej nazwać, rozpoznać, posługują się ogólnikami lub twierdzą, że odmienności te są odwiecznym, naturalnym wynikiem „prawa natury" pokoleń, by użyć słów jednego z ankietowanych. Istotnymi wyznacznikami odmienności są u nich często: muzyka, styl ubierania, sposób bycia. Wielokrotnie więc, nazywając się odrębnym pokoleniem, mają na myśli niewiele więcej niż swój stosunek do rodziców, ewentualnie dziadków. Nierzadko, występując z pozycji bardzo krytycznej, wymieniają postawy swoiste dla swego pokolenia, jednocześnie wyraźnie się wobec nich dystansując. Oto jedna z tego typu wypowiedzi:

Uważam, że należę do odrębnego pokolenia. Moim zdaniem jest to pokolenie nieodpowiedzialnych degeneratów, pokolenie zdominowane przez alkohol, narkotyki, zabawy i różnego rodzaju rozrywki. Dzisiejsza młodzież nie zastanawia się nad przyszłością. Ich życie toczy się strasznie monotonnie od dyskoteki do dyskoteki, od pijaństwa do pijaństwa itd. Oczywiście nie wszyscy są tacy, np. ja. Ale my

jesteśmy „gatunkiem" powoli wymierającym. Mimo że jestem inny, należę do tego pokolenia, bo przecież „rodziny wybierać nie można".

Ogólnie mają wyraźne problemy z określeniem swojej tożsamości. Najczęściej więc wyróżnikiem pokolenia nie będą tu jakieś swoiste jego cechy, a raczej jednakowe strategie radzenia sobie z wyzwaniami stawianymi przez nową rzeczywistość, podobne sposoby znajdowania w niej dla siebie indywidualnego, nie zaś pokoleniowego miejsca. Twierdzą więc, iż cechuje ich większa skuteczność w przystosowywaniu się do zmian, nie utrudniana przez sentymenty do czasów komunizmu, które dla nich są już tylko zamierzchłą przeszłością. Pisząc „nowa rzeczywistość", „zmiany", mam jednak na myśli perspektywę ludzi od nich starszych, pamiętających okres wcześniejszy, dla młodych jest to bowiem świat im dany, zastany. Wielokrotnie za cechy wyróżniające ich pokolenie uznawać będą wszelkie, szeroko rozumiane nowe jakości związane z demokratyzacją i liberalizacją Polski. Mimo że dotyczą one ogółu Polaków, dla obecnych nastolatków jako pierwszych stanowią naturalne środowisko, pod wpływem którego od początku kształtowały się ich dojrzałe postawy. Choć wielokrotnie krytykują dzisiejszą Polskę, jako pierwsi chyba uważają jej nowe oblicze za nie podlegające dyskusji, dane w sposób niekwestionowalny. Stąd częste oburzenie, z jakim komentują ciągłe powroty do historii sprzed 1989-go roku. Dla wielu z nich nasz polski świat narodził się 7 lat temu na nowo („nie odczuwamy piętna komunizmu"), nie potrzebuje legitymizacji poprzez porównanie z epoką wcześniejszą. O czasach komunizmu każą pamiętać wyłącznie jako o przestrodze na przyszłość:

Pamiętać należy, nie można natomiast nieustannie tego wypominać, należy się skupić na teraźniejszości, na budowaniu więzów międzyludzkich, nie na rozłamywaniu społeczeństwa na dwie grupy. Więcej uwagi poświęcajmy temu co nas łączy, a nie co nas dzieli.

Skoro mówią o sobie, jak w jednej z wypowiedzi: „nie musimy walczyć, jesteśmy wolni", trudno się dziwić, że będą

definiować swoje odrębne „ja" poprzez sposoby realizowania owej wolności. Są przekonani o tym, że pełne z niej czerpanie to raczej kwestia przyszłości, dzisiaj muszą przede wszystkim skutecznie „inwestować w siebie". Wielokrotnie więc pojawia się w ich wypowiedziach swoiste „myślenie przyszłościowe":

Różnimy się tym, że jesteśmy coraz bardziej świadomi tego, że nasza przyszłość zależy od tego ile w siebie teraz zainwestujemy. I że jeżeli teraz tego nie zrobimy, nie nadrobimy tego za 20 lat – a tak myślały poprzednie pokolenia.

Czuję, że należę do odrębnego pokolenia. Starsze pokolenie cały czas żyje latami wojny, komunizmu, czy roku 1981. Ja tego nie pamiętam i znaczy to dla mnie bardzo mało. Patrzę w przyszłość.

Sądzę, że należę do generacji następnej po X. Jestem pokoleniem znającym komunizm jedynie z opowiadań. Sam pamiętam niewiele z tamtego okresu. Czuję się wolny. Czuję się równym obywatelem Europy bez uprzedzeń, bez jakiegokolwiek uczucia niższości w stosunku do ludzi krajów wyżej ucywilizowanych niż Polska. Jestem wielkim optymistą jeśli chodzi o moją przyszłość.

[Członkowie mojego pokolenia, przyp. S.S.] *zdają sobie sprawę, że ich przyszłość zależy od ich wykształcenia i siły przebicia.*

Wielokrotnie akcentują rolę wykształcenia, mieszkańcy małych miasteczek będą tu w znaczący sposób wyrażali więcej obaw, z większym niepokojem myśleli o wejściu w dorosłość:

Jesteśmy bardziej zastraszeni, musimy martwić się o szkołę i pracę.

Okazuje się jednak, że od owego „inwestowania w siebie" jest niedaleka droga do podejścia materialistycznego, egoistycznego, zapomnienia o innych. Stąd wątek ten cechuje w ich wypowiedziach duża ambiwalencja. Jedni więc podkreślać będą „wolność, samodzielność, prawo kształtowania przyszłości i

kariery", inni zaś „pogoń za pieniądzem", „brak wartości", „znieczulenie na drugiego człowieka". Oto kilka pełniejszych fragmentów ilustrujących te odmienne postawy:

Niektórzy mówią, że mam konsumpcyjne podejście do życia – może mają rację, ale ja chcę po prostu żyć normalnie.

Jesteśmy strasznymi egoistami i materialistami, telewizja i kino zastępuje nam świat książek. Alkohol staje się napojem życia – nektarem, bez którego niektórym ciężko jest żyć.

Moje pokolenie gromadzi ludzi, dla których kariera i perspektywa zarobienia „ciężkich" pieniędzy to wartości najwyższe. To pokolenie realistów i „życiowców", którzy często nie potrafią zdobyć się na bycie młodym, mimo że młodym się jest.

Czuję, że dzisiejsi młodzi ludzie mają do wielu spraw inny stosunek niż nasi rodzice, dziadkowie. Nie jest tak ze wszystkim i nie zawsze są to zmiany na lepsze. Różnice polegają głównie na wybieraniu sposobu życia. Dzisiejszy młody człowiek wie, że musi liczyć zwłaszcza na siebie samego. Rodzice nie zawsze chcą i mogą zapewnić mu utrzymanie, więc to on zaczyna dbać o samego siebie. Jedni rozumieją, że największą inwestycją jest dla nich zdobycie wykształcenia, inni znowu zarzucają naukę, by już od nastu lat zacząć zarabiać, niekoniecznie w uczciwy i legalny sposób. To jest cechą charakterystyczną: nasz stosunek do pieniądza. Dla coraz większej grupy ludzi staje się on jedynym lub jednym z najważniejszych celów życia. Nie utożsamiam się z tą postawą, lecz myślę, że dobre jest to, że zarówno ja, jak i moi koledzy i koleżanki nie liczymy na to, że „ktoś nam coś da", lecz staramy się sami kierować swoim życiem i zdobywać coś.

Podobną dwuznaczność cechuje podejście do innego, wielokrotnie pojawiającego się w analizowanych wypowiedziach wyróżnika młodego pokolenia – „wynikających z otwarcia się

na Zachód nowych zachowań, zwyczajów, kultury". Z jednej strony wielu czuje się Europejczykami, z drugiej zaś często podkreślają obawy przed „okcydentalizacją" (sam termin często się w ich wypowiedziach pojawia), krytykują „amerykanizację", „małpowanie Zachodu".

Jeżeli odrębność łączy się z młodym, świeżym, zbuntowanym, krytycznym spojrzeniem na świat to mam takie odczucie. Natomiast nie czuję i nie chcę odciąć się od narodowych tradycji i zmieniać Polski na sposób np. amerykański.

Zagrożenie – pęd do Europy, Zachodu, całego tego jarmarku z zapomnieniem o polskości. Zalanie nas komercyjnym świństwem i robienie wody z mózgu, wciskanie, że wartości materialne dają szczęście i są sensem życia. Szczególnie nasiąkają tym dzieciaki, nikt się nimi nie zajmuje, są żałosne i przerażające – miniatura społeczeństwa amerykańskiego.

O obliczu nowego świata, które warunkuje ich postawy, stanowią, obok zmian ustrojowych, kwestie cywilizacyjne, często podkreślają tu rozwój nowoczesnej technologii. Słowo „kultura" w ich wypowiedziach się nie pojawia. Nie piszą o książkach, które czytają, pisarzach których cenią. Możliwe jednak, że uważają kwestie kulturowe za mniej „postępowe" od cywilizacyjnych i stąd mniej stanowiące o odrębności zmieniających się pokoleń. Wskazywałoby to też na daleko idącą „prywatyzację" kultury, związany z nią świat przeżyć to dziś sprawa często indywidualna, żeby nie powiedzieć: intymna, jak wszystko, o czym się publicznie nie dyskutuje. Trudno zresztą dyskutować, gdy nie ma pewnej wspólnej płaszczyzny istotności, w obrębie której moglibyśmy się poruszać. Dlatego też podkreślana przez nich bezideowość własnego pokolenia to chyba coś więcej niż tylko odrzucenie wszelkiego doktrynerstwa, można tu nierzadko wyczuć nutę sporego niepokoju:

Oczywiście, moje pokolenie (w moim odczuciu) pozbawione jest wszelkich idei, celów, wręcz dążeń, jesteśmy zmęczeni życiem już u jego początku, „wątpiący" we wszystkie wartości, zbuntowani, ale bunt ten nie przybiera określonego kierunku.

Jest mniej jednolite niż inne pokolenie, nie można kojarzyć go z jedną tylko filozofią.

Tak. Moje pokolenie cechuje kompletny chaos i nieład. Szukamy ideałów, celów w życiu, próbujemy się jakoś znaleźć w brutalnej rzeczywistości. Dla niektórych narodził się nowy bóg – pieniądz. Powstaje mnóstwo nurtów i subkultur, głównie w oparciu o nowe rodzaje muzyki. Kiedyś tego nie było. Młodzież miała jasno wytyczony cel: niepodległość kraju, a po wojnie – albo walka z systemem, albo poddanie się propagandzie, która wyznaczała przecież pewne schematy i modele myślenia.

Tak, czuję, że należę do odrębnego pokolenia. Pokolenia, które jak na razie błądzi, błądzi pomiędzy rzeczywistością, jak zawsze brutalnym światem a światem wytworzonym przez siebie. Należę do pokolenia zagubionego, pokolenia, które nie wie co dobre, a co złe, pokolenia, które jest głęboko rozbite i zdezorientowane przez obecną sytuację społeczno-polityczną. To pokolenie nie wie co należy, a co trzeba robić. Stara się stworzyć swój własny świat, wykreowany na filmach typu „Beverly Hills", chce oprzeć swoje myślenie i zachowanie o nierealne wartości i ideały ukazywane przez te filmy. Pokolenie to chce stworzyć oddzielny styl, lecz jak na razie zamiast tworzyć, niszczy i zatraca wszystko co ma prawdziwą realną wartość.

Poza polityką

Maria Ossowska w artykule „Koncepcja pokolenia" w następujący sposób zdefiniowała „historyczne" pojęcie pokolenia, które jest mi bliskie:

„Pokolenie jest tu związane z określonymi datami procesu dziejowego. (...) Pokolenie to tutaj przede wszystkim grupa

ludzi o pewnych wspólnych postawach i wspólnej hierarchii wartości. Te postawy i hierarchie wartości przypisuje się wspólnym doniosłym doświadczeniom, które przyczynić się miały do takiego, a nie innego ukształtowania osobowości".

Podejście to zakłada, że jądrem tożsamości danego pokolenia i kluczem do jego zrozumienia będą owe „wspólne doniosłe doświadczenia", które można umiejscowić na kartach historii. Jeśli więc obecnych nastolatków już dziś uznać za pokolenie, okazuje się ono pokoleniem dość pokracznym, bo przez historię przeoczonym. Trudno odnaleźć datę w historii, z którą by się utożsamiali, czy przeżywali. Wszystko to, co zastali, zostało zrobione nie przez nich, naturalną konsekwencją jest więc przeniesienie całości własnego potencjału twórczego w sferę prywatności, stąd częste deklaracje potrzeby inwestowania w siebie. Byli za mali, by pamiętać czasy solidarnościowe, czy świadomie przeżyć rok 1989. Stąd symptomatyczna nieporadność, z jaką starają się ująć kwestię naznaczenia przez przeszłość:

Uważam, że należę i nie należę do odrębnego pokolenia. Moja nienależność wypływa z tego, iż urodziłam się i żyję w czasie, gdzie ważne wydarzenia z przeszłości są tylko wspomnieniem, a ja nie mam na nie żadnego wpływu, zaś moja zależność spowodowana jest tym, że to wszystko, co się kiedyś działo, toczyło się w moim kraju, że ginęli ludzie, którzy pragnęli, aby mnie w przyszłości było lepiej, lecz nie sądzę, by się im to udało.

Okazuje się więc, że w przeciągu zaledwie kilku lat wydarzenia lat 80-tych i sam przełom roku 1989, jeszcze do niedawna rodzące autentyczny entuzjazm, dyskusje, wymagające określenia się w momencie politycznej inicjacji, symbolicznie naznaczające tożsamość, przeszły do historii. A przecież kategorie, podziały zrodzone w 1989 roku do dziś organizują polski dyskurs publiczny, są mapą, pomagającą rozszyfrować zawiłości świata polityki. Pytaniem jest więc, na ile owo dziedzictwo funkcjonuje w świadomości nastolatków jako element historii żywej, autentycznej. Okazuje się, że w stopniu mniej niż znikomym. Oto fragmenty odpowiedzi na

pytanie dotyczące tego, czy pojęcia „Solidarność", „postkomuniści" mają jeszcze rację bytu.

(...) pojęcia te są w dużej mierze symboliczne, utarte i nie nadążają za zmianami w świadomości społecznej. Zabawne, ale częściej posługują się tym schematem politycy i niedługo może okazać się, że jest on już całkiem niewystarczający. W ten sposób można zerwać kontakt z narodem.

Polska ma iść naprzód, a nie oglądać się wstecz. Słowa te często wprowadzają wiele nieporozumień i błędnych posądzeń. Może należałoby stworzyć nowe wyrazy, a te odesłać do lamusa.

(...) politycy myślą głównie o przeszłości, mniej ważne są rzeczywiste poglądy, a sprawą dominującą jest polityczne pochodzenie.

[Pojęcia te są – przyp. S.S.] *używane do rozdrapywania starych ram, obrzucania się błotem.*

Głównie są używane do rozdrapywania starych ran, obrzucania się błotem nawzajem. To jest śmieszne i zarazem żałosne, mówiąc „Solidarność" ludzie chcą wzbudzić to, co kiedyś „Solidarność" znaczyła. Hasło „postkomuna" ma przypominać „krwawy terror". Skutek? Mogę powiedzieć na swoim przykładzie. „Solidarność" kojarzy mi się z przetartymi i wyblakłymi spodniami, a postkomuna z za małymi butami.

Najwyraźniej więc nie udało się przekazać młodym pięknej tradycji solidarnościowej. Nie uważają jej za swoją. Pobrzmiewa ona dla nich echem przykurzonej już znacznie historii albo jawi się w postaci zniekształconej przez waśnie polityczne, nadające obłąkańczy rytm naszej młodej demokracji. Żywe wciąż dla starszych pojęcia „Solidarność", komuniści, postkomuniści, dla nich nie mają już racji bytu. To, że są wciąż stałym rekwizytem na scenie politycznej nie świadczy wg młodych wyłącznie o nie wygaszonych sentymentach, ale przyczynia się do wulgaryzacji polskiej

polityki, utrudnia reformy. Przykre, że „Solidarność" to dla wielu z nich wyłącznie „kiedyś wielkie słowo". Ich stosunek do postkomunistów jest przy tym niejednorodny:

(...) wyraz „postkomuniści" – myślę, że nie ma już racji bytu. Używają go ludzie nie potrafiący zrozumieć, że coś już się skończyło, jakiś okres dziejów Polski już minął i teraz należy zająć się teraźniejszością. Ich zachowanie nasuwa mi podejrzenie, że nie chodzi im o dobro państwa, lecz po prostu o dojście do władzy.

Mogę wybaczyć komunistom jako ludziom, ale nie wtedy, gdy znowu wracają do władzy. Skoro już raz przegrali, to powinni odsunąć się w cień historii i cieszyć się, że żyją.

Nie akceptuję „krótkiej" pamięci starszego pokolenia Polaków, którzy zapominając o krzywdach wyrządzonych im przez komunistów, dają się zwieść naiwnymi obietnicami socjaldemokracji, którą reprezentują dawni komuniści.

Lewica i prawica także należą wg młodych do spuścizny 1989 roku, spuścizny, która straciła dziś wszelkie znaczenie:

„Solidarność" teraz to dla mnie nic więcej niż jeszcze jedna, w dodatku wyjątkowo nieudolnie, bo nawet śmiesznie prowadzona partia (czy ogólnopolski związek zawodowy).

Ogólnie więc sytuują zarówno pojęcia „Solidarność", postkomuniści, jak i lewica i prawica na tej samej płaszczyźnie znaczenia. Tak „Solidarność" i postkomuniści, jak i lewica i prawica to pary, których jeden człon można zdefiniować jedynie poprzez zaprzeczenie drugiego. Prawica to po prostu „antylewica", nic więcej nie potrzeba wiedzieć, skoro istotą życia politycznego staje się w ich wizji konflikt, walka, nienawiść.

Współtwórcom polskiego życia politycznego po 89 roku nie udało się więc wg młodych zbudować fundamentów pod coś trwałego, wartego kontynuacji. Częste utożsamianie „Solidarności" wyłącznie z „facetem z wąsami", jak ktoś na-

pisał, to przykład nagminnego braku jakiejkolwiek głębszej, wykraczającej poza symboliczne czy schematyczne skojarzenia wiedzy o znaczeniu tych pojęć. Sądzę, że stosunek młodego pokolenia do wspomnianych haseł można uznać za znaczący także pod innym względem. Przy założeniu, że młodzi w pewnym stopniu, mimo powszechnie deklarowanej obojętności, śledzą wydarzenia polityczne, ukazuje on, na ile żywa jest dziś artykulacja wydarzeń z lat 80-tych, na ile powracanie do tamtego okresu dziś, traktowanie go jako osi obecnego sporu politycznego, jest wciąż na miejscu. Żywotność danej tradycji przejawia się w sposobie mówienia o niej. Jeśli ma ona stanowić część dziedzictwa pozwalającego znaleźć pewne prawdy o nas samych oraz drogowskazy, które ułatwią ominięcie pułapek przyszłości, jeśli w końcu ma stanowić dla przyszłych pokoleń coś więcej niż tylko historyczną ciekawostkę, musi podlegać wciąż twórczej reinterpretacji tak, by mogła stanowić jądro dyskusji ważnej, nie rażącej sztucznością. Skoro młodzi, nie znający z własnego doświadczenia tamtego okresu, nic z dzisiejszych antagonizmów nie rozumieją, skoro jawią im się one jako puste, może to znaczyć, że nie jest to kontynuowanie żywego, odkrywczego dialogu czy sporu.

Trudno się dziwić, że młodzi odrzucają pojęcia kojarzące się przeważnie z pewnymi ogólnymi orientacjami światopoglądowymi, skoro „Świat Polityki" ulega w ich wizji radykalnej personalizacji i staje się ni mniej ni więcej, tylko wyłącznie „Światem Polityków". To właśnie „polityk", „ci politycy", „tamci na górze", nie zaś np. „demokracja", „wolność", „pluralizm", stanowiące podstawowe skojarzenia wywoływane pytaniem o polską scenę polityczną. Nasi ankietowani tłumaczą to w następujący sposób:

Wiele partii nie skupia się wokół programu, lecz wokół jednej osoby i jej historii.

[Pojęcia lewica, prawica, „Solidarność", postkomuniści] *odzwierciedlają osobowość ludzi do danej organizacji przynależących.*

Pojęcia takie jak lewica, prawica, solidarność kojarzą

mi się głównie z danymi partiami i osobami, niekoniecznie z jakimiś ich programami. To znaczy – granica między tymi programami przestaje być aż tak rażąca, jak była kiedyś.

Nie lubię polityki, wydaje mi się, że sprawy sfery politycznej toczą się wokół zmian osoby na stołku. Politycy zbyt dużo gadają, a mało robią.

„Świat Polityków" odmalowują w najczarniejszych barwach. Piszą o sporach, konfliktach, nie wspominają jednak o tym, czego one dotyczą, wokół jakich kwestii wyrastają. Polityka interpretowana jest tu przez pryzmat gęsto wymienianych cech osobowościowych czołowych aktorów, cech, wśród których rzadko pada słowo pochwały. Wszystkie właściwie oceny są krytyczne, formułowane w sposób niezwykle dosadny, ujawniający silne emocje. Uderza tu powszechna skłonność do generalizacji, ujmowania „Świata Polityki" jako pewnej całości, którą można podsumować za pomocą kilku dosadnych epitetów. Choć z jednej strony razi on swą niezrozumiałą pstrokatością, utrudniającą jakiekolwiek spójne, konstruktywne działanie w imię ogólnego dobra, jawi się zarazem jako zatrważająco jednorodny w swej beznadziejności:

Pojęcia takie jak lewica, prawica, „Solidarność", postkomuniści wymieszały się i znaczą tylko tyle: polityka.

Formułując swą krytykę nasi ankietowani często sięgają po pojęcia i wyrażenia lansowane przez publicystów, dziennikarzy, ubolewających nad niedoskonałościami polskiej polityki. Katalog określeń jest bogaty, choć wiele z nich często się powtarza. Polityka wielokrotnie określana jest jako „kabaret", „bagno", „cyrk", „bałagan", „chaos". Grono jej współpracowników w oczach młodych to: „zboczeńcy ideologiczni", „jedna wielka mafia", „komedianci", „klauni", „imbecyle". Działalność polityków postrzegana jest jako: „obrzucanie się błotem", „wyciąganie brudów", „agresja", „intrygi", „walka o stołki". Cechuje ich: „pazerność", „materializm", „nieodpowiedzialność za słowo". Są „zmienni", „zakłamani", „niekompetentni". Specjalizują się w „gierkach", „machlojkach", „oszustwach". Życie polityczne okazuje się „niedojrzałe", „żałosne", „kompromitujące", „śmieszne", „chore". Panuje tu „ogólne zdziczenie obyczajów". Oto kilka pełniejszych wypowiedzi:

Moim zdaniem obecnie za politykę nie biorą się ludzie uczciwi.

Żadna partia nie jest mi bliska. Wszystkich nie cierpię, bo każda jest nieuczciwa. Wszystkie nazwy mi się mylą.

Nie mam najmniejszej ochoty włączać się w działalność polityczną z tego powodu, że politycy przestają być ludźmi.

Pragnąłbym być współtwórcą życia politycznego, mieć jakikolwiek wpływ na jego wizerunek, choć mam świadomość jak bardzo jest on cyniczny i fałszywy.

Niewielu jest takich, którzy są prawdziwymi idealistami gotowymi zrobić dla kraju to, co potrzeba.

Politykom zarzuca się przede wszystkim: interesowność, brak współdziałania, kłótnie, nieumiejętność zawierania kompromisu.

Nasze życie polityczne jednocześnie śmieszy mnie, ale to tylko w pierwszej chwili, później uświadamiam sobie tragizm sytuacji. Myślę, że politycy powinni zastanowić się nad swoim patriotyzmem, a nie oskarżać innych o jego brak. Przecież kierowanie krajem nie polega na wytykaniu sobie błędów w rządzeniu, ale ich wspólnym korygowaniu.

Życie polityczne w Polsce nabrało wreszcie rumieńców, co wiąże się oczywiście z wprowadzeniem ustroju demokratycznego. Powstały nowe partie, które mają reprezentować nasze interesy. Szkoda tylko, że nie potrafią dojść ze sobą do porozumienia i jakiegokolwiek kompromisu.

Nie lubię i nie zajmuję się polityką. Nie mam i chyba nigdy nie będę miała ochoty się w nią włączać. Jeśli chodzi o naszych polityków, to przynajmniej dla mnie, tylko

niewielu jest prawdziwymi politykami, kierującymi się dobrem państwa. Większość to po prostu zakompleksieni i niedokształceni faceci pragnący podbudować swoje ego posiadaniem władzy. Często o państwie w ogóle nie myślą, raczej o swoim własnym stanowisku i interesach. Ich wypowiedzi i zachowania ciągle każą mi się zastanawiać, czy to możliwe, by ktoś tak głupi, ograniczony i nie potrafiący myśleć zajmował wysoką pozycję i decydował o naszym życiu.

Przeważają partykularne interesy, rzeczywiste zainteresowanie sprawami państwa schodzi na dalszy plan.

Żadna z obecnych partii nie jest w moim guście. Wszystko się wymieszało. Nie jest to tak jak powinno być. Nie ma klarownej sytuacji.

Jeżeli już miałbym wybierać to byłaby to Partia Zielonych, bo próbuje ona chronić środowisko przed całkowitym zdewastowaniem.

Poglądy polityków stanowią w oczach ankietowanej przez nas młodzieży wyłącznie ubierane w zależności od okazji etykiety, po które tak samo łatwo sięgnąć, co odrzucić. Uderza częstość używania w tym kontekście metafory „chorągiewek".

Drażni mnie to, że wszyscy ci frajerzy rozbijający się rządowymi lanciami myślą, że ja niczego nie rozumiem.

Krytykuję system, ludzi, którzy znaleźli się „na górze". Czasem mam wrażenie, że oni myślą, że mogą nam tak mydlić oczy, tymczasem dorastamy, mamy własne poglądy polityczne i coraz trudniej im będzie cokolwiek nam wmówić. Pokazują, że są głupsi niż przeciętni nastolatkowie bijąc się o stołki.

Okazuje się więc, że nasi ankietowani nie znają pojęcia polityki jako pewnej przestrzeni tworzenia nowych znaczeń, uzgadniania celów, artykulacji tożsamości. Możliwe, że dziś niewiele osób je uznaje, uważając wyłącznie za tęsknotę

nielicznej garstki „ideologów". Ale tym bardziej uderza to, że w odpowiedziach na pytanie o sferę polityczną brakuje nawiązań do niedawno wywalczonej demokracji, wolności. Możliwe, że jest to już pokolenie uznające te wartości za coś oczywistego, niepodważalnego. Tak czy inaczej jednak – to nie ich świat. Tak lichego dzieła nie chcą przejmować. Mniej niż 1% deklaruje chęć włączenia się w przyszłości w działalność polityczną. Zadziwiające jednak, że niezwykle rzadko wyrażają nadzieję, że kiedyś jałowe kłótnie i pieniactwo, przeplatane pustym wielosłowiem i przesłodzonym politycznym *small talk* ustąpią miejsca rzeczowym argumentom i opartej na wzajemnym szacunku wymianie zdań. Nie jest dla nich usprawiedliwieniem niedojrzałość naszej polityki. Z miejsca ją odrzucają, darzą niechęcią, żeby nie powiedzieć, co wielokrotnie uderza w ich wypowiedziach – odrazą. Nie potrafią się zdobyć na uznanie tymczasowości tej sytuacji, wierzyć, że nadejdą jeszcze czasy prawdziwej polityki, zdają się bowiem z góry odrzucać samą ideę polityczności, w końcu u nich przecież „źli politycy" to polityka sama.

Poza historią

Jeśli rozumieć historię danego kraju jako ciąg pokoleń wchodzących ze sobą w swoisty dialog dziejowy, przejmujących za każdym razem pewną spuściznę twórczo wzbogaconą, redefiniowaną, świadomych każdorazowo wpisywania się w pewną tradycję myślenia o rzeczach istotnych, która nierzadko przeradza się w angażujący emocje międzypokoleniowy spór – to opisywana grupa do tak rozumianej historii nie należy. Interesujący w tym kontekście będzie dla nas stosunek młodego pokolenia do polskich zrywów wolnościowych, w szczególności do Powstania Warszawskiego. Ma to silny związek z innym pytaniem, jakie im zadaliśmy – o to, czy w ich pojęciu patriotyzm, miłość Ojczyzny coś jeszcze dzisiaj znaczą.

Większość naszych ankietowanych podkreślała silny związek z krajem ojczystym. Zdarzało się, znacznie jednak rzadziej, że wskazywano na wyłącznie dziś już „encyklopedyczny" charakter pojęcia patriotyzmu. Przeważnie jednak wiążą z Polską bardzo silne, pozytywne emocje.

Czuję się mocno związany z krajem, w którym się urodziłem, z Polską. Myślę, że gotów byłbym do ofiar dla ojczyzny. Pytanie, czy oddanie za Polskę życia ma sens traktuję jako retoryczne. Ojczyzna to jedna z najwyższych wartości, jakie noszę w sercu.

Często określali patriotyzm jako trudne do uchwycenia uczucie, „nieokreśloną nostalgię". Wielokrotnie miłość Ojczyzny sprowadzała się do emocji bardzo prywatnych, poczucia związku z rodziną, przyjaciółmi, konkretnymi miejscami, z którymi wiążą się najpiękniejsze wspomnienia.

Dzisiejsza Polska to brudne ulice, polityka, nieufni ludzie, ordynarni ludzie, korki na ulicach, nienawiść, huki... Ale dzisiejsza Polska to także miejsce z którym wiążą się moje uczucia, w którym dorastam, miejsce, gdzie mam rodzinę, przyjaciół, miejsce cudownych spacerów, niesamowitych uliczek, tu są góry, morze, lasy, jeziora, tu są mądrzy ludzie. Tę Polskę lubię.

Wykazują jednak sporą nieporadność w określaniu swego stosunku do Ojczyzny, gdyż są świadomi bierności deklarowanego uczucia.

Patriotyzmu dość znajduję w słabym kanonie lektur szkolnych, lecz nie potrafię odnieść go do współczesności. Miłość ojczyzny nie jest, zdaje się, mi obca, lecz nie ma ona ujścia. Gdzie ma się ujawnić?

Z pojęciem patriotyzmu i miłości ojczyzny spotykam się już tylko na lekcjach polskiego i historii. W moim przypadku miłość do ojczyzny to uczucie bierne.

Zdecydowanie cenią wysiłek powstańczy poprzednich pokoleń, to, że miał on sens traktują jako coś oczywistego.

A co to znaczy oddawanie życia za kraj? Jeżeli oznacza to ginięcie w wojnie wywołanej przez chorych na przyrost ambicji polityków – to nie ma sensu. Oddanie życia za coś ma sens, jeżeli chodzi o sprawy ważne, ważne dla świata,

ważne dla poznania, ważne dla prawdy. Można zginąć w obronie kraju, który się kocha, w obronie człowieka, jeżeli uważa się to za słuszne. Wtedy umieranie jest piękne.

Młodzi powstańcy ginęli za coś, za swoje idee. Odzyskanie niepodległości było ich celem. Nie można tego przekreślać i twierdzić, że powstania nie miały sensu, skoro tylu ludzi oddało za nie życie pozostając wiernym swym ideałom.

Może paradoksalnie – potencjalna ofiara z własnego życia dla ojczyzny wydaje się oczywiście słuszną o tyle, o ile rozpatruję zagadnienie nie w aspekcie społecznym, lecz jednostkowym. Człowiek jako indywidualność, osobowość zyskuje sens życia w warunkach zagrożenia ojczyzny. Nie staje się bezideowym, oderwanym od narodu ziarenkiem piasku.

Oczywiście, że warto, oczywiście, że to miało i ma sens. To poświęcenie jest miarą wszystkiego, co dobre i prawe, miarą tego, co powinno być i jest.

Inaczej jednak będą się ustosunkowywali do zasadności takiego poświęcenia dziś. Wykazują tu dużą ostrożność wynikającą z niechęci do pustych deklaracji:

Patriotą jestem i zawsze będę, choć trudno szastać tymi pojęciami ot tak – frywolnie. Łatwo mówić o tym, czy poszło by się walczyć za ojczyznę siedząc w ławce, wypełniając ankietę – trudniej niewątpliwie – gdy godzina zero wybije.

Edukacja historyczna ukazała wielu z nich, że zrywy bez realnych szans na sukces mogą przynieść więcej złego niż dobrego:

Jestem zwolennikiem walki gospodarczej i kulturalno-oświatowej, a nie powstań zbrojnych (...). Suwerenność polityczna i militarna jest dla mnie bez sensu bez niepodległości gospodarczej, a tej niestety Polska zdecydowanie nie posiada.

Szanuję polski język i tradycję, ale to nie powód, by

oddać życie za swoją ojczyznę. (...) Nie podoba mi się wizerunek Polaka – odważnego i głupiego.

Polska jest krajem w którym mieszkam. Jestem z nią związany jak każdy inny przeciętny Polak. Patriotyzm, miłość Ojczyzny to górnolotne zwroty których nie lubię. Nie jestem zwolennikiem manifestowania tych uczuć. Wydaje mi się, że ważniejsze są czyny. Oddawanie życia ma sens tylko wtedy, gdy przyniesie to wymierne, wysokie zyski. Jednak nawet wtedy jest to dla mnie problematyczne. Bohaterem można zostać także w inny sposób.

Jeżeli chodzi o ofiary dla kraju, to nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas potrafił przewidzieć swoje zachowanie, sprawdzić się potrafimy tylko w konkretnej sytuacji. Śmierć za ojczyznę jest czymś szlachetnym, ale nie może być bezcelowa, fanatyczna, bo kraj przede wszystkim potrzebuje obywateli.

Co znaczy być obywatelem – nie piszą. Często z ich wypowiedzi wynikałoby, jakoby jakiekolwiek poświęcenie dla Polski było możliwe tylko w sytuacji zewnętrznego zagrożenia. A przecież często zaznaczają, że walka poprzednich pokoleń (najczęściej wspominają tu Kolumbów) miała sens, bo teraz oni są wolni:

Oczywiście, że oddawanie życia za ojczyznę miało sens i nadal ten sens posiada. Przecież chodzi o naszą wolność.

Wolności tej nie postrzegają jednak jako szansy na kontynuację tamtego dzieła, nie potrafią jej wpisać w międzypokoleniową dyskusję o tym, czym powinna, czym może być Polska. Wolność bowiem stała się u nich czymś zupełnie wybitnie prywatnym.

Pokolenie światów prywatnych

Polityka zostaje przez młode pokolenie ośmieszona, wykpiona. Nie proponują żadnych lekarstw, skoro wszelkie jej

bolączki wpisały się na trwałe w jej istotę – jest z gruntu nieuleczalna. Tym samym nie wywołuje ich elementarnego zainteresowania, wydaje im się zbyt śmieszna i żałosna, by sobie nią zaprzątać głowę. Prawdziwy dramat rozgrywa się w oczach młodych na innej płaszczyźnie i w wypowiedziach na ten właśnie temat ujawniają pełnię dojrzałej, niezwykle czułej, wyostrzonej wrażliwości.

Sferą istotności okazuje się być dla nich płaszczyzna stosunków międzyludzkich. Tu dostrzegają największe zagrożenie, ale i największą szansę dla nas, dla Polski. Prezentują niezwykle wnikliwą diagnozę podstawowych wad Polaków. Są to: „nietolerancja", „niemyślenie", „zawiść", „zazdrość", „nieuprzejmość", „obłuda", „znieczulica na cierpienie i krzywdę". Jesteśmy „nietolerancyjni", „bezmyślni, gburowaci, zamknięci w sobie, niereformowalni". Trudno więc oczekiwać czegoś pozytywnego od polityki, skoro stanowi ona przestrzeń publicznego ujawniania się naszych podstawowych wad i słabości. Zazwyczaj dodatkowo wyolbrzymionych:

Polityka to sfera naszego życia, w której najpełniej znajdują swą ekspresję polskie wady narodowe.

(...) przyczyna tkwi w naturze Polaków. Jesteśmy leniwi, zachłanni, nie umiemy wykorzystać szansy, potrafimy działać tylko w przypadku większego zagrożenia.

Politycy są zmienni, zakłamani. Nie można mieć do nich zaufania (jak można mieć skoro nawet w obrębie jednej klatki schodowej ludzie sobie nie ufają).

Zwracają uwagę na odwieczne polskie przywary, jednocześnie jednak skłonni są twierdzić, iż teraźniejszość wyjątkowo sprzyja ich ujawnieniu. Opisują jakiś paskudny grymas, który coraz bardziej zastyga na obliczu naszego polskiego świata. Biją na alarm wobec rosnącej brutalizacji stosunków międzyludzkich. To ona najbardziej zagraża temu, co wydaje się dla nich najcenniejsze – ich światom prywatnym (nieprzypadkowo za jedną z cenniejszych wartości w życiu wielu z nich uznaje rodzinę):

Fałsz, obłuda, nieliczenie się z człowiekiem, a tylko z pieniądzem, gierki na wysokich stanowiskach, ciemne afery, od tego włos się na głowie jeży.

Tak, lubię dzisiejszą Polskę, chociaż denerwują mnie antagonizmy szeroko rozpowszechnione w kraju. Brak ogólnego zaufania, znieczulica panująca wśród obywateli i ta obojętność na wszystko. Drażni mnie ta ciągła pogoń za pieniądzem, ciągłe jego szukanie i porzucanie innych wartości.

Nie wiem, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem, czy lubię dzisiejszą Polskę. Nie wiem, czy jest to miłość do Ojczyzny, czy jedynie przywiązanie do miejsca, w którym się urodziłam i wychowałam, w którym mam rodzinę i przyjaciół. Nie wiem też, czy chciałabym tu żyć, nie mam porównania do innych miejsc. Wiem natomiast, że społeczeństwo jest bardzo podzielone i różne. Razi mnie głupota niektórych ludzi, ich zacofanie, brak kultury osobistej, najbardziej jednak drażni mnie zakłamanie i nieszczerość. Podziwiam u ludzi prostolinijność, to, że potrafią zawsze powiedzieć co myślą, licząc się z konsekwencjami, potrafią odpowiadać za własne czyny, ujmuje mnie to, że dotrzymują obietnic i potrafią ocenić swe możliwości. Już niewielu ludzi potrafi przyznać się do błędu, śmiać się z własnych, nie z cudzych wad. Nie wszyscy potrafią zdobyć się na powiedzenie słowa „proszę" „dziękuję", „przepraszam". Większość ludzi zatraciła te cechy na rzecz pogoni za pieniądzem, za stanowiskiem i władzą. Zapominają, że zawsze dzieje się to czyimś kosztem. Nie potrafię tego zaakceptować – wykorzystywania i wyręczania się innymi.

Pytani o nietolerancję w Polsce twierdzą zazwyczaj, że jest jej u nas tyle, co wszędzie. Nierzadko jednak uznają też, że Polacy są narodem wyjątkowo nietolerancyjnym:

Ich ofiarą padają ludzie wybijający się z szarej rzeczywistości. Wybijający się zarówno pozytywnie, jak i negatywnie. Są po prostu tępieni.

Nie spotkałam się dotychczas w naszym kraju z rasizmem. Ale uważam, że jesteśmy narodem bojącym się wszystkiego co „inne", wszystko to traktujemy jak chorobę.

Wbrew pozorom w Polsce jest ogromna nietolerancja. Ludzie płaczą na „Liście Schindlera", a w rzeczywistości są urodzonymi antysemitami.

I ona wyrasta z codziennej, najdrobniejszej międzyludzkiej nieufności, zawiści:

W rzeczywistości ofiar jest więcej, nie są to ofiary na wielką skalę. Sprawy nietolerancji zamykają się w obrębie jednego bloku, jednej rodziny, zakładu pracy.

Nietolerancja w jej nielicznych, najbardziej drastycznych postaciach, znanych większości z gazet, telewizji, ma więc swoje źródło w czymś bardziej elementarnym i, niestety, powszechnym: „braku troski o chorych, brudnych, starych, słabych, niepełnosprawnych".

Młodzi w przeważającej większości deklarują się jako wierzący. Krytykują jednak Kościół, kler, za nieprzestrzeganie zasad przez niego głoszonych, przede wszystkim zaś za wtrącanie się do polityki. Nie interesuje ich politycznie doniosła rola, jaką spełnił Kościół polski w czasach komunizmu. Oczekują od niego przede wszystkim duchowego wsparcia na poziomie jednostkowym i tu, jak podkreślają, coraz częściej spotyka ich zawód:

Jestem osobą wierzącą w BOGA, a nie w Kościół, który niczym nie przypomina domu Bożego, miejsca modlitwy, stał się areną polityczną. Nie mogę w to uwierzyć, że księża, którzy głoszą codziennie kazanie o miłości, przebaczeniu, pokorze itp. sami są zakłamani, pełni obłudy i nienawiści.

Człowiek przychodzi do świątyni po pomoc dla duszy, a nie po to, by wysłuchać programu wyborczego – to mamy w telewizji.

[Kościół, przyp. S.S.] *nie potrafi przebaczać, często łamie zasady etyki chrześcijańskiej.*

Przewijającą się w tych wszystkich wypowiedziach tęsknotę za elementarną więzią międzyludzką, ustanawiającą proste relacje wzajemnej uprzejmości, można by, jak myślę, ująć w ramach swego rodzaju 'etyki serdeczności', serdeczności nienatrętnej, nie narzucającej się, a jednak takiej, która uniemożliwi zagnieżdżenie się na stałe w naszej rzeczywistości wrogości, egoizmu, nienawiści. Tu więc pojawia się ów pozytywny element, którego brakowało we wcześniejszych wypowiedziach. Główną szansą dla Polski okazuje się „uczłowieczenie społeczeństwa".

Polacy coraz bardziej odsuwają się od siebie. Każdy patrzy na swoje i potrafi zabić, aby się wzbogacić. Brak jest tolerancji dla odmienności. Ludzie nie interesują się drugą osobą. Każdy warczy na siebie. Brak jest uśmiechu, głupiego „dzień dobry", przyjaznych gestów. Powinniśmy dać z siebie więcej miłości i uczucia dla innych. Jeśli ludzie będą się szanować i interesować o losy innych, w Polsce poprawi się.

Ostatecznie więc w świecie, w którym operuje się wielkimi liczbami, rozmawia wyłącznie o katastrofach i o kataklizmach, młodzi akcentują wagę smutków i trosk. I choć można ubolewać nad tym, że znajdują się tak wyraźnie poza wymiarami historyczności, polityczności, kultury, pozwalają przypomnieć sobie o jednej, bardzo ważnej rzeczy – że gdy mówimy o tych dużych, poważnych sprawach, wielokrotnie zapominamy o tym, z czego powinny one wyrastać, by nie skostnieć gdzieś po drodze, nie przytłoczyć bezdusznym ciężarem – o zwykłej ludzkiej życzliwości.

Samanta STECKO

Zapiski sołowieckie (VI)

„Nie wybieraj się na Północ dla rozrywki, chyba że za rozrywkę uznasz zdobywanie i pogłębianie wiedzy, tu bowiem wiele można się nauczyć".

***Astolphe DE CUSTINE*, „Rosja w roku 1839"**

Lato na Sołowkach jest krótkie i gwałtowne, jak ejakulacja. Ledwie śniegi wsiąkną w ziemię, zieleń pokrywa Wyspy, w okamgnieniu zrazu delikatnie, niby szmaragdową pianą, powleka drzewa, potem wytryska z każdej szpary, spod głazów monastyrskich ścian się wyściubia, wyścieła drogi, zarasta pomojki, zaciąga rzęsą jeziora i stawy, nawet kamienie... zielenieją. Łąki są pełne kwiatów, soczystych traw i ziół o mocnym, cierpkim aromacie: miodunki, wyki, iwan-czaja, złocienia, rumianków, tawuły, jaskrów, dzwoneczków, kostrzewy, różowych nieśmiertelników, zwanych kocimi łapkami, dmuchawców, weroniki, fiołków, groszków gwiaździstych, wierzbownicy, niezapominajek, lwich paszcz, koniczyny, wiechliny, wyczyńca. Na łęgach rośnie rosiczka, moroszka, wrzos, paproć, mech torfowy, wełnianka, łochynia, skrzyp, żurawina i bagno. Wszystko to kłębi się, pyli się, mnoży się i dzieli się, i pnie się do słońca, które tu latem świeci dwadzieścia godzin na dobę, niczym monstrualna lampa.

Ludzie na Sołowkach, jak te rośliny, też cieszą się światłem, też sycą się ciepłem i *kuczkujutsja,* bez umiaru. Słowo *kuczkowat'sja* w miejscowym slangu oznacza akt płciowy i pochodzi od *kuczki* – kupki, czyli dosłownie *koczkowat'sja* to zbierać się w kupkę...) Każdy z każdym, jak leci, przy-

padkiem złączeni, lub wódą, wspólnie pitą. A potem rodzą się dzieci, jak obrzynki, każdemu czegoś brakuje: to uma, to mamy, to domu. I rosną, jak te rośliny, sołowieckie.

●

11 lipca 97

Po miesięcznym pobycie w Polsce i Francji, wróciłem do siebie – na Cypel Śledzia. Ogród tymczasem zarósł pokrzywą, mokrzycą i dzikim szczawiem, pajęczyny dom zasnuły, a koty się skołtuniły i trzeba je będzie wystrzygać. I tylko morze za oknem jest Białe, jak było, i w moim komputerze nic się nie zmieniło – wystarczy włączyć ekran, by stare ślady znaleźć, ślady swoich myśli, sprzed miesiąca. I teraz, kiedy znowu siedzę za piśmiennym stołem, z oczami utkwionymi w rozjarzoną wodę (właśnie przypływ się zaczął), to mam wrażenie, iż Paryż i Normandia, Wrocław i Kotlina Kłodzka, były sennym przywidzeniem, zaś ludzi, których tam spotkałem, wymyśliłem. Nawet dom w Maisons-Laffitte, chociaż tak realny, bo przecież wysyłam doń swoje teksty (ba, dzięki niemu jestem), stąd raz się jawi lądem stałym, dokąd można by przybić, a innym razem świetlnym mirażem na rozedrganym widnokręgu...

Polskę stąd widać małą i ciasną, i podrażnioną. I jeszcze mam w uszach tę osobliwą, pełną pretensji, intonację dzisiejszej polszczyzny – po pięciu latach nieobecności w kraju moją uwagę (filologiczną) zwrócił rytm potocznej mowy rodaków – ów podwyższony ton, w którym jedni mi dowodzili, że i Papież, i król popu wybierają Polskę, a inni, że wszyscy tam kradną. Miłosz zauważa, że Polacy przyjeżdżający z Rosji, nie potrafili się znaleźć w Rzeczpospolitej. Na przykład ojciec poety: „Rosja była przestrzenią, człowiek nie musiał na każdym kroku zderzać się z człowiekiem i ktokolwiek w niej zasmakował, musiał później źle się czuć w krajach bardziej cywilizowanych, ale gęsto zaludnionych i ciasnych. To właśnie przydarzyło się mojemu ojcu. Mieszkając później w Polsce stale narzekał na brak rozmachu, na małość wszystkiego i marazm". Lub Lednicki, który po powrocie do kraju popadł, cytuję: „w trudny do nazwania konflikt pomiędzy

szerokością horyzontów właściwą liberalnej inteligencji rosyjskiej i należącym do niej cudzoziemcom, a cechą dość powszechną w polskich zbiorowiskach, którą można nazwać tylko słowem rosyjskim: *mielkost'*. Ot tak: *mielkost'*.

Natomiast Paryż nawet stąd pachnie wanilią i jadłem. I jeszcze czuję ból w nogach, „bo przecież Paryż do chodzenia jakby specjalnie został stworzony i nie znam innego miasta na świecie, po którym chodziłoby się równie ekstatycznie" (Krzysztof Rutkowski, „Raptularz końca wieku") Ale powoli nikną i wonie i tony i bóle... Zaciera się smak deszczu w winie, które piliśmy z Wiktorem pod Hotel Lambert i zapach morza w mulach, które jedliśmy z Agatą i Wojtkiem w Yport. I blednie noc świętojańska w Port de Montobello i zacichają bębny Malicka Laye w Cafe Calife i bas Matty Mâ z wolna milknie. I blakną kolory „Damy z jednorożcem" w Musée de Cluny i witraże z Notre Dame się ćmią. I tylko rysy przyjaciół, spotkanych po latach, nabierają ostrości, z biegiem czasu...

Tutaj, na Cyplu Śledzia, parę tysięcy wiorst od Paryża, przeglądam album Czapskiego, słucham płyty Paolo Conte, a na moim piśmiennym stole leży ostatnia *Kultura,* kilka fotografii, parę sztychów Ducolleta i plik notatek o dekadencji zachodniego świata – jako dowód, że on jeszcze istnieje.

●

Gombrowicz twierdził, że nie wolno pisać „zupa pomidorowa jest dobrą zupą", bo to uzurpacja, natomiast mamy pełne prawo mówić „mnie smakuje zupa pomidorowa". Oto styl, wedle Gombrowicza. Być może to kwestia stylu, lecz ja bym poszedł dalej – w konkret. Bo przecież bywają zupy pomidorowe niedobre, czasem przypalone, czasem przesolone, więc tylko powiedzenie „mnie smakuje ta zupa pomidorowa" ma realny sens. Na przykład: ta, którą jadłem na obiad w Maisons-Laffitte, była naprawdę pyszna! Ów obiad wspominam nieprzypadkowo, bo z pytań, które mi za stołem zadawano, pojąłem, że choć już trzeci rok piszę do *Kultury* o Sołowkach, nikt nie wie, jak tu żyjemy... na co dzień: co jadamy, jak się odziewamy, czym czas wypełniamy?

I tam, za stołem, bodaj przy kaczce nadziewanej, a może przy deserze (fantastyczna napoleonka!), przyszedł mi do głowy pomysł na ten ustęp. Ustęp o naszym życiu-byciu powszednim, sołowieckim. Zaznaczę od razu, że nasz byt w niczym się nie różni od sposobu życia innych Sołowczan (rzecz jasna, pomijając bomżów), bo warunki Dalekiej Północy narzucają określone formy postępowania: zarówno w domu, jak i na morzu. I tak: karmią nas tutaj i woda, i ziemia, i las.

– *Morie eto nasze polie* – mawiają Pomorcy. Bo na tych szerokościach geograficznych zboże nie rośnie i ryba tu nierzadko zastępuje chleb. W Białym morzu żyją różne ryby, często niespotykane w polskim języku, dlatego nazywam je po tutejszemu. Najprzód idzie *sieliodka,* czyli tłusty śledź, z którego Sołowki jeszcze za cara słynęły, oraz *treska* (dorsz), dzięki niej Pomorców dawniej *treskojedami* zwali. Obie na zimę solimy, w solidnych beczkach. Dalej *nawaga,* maleńka acz znakomita, *koriuch,* pachnący świeżymi ogórkami i wielka *kambała* (flądra), tę łowimy na oścień. Rzadziej zachodzi w sołowieckie zatoki czerwona ryba, z rodziny łososiowatych: *sjomga, garbusza, kumża.* Czasem też *sig* (sieja) w sieci trafia, lub *pinagor.* (Prócz ryb morskich, jadamy też słodkowodne, bo jezior tu bez liku i ryb w nich w bród: jest i okoń, i sielawa, i płoć, i jazgarz, i miętus, i karaś, nieraz szczupak się łapie, niekiedy pstrąg, lub karp). Ryby łowimy na wędkę, w sieci, na oścień i więcierzem – jak kto umie i lubi. Zaś zimą sieci się stawia pod lodem, albo się siada z wędą nad przeręblą, obserwując grę słońca w torosach. Morze nie tylko rybę nam daje, ono drwa na opał wyrzuca i morską kapustę, bogatą w witaminy i jod. Zaprawdę, karmiciel.

Ziemia na Północy jest trudna do uprawy. Żyznej gleby tu mało, przeważa piach, glina i kamienie. Czasem grunt na grządki trzeba przywieźć z dala, potem grządki się szaluje, by deszcz gruntu nie wymył, nawozi gnojem, lub *niaszą* (zgniłymi wodorostami) i tylko wtedy można sadzić. Klimat tu także nie sprzyja ogrodom: śnieg leży długo, ziemia wolno taje, a częste przymrozki zwarzają rośliny. Za to słońca mamy pod dostatkiem, bywa nawet, że za dużo, ot rzodkiewka, dla przykładu, rośnie w pędy, zamiast w korzeń, od nadmiaru światła. Na Sołowkach dominuje kartoszka – główny produkt

spożywczy na Wyspach. Ba, kartoszka, to tu więcej niż jadło, to święta roślina postsowieckich czasów. Jej sadzenie ma charakter obrzędu: na początku czerwca (obowiązkowo przed Trojcą), w jednym czasie wszyscy razem wychodzą na grządki, całymi rodzinami; zady w niebo wypięte, jak przy pokłonach, najpierw dwa, trzy dni kopią, potem zagrzebują bulwy, troskliwie przez zimę przechowane, a potem... piją tydzień, albo dłużej, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Podobnie wygląda okopywanie i zbiór urodzaju. Swoja kartoszka na Wyspach to gwarancja, że z głodu nie umrzesz. Sołowczanie, naród leniwy, lubią kartoszkę i za to, że trudu wielkiego nie trzeba – wystarczy zakopać, okopać i wykopać. Ani pielenia, ani podlewania, żadnych rozsad. Inne kultury, wymagające większej pieczołowitości i pracy, rzadko się tutaj spotyka. Trochę pomidorów w parnikach, gdzieniegdzie truskawki, rzepa i szczaw, a hodujących kwiaty można na palcach jednej ręki zliczyć. Nie dziw więc, że nasz ogród najpierw Sołowczan osłupił, a potem machnęli nań ręką: *wot innostrancy.* Albowiem u nas, oprócz kartoszki, truskawek, rzepy i szczawiu rośnie sześć gatunków sałat, kalafiory, groch i bób, szczypior, koper i pietruszka, marchew, kapusta, buraki i rzewień, melissa i mięta, chrzan i złoty korzeń, i kwiatów zatrzęsienie, i nawet *Cannabis indica* mi tu wyrosła, całkiem niezła. I ilekroć czytam „Rok myśliwego" Miłosza, to mimo woli porównuję nasze ogrody. Tam, na Niedźwiedzim Szczycie, Miłosz sadzi *bougainvillée,* przesadza fedżoje, a jelenie mu podjadają kwiaty heliotropu. My tutaj, na Cyplu Śledzia, sadzimy kartoszkę, przesadzamy rzewień i różową radiolę, a sąsiedzkie kozy podszczypują nam szczypior.

Lasy na Sołowkach są grzybne, jagodne i grząskie. I trzeba buty gumowe nakładać, idąc do lasu. Do lasu chodzimy od połowy lipca, wcześniej tam pusto, jeno komary, maszkara i gnus. Pierwsza pojawia się moroszka, jagoda o kształcie maliny i barwie bursztynu, rośnie na niskich krzaczkach, na błotach. Puszkin przed śmiercią poprosił o nią... Potem dojrzewa czarna jagoda, łochynia (inaczej „pijanica", bo odurza), i zaczynają się grzyby, grzybowe szaleństwo, tylu grzybów w życiu nie widziałem. Tu się zbiera nie wszystko, bo po co komu maślaki, kiedy z

prawdziwymi trudno się uporać. Najcenniejsze są mleczaje i chruszcze, te solimy na zimę, by w lutym z kartoszką... palce lizać. Do suszenia zbieramy koźlarze czerwone i zwykłe i, oczywista, prawdziwki, zwane tutaj *biełymi*. Inne – kurki, gąski, rydze, smardze – czasami do zupy bierzemy, jako przyprawę, nie więcej. Niektórzy jeszcze młode muchomory suszą, bądź na nalewkę, bądź na lekarstwo. Ponoć szamani Samojedów wieszczyli po nich. Jesień to pora borówki, jarzębiny i żurawiny. Dwie ostatnie zbieramy po pierwszych przymrozkach. Z jagód konfitury smażymy, lub nad parą je dusimy w wielkich słojach. A Wasilicz z nich goni taki samogon, że łzy po kieliszku ciekną.

Resztę kupujemy. U sąsiadów mleko, i krowie i kozie, z którego sami robimy twaróg i masło, a w sklepie chleb, sól, olej, zapałki, herbatę i wódkę. Czasem jaja. I mąkę na bliny. Natomiast mięso Wasia nam przywozi, raz w roku, późną jesienią. To oleni comber, to łosi udziec, to niedźwiedzie łapy...

Tak żyjemy.

●

Latem na Wyspy Sołowieckie zjeżdżają goście, nie z tej ziemi: zwiedzający i wierzący, podróżnicy i pątnicy, cudzoziemcy, dyplomaci i cudacy. Przywożą ich z Archangielska, z Kiemi i z Biełomorska, rzadziej z Oniegi, czasem z Sum-Posada. Na statkach, na barkach, na kutrach. Bogatych samolotami. Goście wysiadają, rozglądają się, kwaterują się. A potem się rozpełzają, pojedynczo i grupami: z kamerami, z kodakami, z paletami i z bedekerami w różnych językach. Łażą, pozierają, pojadają, popijają, poziewują, czasem obłapiają się. Można ich spotkać na ścianach monastyra, w sklepach i na błotach, palą ogniska na brzegu, pieką szaszłyki, zostawiają puste butelki i pełne prezerwatywy w krzakach... Niekiedy urządzają „dni pamięci" o ofiarach SŁON-a lub międzynarodowe sympozja teologiczne.

Rok temu mój znajomy z Nowosybirska, zresztą doktor nauk filozoficznych, w trzy dni przeankietował Sołowczan, a potem traktat spłodził, pt. *„Socjalnopsichologiczeskije mechanizmy żiznieobespieczenija nasielienija w usłowijach ekonomiczeskogo krizisa"*. Zaś całkiem niedawno był tu William Gasperini, korespondent *CBS NEWS*, który zamierzył esej o Wyspach Północy: Sołowieckiej, Kiżi i Wałaamie, przeznaczając dwa dni na każdą. Po kilku piwach wyznał, że dłużej nie może, bo w Moskwie nań czeka ruska żona, z malutkim *baby*. Pamiętam też fotografa z Warszawy, ten pstrykał mnisie obrzędy z przejęciem, acz bez żadnego pojęcia o... prawosławiu. Potem w *Polityce* jego fotoreportaż znalazłem, z komentarzem drugiego, którego tu wcale nie było.

A propos Polaków na Sołowkach. Choć różni tu przyjeżdżają, i studenci, i nie tylko, jedno ich cechuje: brak szmalu! Czasem aż wstyd za rodaków. Bo się obnoszą, jak „tygrysy Europy", a ruble liczą, niczym dolary. Zaś na pytanie, po co tu przyjechali, nie mając pieniędzy, odpowiadają, że myśleli, że w Rosji jest tanio. I na wszystko kręcą nosem: i na brud, i na smród, i na złą obsługę. Patrzą z wysoka, wiedzą lepiej. Nie zapomnę pewnego filozofa, dyrektora Instytutu Religioznawstwa jednego z najstarszych uniwersytetów w Polsce, który mi udowadniał onegdaj, że spuszczanie zeka z Sekirnej góry należy między bajki włożyć, bo to panie nielogiczne, przecież można ich było zastrzelić... Lub inny gość znad Wisły, doc. dr hab., spec od błot, tego panie nic, prócz naszych błot, nie zajmowało. Lub polski biznesmen, gdzieś spod Rawicza, czy Kielc, ten po kilku głębszych w tutejszej knajpie jął panie perspektywy interesu na Wyspach rozwodzić, a potem nagle był wymiękł, zeszmaciał, zwomitował i nie chciał za sprzątanie po sobie zapłacić. Takich przykładów wiele.

●

W lipcu 1872 r. przyjeżdżał na Wyspy Sołowieckie Niemirowicz-Danczenko, pisarz, podróżnik, badacz ruskiej Północy. Był tutaj niedługo, parę dni. Potem napisał książkę, pt. „Sołowki. Wspomnienia z podróży z pielgrzymami" (wyd. Sankt-Petersburg, 1904). Znaczący podtytuł, określający status pisarza: nie pielgrzym, tylko podróżujący z pielgrzymami, obserwator raczej, niż uczestnik modłów, podróżnik – niewierzący. Ledwie przybyli na miejsce, czerń pątnicza

ruszyła ku Świętemu jezioru, by grzechy obmyć, zgodnie z obyczajem, przed wejściem do świątyni błogosławionych Zosimy i Sawwatia, zaś Niemirowicz-Danczenko, z boku stojąc, notował: „Ciemne ciała ociężale chlupnęły w wodę. Potem długo się pluskali, z namaszczeniem, jakby obrzęd religijny odprawiali. Jeden nabrał w garść wody i z nabożeństwem ją wypił, drugi się żegnał, zanurzony po szyję, trzeci psalmy śpiewał. Woda zaś była daleka od czystości. Mętna, choć miękka...".

Wasilij Iwanowicz zachwyca się Sołowkami, ich przyrodą, landszaftem, klimatem, podziwia gospodarność mnichów, ich skrzętność, pracę, wynalazki, natomiast nie trawi ascetyzmu, który jest dlań zaprzeczeniem życia. Patrząc z okien hotelu na monastyr i Zatokę Pomyślności, pisze: „Zaiste, widok stąd niezwykły, a przezroczystość powietrza, przymglona oprawa odległego lasu i nieprawdopodobny, nieomal południowy lazur nieba przydają mu szczególny urok... Cudny zakątek wybrali dla siebie sołowieccy mnisi. Tak, tutaj chciałoby się widzieć ludny posiołek z dźwięcznym śmiechem dzieci, swawolących wśród zieleni łąk, ze śpiewem dorodnych kobiet, z kosiarzami nie w kłobukach i riasach". I dalej pyta, do końca niepewny: „Czyżby takie szczęście nie było lepszą pieśnią na chwałę Pana, prawdziwszą modlitwą, najpiękniejszym psalmem...". I rekapituluje „Moje serce przyrastało do tej przecudnej wyspy i gdyby nie ascetyzm jej mieszkańców, to sądzę, że byłbym gotów zostać tu na zawsze".

Dzisiaj mamy na Sołowkach ludny posiołek, zaś szczątkowe formy ascetyzmu nikomu już nie zawadzają. Niby więc ziściły się marzenia Niemirowicza-Danczenki i co? Zamiast dzieci na łące swawolących, buszują w pomojkach głupkowate płody alkoholizmu, zamiast śmiechu i śpiewu dorodnych kobiet, słychać wrzaski pijanych bab, a kosiarze... tylko patrzą, gdzie wypić. Byłby-li gotów dzisiaj tu zostać na zawsze Wasilij Iwanowicz?

●

Jest takie ruskie słowo *osołowiet'*. *Osołowiełyj* – to osowiały, zmarkotniały, bądź... nieswój. Tutaj, na Wyspach,

owo słówko nabrało nowego znaczenia (od nazwy Wysp) i oznacza człowieka, który bez Sołowek żyć nie potrafi. *Osołowiełyj* – po naszemu – to pomieszany na punkcie Sołowek, innymi słowy: sołowiecki wariat. Nie wszyscy, rzecz jasna, osuwają się z *uma*, wielu tu przyjeżdża (np. turyści), by się poszwędać, popstrykać, pokręcić na tle landszaftu i zniknąć, bez śladu. Tacy, na ogół, niewiele stąd wywożą: parę rolek filmów, kasetę video, czasem trypra. Ale są i owacy, którzy raz tutaj przyjechawszy, wracają potem, znowu i znowu, i śnią o Sołowkach, i Sołowkami bredzą, i wreszcie zostają na Sołowkach, na stałe. O tych mówimy, że *osołowieli* byli z kretesem, i jeśli nawet wyrwą się z Wysp na chwilę, to Białe morze mają w oczach. I gdzie by nie trafili, wszędzie będą... osowiali. Nieswoi.

Mariusz WILK

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
W NIEMCZECH ZACHODNICH
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
– Literatura piękna i fachowa,
– Albumy, plakaty, pamiątki,
– Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Wiersze

Antoni PAWLAK

POWĄZKI TRAVEL
(list do Andrzeja Saramonowicza)

Działacze Ligi Republikańskiej zażądali usunięcia z cmentarza powązkowskiego w Warszawie grobów przywódców komunistycznych

Drogi Andrzeju przesyłam ci grabki
wiaderko
i łopatkę

prawica
to nie tylko MYŚL
ale i CZYN

daj przykład i sam przenieś te truchła
z cmentarza na śmietnik
historii

zmarli tak lubią podróże

* * *

zmarłego trudno poklepać po plecach
objąć serdecznie powiedzieć; poczekaj
Andrzej kawałek cię odprowadzę
bo nie odprowadzamy do taksówki
a jednak
idziemy za nim leżącym
jakbyśmy chcieli powiedzieć; stary
nie bój się
nie jesteś sam

potem już tylko trzy salwy
piasku o trumnę

niech dusza jego
związana będzie
w węzełek życia

23 maja 1997

* * *

to lekkie pukanie w okno
to nie śmierć jeszcze
to tylko gałęzie drzew

brzęk naczyń w kuchni
nagły płacz telefonu
w sąsiednim pokoju
niespokojne szepty książek
poza tym cisza

śmierci nie ma – żeby napisać
takie zdanie
trzeba być bardzo młodym chociaż
w jakimś sensie to prawda
bo nie ma śmierci
jak ze średniowiecznych rycin
w kapturze i z kosą
śmierć to młoda dziewczyna
która idzie przez park
w zwiewnej sukience w grochy
beztrosko machając torebką

to lekkie pukanie w okno
to nie śmierć jeszcze chociaż
jeśli wytężysz wzrok zobaczysz
jak zbliża się
tanecznym krokiem

jesień 1996

Antoni PAWLAK

Elizabeth BARRETT BROWNING (1806-1861)

DROGI MIŁOŚCI
(The Ways of Love)

W jaki sposób cię kocham? Miłość zna tyle dróg.
Kocham cię tak głęboko, szeroko, wysoko
jak dosięga ma dusza, a nie sięgnie oko
z dala od krańców Bytu, gdzie Łaski czystej próg.
Kocham cię wśród powszednich potrzeb dnia – żaden dług,
tylko ten spokój w słońcu, lub przy świecach w mroku.
Kocham cię otwarcie, jak ci z wiarą głęboką.
Czysto ciebie kocham, jak ci bez pochwał i trwóg.

Kocham cię z namiętnością tą, co wpierw karmiła
dawne żale. I z wiarą dziecka w moim łonie.
Kocham cię miłością, którą niemal zgubiłam
z moimi świętymi; wszystkim co oddech wchłonie:
śmiechem, łzami – jak długo Bóg zechce bym żyła.
Kochać cię będę jeszcze lepiej po mym zgonie.

Elizabeth BARRETT BROWNING
Przełożył Jerzy Pietrkiewicz

*** Nowy przekład z „Antologii liryki angielskiej, 1300-1950", której trzecie powiększone wydanie ukaże się w listopadzie tego roku nakładem Inst. Wyd. PAX. Tłumaczone po raz pierwszy na polski utwory z tej „Antologii" (pod tytułem „Barok angielski") drukowała *Kultura* w czerwcu 1949 r.**

Cykl „Sonnets from the Portuguese", który zawiera „The Ways of Love", mistyfikuje autorstwo. Poetka wręczyła ten cykl mężowi dopiero po ślubie.

Archiwum polityczne

Uwagi o perspektywach integracji z Unią Europejską

Wydana ponad dziewięćdziesiąt lat temu rozprawa Maxa Webera na temat protestantyzmu jako etyki kapitalizmu, przez kilka dziesięcioleci była inspiracją badaczy poszukujących odpowiedzi na pytanie o zależności między religią a zachowaniami gospodarczymi. Kolejne badania dowodziły istnienia tych zależności ponad wszelką wątpliwość, ale ich doniosłość praktyczna była bardzo ograniczona. Z czasem moda na ten typ badań wygasła i dziś trudno doszukać się współczesnej literatury, która podejmowałaby ten problem. Rzecz interesująca, gdyż pojawił się w międzyczasie zupełnie nowy materiał empiryczny. W krajach Europy Zachodniej obserwujemy dziś proces zacierania się różnic gospodarczych między społeczeństwami o dominującej tradycji protestanckiej i krajami o dominującej tradycji katolickiej. Nie zadecydowała o tym bynajmniej postępująca laicyzacja, a raczej charakter integracji europejskiej.

Badacze zajmujący się związkami między religią a zachowaniami gospodarczymi zwracali szczególną uwagę na takie czynniki jak oświata (podczas gdy religia protestancka nakazywała wiernym samodzielne studiowanie Biblii, w krajach katolickich znacznie dłużej utrzymywał się lęk przed dopuszczeniem ludu do słowa pisanego), odpowiedzialność jednostki za własny los (silnie akcentowana w religii protestanckiej i pomijana w religii katolickiej), silniejsze powiązanie kościołów protestanckich ze społecznościami lokalnymi typu państwo, region, miasto *versus* hierarchiczna ponad-

państwowa struktura kościoła katolickiego. W efekcie na przestrzeni ostatnich czterystu lat w krajach o tradycji protestanckiej szybciej podnosiła się wydajność w rolnictwie, szybciej postępowało zróżnicowanie zawodowe ludności, szybciej rozwijały się miasta, a wreszcie, w ostatnich dwóch stuleciach, mieliśmy do czynienia z widoczną dominacją techniczną tych krajów. W krajach o tradycji katolickiej nie tylko obserwowaliśmy znacznie wyższe zatrudnienie w rolnictwie, ale ludność wiejską długo dzieliła od mieszkańców miast cywilizacyjna przepaść. W krajach katolickich (również Europy Zachodniej) obserwujemy do dziś znacznie większą, centralizację władzy (w niektórych euroregionach decyzje, które po jednej stronie granicy państwowej podejmować może wójt, po drugiej podejmuje minister) zaś ludność społeczności katolickich częściej skłonna jest do rewolty niż do podejmowania działań samorządowych. Społeczności katolickie cechuje znacznie wyższy stopień nieufności do władz, a równocześnie wobec tych władz stawiane są znacznie wyższe (często wręcz nierealistyczne) oczekiwania.

Ostatnie półwiecze przyniosły jednak w Europie Zachodniej rewolucyjne wręcz zmiany. Nie ulega wątpliwości, że głównym mechanizmem, który wymusił owo zacieranie się różnic między społecznościami o tradycji protestanckiej a społecznościami o tradycji katolickiej, była integracja europejska, a w szczególności Wspólna Polityka Rolna EWG. Ta, tak krytykowana dziś, Wspólna Polityka Rolna EWG przez kilka dziesięcioleci była podstawowym mechanizmem transformacji zawodowej i cywilizacyjnej oraz głównym mechanizmem wyrównywania poziomu gospodarczego najpierw w europejskiej szóstce, a następnie w dwunastce. Ktokolwiek interesuje się dziś weberowską koncepcją związków między religią a zachowaniami gospodarczymi, powinien przede wszystkim zająć się studiami nad historią przepływu pieniędzy pomiędzy krajami zrzeszonymi w EWG, we Wspólnocie Europejskiej, a następnie w Unii Europejskiej.

Na samym początku pierwszymi beneficjentami były Francja i Włochy. Można powiedzieć, że pieniądze popłynęły z Północy na Południe, a krajem, który wkładał do wspólnej kasy najwięcej, były Niemcy Zachodnie. Za co lub też na co

kraje europejskiej Północy płaciły krajom europejskiego Południa i co właściwie te kraje różniło najbardziej?

Ten podział na Północ i Południe jest trochę mylący. Jeśli przyjrzymy się przepływom pieniędzy między krajami Europejskiej Wspólnoty od jej początków do dnia dzisiejszego, bez trudu można zauważyć, że lwia część pieniędzy ze wspólnej kasy przepłynęła z krajów o dominującej tradycji protestanckiej do krajów o dominującej tradycji katolickiej. W pierwszym okresie strumień pieniędzy płynął z Niemiec i krajów Beneluxu w kierunku Francji i Włoch. Z czasem, kiedy szóstka powiększyła się o Wielką Brytanię, Hiszpanię, Portugalię, Irlandię, Grecję i Danię, Francja stała się największym obok Niemiec donatorem, zaś główny strumień pieniędzy popłynął w kierunku Irlandii, Hiszpanii, Portugalii i Grecji, a więc kolejnych krajów katolickich oraz jednego kraju o tradycji prawosławnej.

Czy jest jakieś wyjaśnienie fenomenu zacofania tych krajów w stosunku do krajów protestanckich? Przede wszystkim zaważyły tu różnice w wykształceniu ludności miejskiej i wiejskiej. Ludność wiejska w tych krajach nie umiała się zorganizować, nie umiała bronić swoich praw i była wiecznie obiektem manipulacji i wyzysku. Wybuchały częste bunty, ale na przykład rozwój ruchu spółdzielczego był nieporównanie słabszy niż w krajach o tradycji protestanckiej. Innym elementem błędnego koła była mentalność elit politycznych w tych krajach. Te elity były świadome przewagi gospodarczej krajów protestanckich i głęboko przekonane, że tajemnica tej przewagi kryje się nie w strukturze rynku, a w ilości fabryk. W efekcie ściągano z ludności wiejskiej coraz większy haracz, żeby budować przemysł, co powodowało dalsze wyjałowienie rynku wewnętrznego. Nawiasem mówiąc, tę taktykę do groteski doprowadzili komuniści. Jednak przykład Włoch, Francji, Hiszpanii, czy w jeszcze większym stopniu krajów Ameryki Łacińskiej, wskazuje wyraźnie, że to nie komuniści wymyślili tę taktykę, że oni ją tylko udoskonalili. (Nie prześcignęli jednak w tym zakresie dyktatorów państw muzułmańskich, polityków hinduskich, czy afrykańskich kacyków.)

Inicjatywa Wspólnoty Europejskiej wyszła od Francji i

zaczęła się od Wspólnoty Węgla i Stali. Francuzi mieli nadzieję na pomoc przy budowie przemysłu. Niemcy byli gotowi zapłacić Francuzom za to, żeby francuska klasa polityczna przestała dyskryminować własną ludność. Dlatego właśnie przepływy wspólnotowych pieniędzy szły głównie z funduszy Wspólnej Polityki Rolnej.

Pojawia się tu jednak istotne pytanie, jaki interes miały Niemcy Zachodnie w tym, aby własnymi pieniędzmi wspierać zmiany społeczne we Francji i we Włoszech? Niemcy wywołały dwie wojny światowe, próbując zdobyć swoje miejsce w grupie mocarstw kolonialnych. Po przegraniu drugiej wojny światowej na kolejną próbę nie miały już szans. Niemieccy politycy musieli poszukiwać postimperialnej formuły ekspansji gospodarczej, formuły opartej raczej na partnerstwie niż na podboju. Ich nadzieją był rozwój chłonności rynków krajów sąsiednich. Wschód był zamknięty, pozostawała szansa pokojowej ekspansji na Europę Zachodnią, a w tym celu należało zainwestować w potencjalnych klientów. Zarówno Niemcy jak i Japonia były w podobnej sytuacji. Po przegranej wojnie ich rynki zbytu ograniczały się najpierw do rynku wewnętrznego, a w dalszej perspektywie musiały być oparte wyłącznie na handlu. Było to zaprzeczenie taktyki rozwoju z okresu kolonialnego. Kolonializm opierał się na podboju, na przymusowym otwieraniu obcych rynków i na militarnej osłonie własnego monopolu. Problem polegał na tym, że dwie wojny światowe, które miały stworzyć nowy porządek w kolonialnym świecie, ostatecznie doprowadziły nie tylko do klęski tych, którzy rzucili rękawicę mocarstwom kolonialnym, ale również do rozpadu samego systemu kolonialnego. Wielka Brytania, która była największym mocarstwem kolonialnym i w rzeczywistości tym krajem, z którym Niemcy w obydwu tych wojnach konkurowały przede wszystkim, znalazła się w gronie zwycięzców, ale zaczęła tracić jedną po drugiej swoje kolonie, a co gorsza nie umiała się rozstać z imperialną mentalnością. (Brytyjska Wspólnota Narodów z gospodarczego punktu widzenia okazała się całkowitym niewypałem i nie przyniosła większych pożytków ani Brytyjczykom, ani byłym brytyjskim koloniom.)

Ostatecznie Niemcy rozwinęły swoją koncepcję post-

kolonialnego rozwoju raczej w konkurencji ze Stanami Zjednoczonymi niż z Anglią.

Zaraz po drugiej wojnie światowej Europę Zachodnią zalała amerykańska żywność i amerykańskie towary przemysłowe. Było to zbawienie, ale niosło również groźbę, że w ciągu kilkunastu lat Europa Zachodnia będzie całkowicie zależna od USA. Politycy niemieccy wyciągnęli wnioski z amerykańskiej taktyki w okresie poprzedzającym drugą wojnę światową i w czasie wojny. (Ta taktyka polegała na szybkiej modernizacji regionów rolniczych i na przeciwdziałaniu pauperyzacji ludności odchodzącej z rolnictwa.) Stąd, głównym narzędziem budowania Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej była Wspólna Polityka Rolna i wspomaganie rozwoju pełnego rynku w krajach katolickich Wspólnoty przez kraje protestanckie. W efekcie, po kilku dziesięcioleciach tej polityki, Francję i Włochy określało się czasem mianem krajów „postkatolickich", zaś Hiszpania, Portugalia i Irlandia są krajami, w których bardzo szybko zanika charakterystyczna dla państw katolickich przepaść cywilizacyjna między miastem a wsią.

Jak się ma ta historia do perspektyw i problemów integracji Polski z Unią Europejską? W dzisiejszej Polsce w regionach wiejskich mieszka około 40 procent ludności. Zróżnicowanie zawodowe tej ludności jest bardzo małe. Ponad 80 procent dorosłej ludności na wsi zajmuje się wyłącznie rolnictwem. Średnia wykształcenia na wsi jest niższa niż w miastach, dominuje wykształcenie podstawowe lub zawodowe. To jest jednak tylko statystyka. Ludność wiejska to absolwenci wiejskich szkół. Rekrutacja nauczycieli do szkół wiejskich przed komunizmem, w czasie komunizmu i po komunizmie była i jest taka sama. Jeśli ktoś nie ma szans na zdobycie atrakcyjnego zawodu to może zostać nauczycielem, a jeśli nie ma szans na zdobycie pracy w mieście, to zostaje skazany na pracę w wiejskiej szkole. Oczywiście i tam są wyjątki, osobiście znam wspaniałych nauczycieli pracujących w wiejskich szkołach, ale regułą jest rekrutacja negatywna, która jest konsekwencją struktury płac, warunków pracy i priorytetów elit politycznych. Jeśli dołożymy do tego brak jakiejkolwiek stymulacji intelektualnej w większości

wiejskich rodzin, to końcowym efektem jest całkowite nieprzygotowanie większości absolwentów szkół wiejskich do nowoczesnego rynku pracy.

Po upadku komunizmu, a więc po roku 1989, sytuacja się pogorszyła – drastycznie spadło na wsiach czytelnictwo prasy, zamknięto znaczną część wiejskich bibliotek, zamknięto większość przedszkoli, na uniwersytetach gwałtownie maleje liczba studentów ze wsi. Polskie elity polityczne uwierzyły w rynek i w to, że niewidzialna ręka rynku samodzielnie załatwi wszystkie problemy. Najwyraźniej nie zdawano sobie sprawy z tego, że stopień wielowiekowego zaniedbania tej grupy ludności jest tak poważny, iż nie wystarczy tu powiedzieć, że od dziś zmieniają się reguły gry. Zmiana struktury zawodowej ludności wiejskiej jest procesem, który w najlepszym przypadku musi być rozłożony na trzydzieści lat. Takie są doświadczenia najbardziej zacofanych regionów Europy Zachodniej oraz państw Dalekiego Wschodu. W tym czasie ludność, która jest na początku tego procesu dorosła, można skłonić do wzrostu wydajności pracy w tych dziedzinach, w których mają jakieś kwalifikacje, wdrożyć do zachowań rynkowych, skłonić do stopniowego przechodzenia na dwuzawodowość, a więc do bardziej wydajnej obsługi gospodarstwa (do redukcji czasu poświęcanego na jego obsługę) i do uruchamiania wiejskiej produkcji przemysłowej. Równocześnie główny nacisk poświęcony powinien być na edukację młodszego pokolenia, tak aby młodzież, która na początku tego procesu jest w klasach starszych, była jak najmniej nieprzystosowana do rynku pracy w momencie ukończenia szkoły, a ci najmłodsi, rozpoczynający naukę, żeby byli już w pełni przygotowani do życia w normalnym świecie. Ten proces w Polsce nie tylko się nie zaczął, ale jako program nie został nawet zwerbalizowany. Znowelizowana w 1995 roku Ustawa o Systemie Oświaty w artykule 96 przewiduje wyrównywanie poziomu szkolnictwa podstawowego, w szczególności w regionach wiejskich. Jak na razie Ministerstwo Oświaty przygotowało dopiero projekt realizacji tego zadania, zaś głównym postulatem owego projektu jest powstanie specjalnego zespołu. (W sierpniu br. ów projekt przygotowany przez jedną z pracownic Ministerstwa, czekał na jego

przeczytanie i podpisanie przez ministra.) W ostatnich latach szkoły podstawowe znalazły się w gestii samorządów, ale nie mamy tu jeszcze pełnego obrazu efektów tej zmiany. Wiadomo jednak, że obok efektów pozytywnych pojawiają się również pewne efekty negatywne. Po pierwsze samorządy mają w pierwszym okresie inne priorytety, wybrani przedstawiciele samorządu chcą się przede wszystkim pochwalić telefonizacją, nowymi drogami, nowymi budynkami; zatrudnienie nauczyciela z wyższymi kwalifikacjami nie daje większych szans pozyskania głosów w środowisku wiejskim, ani też pochwalenia się przed dziennikarzem lokalnej prasy.

Poprawa jakości nauczania w środowiskach wiejskich nie jest również priorytetem kuratoriów. Tu znów musimy powrócić do czegoś, co można by nazwać katolicką mentalnością; otóż we wszystkich krajach katolickich (czy to w Europie czy w Ameryce Łacińskiej) obserwujemy ten sam fenomen – gloryfikacji elitarnego wykształcenia i lekceważenia nauki w najmłodszych klasach; promocji najzdolniejszych uczniów i lekceważenia słabszych. Efektem tej mentalności jest wysokość płac i jakość kwalifikacji nauczycieli odpowiedzialnych za pierwszy okres nauczania oraz system ocen pracy nauczycieli na wszystkich poziomach. Społecznym efektem tej mentalności jest ograniczona ruchliwość społeczna. Szkoła nie wyrównuje szans, nie nadrabia braku stymulacji intelektualnej w domu rodzinnym dziecka, przeciwnie, wzmacnia istniejące społeczne podziały i odtwarza istniejącą strukturę wykształcenia. Reforma oświaty po upadku komunizmu w Polsce zmierza w pierwszym rzędzie do poprawy jakości nauki na uniwersytetach i w szkołach średnich, do których młodzież z tzw. warstw niższych ma coraz bardziej ograniczony dostęp. Jeśli ta taktyka będzie kontynuowana, to w momencie kiedy rozpoczną się poważne negocjacje na temat przyjęcia Polski do Unii Europejskiej, zatrudnienie w polskim rolnictwie może spaść o połowę, drastycznie zmaleje liczba gospodarstw rolnych, ale będziemy mieli do czynienia z dalszym, dramatycznym wzrostem liczby osób nieprzystosowanych do nowoczesnego rynku pracy. Oczywiście może to spowodować wahania ze strony unijnych partnerów.

Czy zatem wśród polityków Unii Europejskiej istnieje

świadomość tego, ze polski rynek może być bardziej atrakcyjny, jeśli wobec Polski zastosuje się taką samą taktykę jak kiedyś zastosowano wobec Francji i Włoch? Wydaje się, że nie. Pamiętajmy, że zmieniły się nie tylko okoliczności, ale i skład Unii Europejskiej. Co więcej, zapomniano już o pozytywnych skutkach Wspólnej Polityki Rolnej, zaś jej skutki negatywne stały się bardzo dokuczliwe. Wspólna Polityka Rolna była niebywale skutecznym narzędziem zmiany struktury zawodowej społeczeństw Francji i Włoch, bardzo przyczyniła się do radykalnej poprawy sytuacji w tym względzie w Hiszpanii, Irlandii, Portugalii i Grecji, ale w miarę osiągania swoich pierwotnych celów stawała się nieprawdopodobnie biurokratyczna, zaś obsługujący ją aparat w coraz większym stopniu koncentrował się na obronie swojego stanu posiadania. Od dawna należało ją zreformować, pamiętając o jej pierwotnych celach jako narzędzia modernizacji struktury zawodowej w krajach i regionach najbardziej zacofanych. Unia Europejska objęła jednak nowe kraje rozwinięte, takie jak Wielka Brytania, Dania, Szwecja, Finlandia, Austria; kraje które mają bardzo podejrzliwy stosunek do rozwoju przez partnerstwo. Szczególnie ważna jest tu Wielka Brytania. Brytyjczycy nigdy nie zamierzali naprawiać chorej struktury rynku w Indiach, czy w Kenii (wręcz przeciwnie) więc dlaczego mieliby to robić w Polsce? Jest gorzej, z obawą patrzą na zamiary kontynuowania takich praktyk przez Niemcy i to nie tylko dlatego, że nie chcą sami płacić za ten proces, ale i dlatego, że Niemcy mogą zyskać na tym najwięcej i staną się silniejszym konkurentem. Jest tu również pewna sprzeczność wewnętrzna – skuteczność Wspólnej Polityki Rolnej doprowadziła do wzrostu gospodarczego znaczenia rolnictwa. Rolników jest dziś co prawda dziesięciokrotnie mniej niż na początku tego procesu, ale na jednego rolnika pracuje 5-6 ludzi w przemyśle. Zatrudnienie w sferze produkcji i obrotu żywnością bynajmniej nie spadło aż tak radykalnie jak to się niektórym wydaje. Gdyby lobby rolnicze ograniczało się do rolników, to reforma Wspólnej Polityki Rolnej przeprowadzona by została dwadzieścia lat temu. Prawdziwa potęga rolniczego lobby ukrywa się w przemyśle, ale dziennikarze pokazują demonstracje rolników

i mało wiedzą o naciskach kół przemysłowych. Europejski przemysł samochodowy potrzebuje polskiego rynku jak powietrza, europejski przemysł przetwórczy jest rozdarty. Z jednej strony ma swój chroniony i subwencjonowany rynek, którego byt jest zagrożony, z drugiej, ma szanse dalszego rozwoju, ale te są uzależnione od długotrwałych i niepewnych inwestycji w budowę nowoczesnego rynku rolnego w krajach Europy Środkowej. Żeby takie inwestycje się opłacały trzeba przetrwać, tymczasem jednak toczy się walka o przetrwanie i rolnicze lobby naciska na zachowanie chociażby części dotychczasowej polityki rolnej i na wyłączenie z niej państw stowarzyszonych. Innymi słowy nie ma już chętnych na to, żeby zmuszać polskich polityków do tego, żeby przestali dyskryminować niemal połowę swojego społeczeństwa. W tej sytuacji wszystko wskazuje na to, że kolejne polskie rządy będą gwałtownie modernizować rolnictwo przez pauperyzację i dalsze obniżanie poziomu wykształcenia lwiej części ludności wiejskiej. Odnoszę wrażenie, że dostosowanie do europejskich norm przepisów prawnych i finansowych, modernizacja infrastruktury, modernizacja przemysłu, ba, modernizacja rolnictwa – to wszystko się uda i Polska lepiej lub gorzej spełniać będzie warunki procesu integracji z Unią. Problemem może okazać się dostosowanie poziomu kwalifikacji zawodowych ludności. W konkurencji gospodarczej nie chodzi o to, kto będzie miał więcej fabryk, to co się liczy naprawdę, to poziom wykorzystania ludzkiego potencjału. Może się okazać, że pod tym względem Polska będzie miała fatalne wyniki. Ogromna masa nieprzystosowanej do nowoczesnego rynku pracy ludności może poważnie zaważyć na obciążeniach budżetu państwa, na stabilności politycznej, na jakości polskich produktów, na konkurencyjności polskiej gospodarki jako całości.

Unia Europejska skoncentrowana jest dziś na swoich wewnętrznych konfliktach, na obronie przed naciskami Stanów Zjednoczonych i na obronie przed handlową ekspansją Dalekiego Wschodu. Mamy tu również do czynienia z czynnikiem psychologicznym – na początku lat sześćdziesiątych był nastrój optymizmu, dziś dominują stany lękowe. Europa Zachodnia ma za sobą długi okres masowego bezro-

bocia i poczucie zagrożenia, zadyszki w konkurencji handlowej ze Stanami Zjednoczonymi i z azjatyckimi tygrysami. Rynki Europy Środkowej analizowane są raczej jako szansa załatania dzisiejszych problemów aniżeli w perspektywie długofalowego planu budowania silniejszej Unii Europejskiej. Polacy są kuszeni możliwością kupowania europejskich towarów dziś i po części pozostawieni sami sobie jeśli idzie o strategię długofalową. Większość polskiego społeczeństwa opowiada się za przystąpieniem do Unii Europejskiej, ale dziś jeszcze nie wiadomo czym będzie ta organizacja i co właściwie wyłoni się po tych wstrząsach. Oznacza to, że kształtowanie integracyjnego procesu ze strony Brukseli dyktowane jest częściej krótkofalowymi interesami państw piętnastki niż długofalowymi interesami Unii jako całości.

Wydaje się, że na polskiej arenie politycznej istnieje bardzo mała świadomość sprzeczności tych interesów. Po długotrwałej zależności od Rosji i po absurdach komunizmu, nadal w Polsce pokutuje dość naiwna wiara w Zachód, ideologiczne, a nie pragmatyczne podejście do teorii ekonomicznych, idea gonienia, bez historycznej analizy. Wielu polskich polityków przez integrację rozumie dopasowanie Polski do zachodnich roczników statystycznych. W tym wszystkim istotne są również zjawiska psychologiczne, które określić można mianem „mentalności katolickiej". Jestem świadomy, że to określenie może prowadzić do całego szeregu nieporozumień. Chodzi tu jednak nie o wiarę i nie o działalność kościoła jako takiego, a o pewien typ postaw ukształtowanych historycznie. Kościół katolicki był niegdyś wielkim właścicielem ziemskim, podzielał wartości warstwy ziemiańskiej i dzięki poparciu ziemiaństwa zdołał się obronić przed Reformacją. W przeszłości bronił pańszczyzny, wstrzymywał rozwój oświaty w warstwach chłopskich, lansował elitarny model szkolnictwa. Dziś nosicielami tej „mentalności katolickiej" są zarówno antyklerykalne elity intelektualne, jak i część ludzi Kościoła. Te postawy dyktują często zupełnie różne motywacje – jedni chcą gonić Europę, drudzy bronią narodowych tradycji; ale końcowy efekt jest podobny – brak jakiegokolwiek nacisku na radykalną poprawę nauczania w środowiskach zaniedbanych. W krajach o tradycji katolickiej

najwyższym prestiżem cieszą się humaniści, istnieje warstwa inteligencka, do której niechętnie zalicza się inżynierów, czy na przykład weterynarzy; kształcenie specjalistów, troska o to, żeby robotnik, czy rolnik rozumiał instrukcję obsługi urządzeń, żeby miał pojęcie o księgowości, to nie nasza specjalność. I znów nie należy mieszać do tego Kościoła jako takiego. Kościół miał w przeszłości ogromny wpływ na ukształtowanie charakteru instytucji oświatowych, ale obecnie ten dominujący wpływ ma państwo, tak więc mówimy tu przede wszystkim o pewnych historycznych tendencjach, które są podobne w różnych krajach o podobnej tradycji religijnej. Oświata w tych krajach pozwala na zasilanie elit, wyławia niektóre talenty z warstw niższych, ale od czasów Reformacji ruchliwość społeczna w krajach o tradycji katolickiej jest znacznie słabsza niż ruchliwość społeczna w krajach o tradycji protestanckiej. Oczywiście gdybyśmy to porównali ze społeczeństwem hinduskim, to te różnice są właściwie nieistotne. Hindusi są niebywale zdolni, ale niemal warunkiem społecznego awansu jest dla nich wyjście poza własną społeczność. Doskonale to widać w Londynie, gdzie setki hinduskich lekarzy, prawników, inżynierów pochodzi z najniższych kast. Ci ludzie w Indiach pozostaliby na najniższych szczeblach drabiny społecznej.

Podobne mechanizmy ograniczające ruchliwość społeczną obserwujemy w społecznościach prawosławnych i muzułmańskich. (Niezwykle charakterystyczny jest tu obecny spór o oświatę w Turcji.) Jeśli w jakimś społeczeństwie jego znaczna część oddzielona jest od reszty przepaścią cywilizacyjną, jeśli wydajność tej części społeczeństwa pozostaje na poziomie reprodukcji prostej lub poniżej reprodukcji prostej (czyli jej utrzymanie przy życiu musi być dofinansowywane), bardzo trudno jest zmobilizować poparcie społeczne oraz środki potrzebne do przerwania błędnego koła.

Czy zatem Polska ma realne szanse na przystosowanie się do europejskiego rynku i do europejskich standardów w ciągu najbliższych 5 -10 lat? W ciągu ostatnich ośmiu lat dokonał się w Polsce niebywały postęp. Dokonała się rewolucja i nadal są jeszcze ogromne możliwości wzrostu. Oczekuje się, że w najbliższych latach Polska utrzyma wysoki wzrost gospo-

darczy. Pytanie jednak, czy polscy politycy będą umieli myśleć w kategoriach 10-20 lat. Taniość polskiej siły roboczej szybko przestanie być atrakcją, w konkurencji handlowej liczy się jakość i wydajność, a ta uzależniona jest od kwalifikacji szeregowego robotnika, od kwalifikacji urzędnika, od ilości wynalazków (często bardzo drobnych), od umiejętności zarządzania zespołami ludzkimi. Chwilowo dokonuje się szybkie rozwarstwienie społeczne i równoległy wzrost z jednej strony ludzi błyskawicznie adaptujących się do nowej rzeczywistości i zabezpieczających dobre wykształcenie swoim dzieciom, z drugiej strony – grupy ludzi, którzy w jeszcze większym stopniu niż dotychczas stają się uzależnieni i których dzieci wchodzą na rynek pracy dysponując niemal wyłącznie siłą swoich mięśni. Ilościowe proporcje między tymi dwiema grupami zadecydują o powodzeniu owej integracji.

Wydaje się, że modernizacja rolnictwa jest problemem wtórnym wobec kwestii rozwoju regionów wiejskich oraz długofalowej strategii zawodowego zróżnicowania mieszkańców wsi. Znaczną część kosztów tego procesu musi tak czy inaczej ponieść sama wieś, warto więc zastanowić się w jakich warunkach będzie to możliwe, a w jakich nie. Jeśli ludzi wyruguje się z jedynej pracy, którą potrafią wykonywać, to przekreśli się szanse tego, żeby sami się utrzymywali i tego, żeby łożyli na wykształcenie swoich dzieci. Znaczna część mieszkańców wsi nie nadaje się do żadnej pracy poza rolnictwem i jedyna rzecz, którą możemy zrobić to pomóc im zwiększyć wydajność ich pracy, pomóc w organizacji systemu rynkowego na wsi, poprawić informację dla rolników i zmniejszyć korupcję otaczającą handel żywnością. Tworzenie na wsi miejsc pracy poza rolnictwem również nie dokona się w wystarczająco szybkim tempie bez wsparcia ze strony państwa. Najsilniejszej ingerencji państwa wymaga jednak system oświaty na wsi.

Koncepcja sterowania tymi procesami wymaga dyskusji, w której punktem wyjścia musi być stan dzisiejszy, rzeczywista sytuacja a nie francuskie, czy niemieckie roczniki statystyczne.

Do wypracowania skutecznego programu niezbędna jest

świadomość znaczenia semantyki w tej całej dyskusji. W Polsce strategicznym celem nie jest zwiększenie produkcji żywności, a transformacja zawodowa wsi. Nie tyle rolnictwo wymaga polityki interwencyjnej ze strony państwa, ile rozwój regionów wiejskich. Zbyt szybka zmiana struktury gospodarstw rolnych może się okazać równie katastrofalna jak przeprowadzenie w ubiegłym stuleciu zniesienia pańszczyzny w Rosji (i w Polsce w zaborze rosyjskim) bez przeprowadzenia reformy rolnej. Wzrost rentowności gospodarstw małych i średnich winien dokonywać się nie tyle przez intensyfikację produkcji co przez jej dostosowanie do potrzeb rynku. Tworzenie nowych miejsc pracy na wsi musi uwzględniać istniejące w środowiskach wiejskich kwalifikacje i możliwości szkolenia zawodowego. Unia Europejska, Światowy Bank, Stany Zjednoczone mogą zrozumieć argumentację dotyczącą strategii rozwoju regionów wiejskich, natomiast będą się stanowczo opierały programom radykalnego zwiększenia produkcji rolnej w Polsce. Pamiętajmy, że Polska mogłaby zwielokrotnić swoją produkcję rolną, a rynek żywności jest terenem najbardziej drapieżnego konfliktu interesów i oczywiście próby wspomagania wzrostu produkcji żywności w Polsce będą natrafiały na opór zachodnich sojuszników.

Przygotowywanie strategii rozwoju regionów wiejskich musi zawierać założenie, że możliwości jego dofinansowywania mogą być jeszcze skromniejsze niż są obecnie. Koszty integracji z NATO, koszty integracji z Unią Europejską, zmiany w systemie celnym (ograniczające możliwości chronienia rodzimej produkcji rolnej), a wreszcie naciski polityczne na redukcję „subwencji dla rolnictwa" – wszystko to może spowodować odcięcie polityki rozwoju wsi od źródeł finansowego zasilania. W finansowaniu tej strategii liczyć się będzie każda złotówka. Tymczasem obecne subwencje dla rolnictwa są raczej wynikiem politycznych przetargów niż przemyślanego planu. Dialog, który mógłby prowadzić do takiego planu, wymaga jednak wysłuchania tego co mówi wieś i jej polityczni reprezentanci oraz zrozumienia, że nie wszystkie racje są po jednej stronie. Przedstawiciele miejskich partii politycznych kierują się często prymitywnymi uprzedzeniami i nie potrafią odmówić sobie przyjemności

okazywania pogardy swoim wiejskim partnerom. Wiele uwag pod adresem PSL jest głęboko słusznych, kiedy jednak sprowadzają się one wyłącznie do pouczania, kiedy nie widać żadnej gotowości wysłuchania drugiej strony, efektem owej „krytyki" jest wyłącznie przekonanie o antychłopskich postawach miejskich polityków i nasilenie tendencji do konfrontacyjnego charakteru polityki ludowców. Stan ruchu ludowego w Polsce jest dziś równie tragiczny jak kondycja polskiej wsi. Jest to jednak osobny problem, który wymagałby szerszego rozwinięcia.

Wśród europejskich krajów o tradycji katolickiej Polska ma dziś najbardziej anachroniczną strukturę zawodową i jest krajem, w którym największa grupa ludności wymaga szybkiego awansu cywilizacyjnego. W przeszłości zainicjowane przez Maxa Webera badania przestały fascynować badaczy, gdyż nie prowadziły do wniosków praktycznych. Wspólna Polityka Rolna EWG (aczkolwiek do badań tych nie nawiązywała) po części zasypała różnice gospodarcze między społecznościami katolickimi i protestanckimi w Europie Zachodniej. Ale zarówno ta polityka uległa głębokim wypaczeniom jak i zmieniły się okoliczności. Dziś ambicją większości zamożnych państw Unii Europejskiej jest zerowy lub dodatni bilans rachunków z Unią. Wejście do Unii Europejskiej jest nadal dla Polski historyczną szansą, ale głosy popychające w kierunku latynizacji jej rozwoju społecznego mogą być w kraju aż nazbyt skwapliwie podchwytywane.

Nie można wykluczyć, że przypomnienie wniosków z badań Maxa Webera i jego naśladowców może dziś prowadzić do całkiem praktycznych wniosków – może uświadomić, że likwidacja pewnych negatywnych skutków ubocznych własnej tradycji religijnej jest możliwa i że nie jest do tego konieczna ani zmiana religii ani ateizacja. Sam kościół w latach osiemdziesiątych nie tylko był otwarty na dyskusję w sprawie transformacji regionów wiejskich, ale nawet podejmował tu pewne konkretne działania. Niestety, wydaje się, że dziś zajęty jest wyłącznie katechizacją, a na perspektywy rozwoju oświaty na wsi patrzy ponownie z pewną obawą.

Andrzej KORASZEWSKI

Notatki nordyckie

Jedynym i dość żałosnym efektem wizyty premiera Cimoszewicza w Szwecji było zgodzenie się Perssona na ekokonwersję małej części polskich długów (50 mln SEK). Ekokonwersja polega na tym, iż polska nie musi zwracać tych skromnych 50 mln pod warunkiem, że przeznaczy tę sumę na inwestycje ochrony środowiska (resztę długu spłacać trzeba). Szwecja tak długo sprzeciwiła się planom ekokonwersji, gdyż nie wierzyła w ekologiczną dobrą wolę polskich rządów. ■ Szwedzki Elektroluks chce kupić wystawioną do prywatyzacji część polskiego Polaru. Dobra wiadomość, bo Szwedzi robią doskonałe lodówki, chłodziarki, zamrażarki etc. ■ W ramach pomocy dla polskich powodzian Szwedzi zaproponowali rozebranie i dostarczenie do Polski ohydnych żelbetowych bloków dziewięciopiętrowych, zbudowanych na początku lat 70-tych. W Szwecji bloki te były stawiane dla imigrantów i importowanych robotników. Dziś stoją puste. Koszt ich rozbiórki byłby bardzo duży. Firmy, będące ich właścicielami, miały nadzieję, że dostaną pieniądze z kwoty, którą rząd szwedzki przeznaczył dla polskich powodzian, za które dokonają tej operacji. Polska, na szczęście, odmówiła.

S.A

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Z perspektywy pogranicza

Powrót Europy Środkowej

Pamięć nie wystarczy, aby zachować jedność
ze swoją ziemią, odzyskać własną przeszłość.
Potrzebna jest jeszcze wola rozszerzenia
horyzontów i chęć przeżycia nowej przygody
Jean-Marie Domenach
„Europa: wyzwanie dla kultury"

Zdarzyło się to w Grazu, gdzie zatrzymałem się w drodze na Południe. Zdarzyło się to niemal na samej linii, którą, w 1946 roku Churchill pociągnął od Szczecina do Triestu i nazwał „żelazną kurtyną". Zatrzymał się tu kiedyś Ivo Andrić studiując to w Zagrzebiu, to w Wiedniu, to w Krakowie, to w Grazu. Rzecz ongiś normalna, dzisiaj raczej trudna do wyobrażenia. To tutaj w końcu lat dwudziestych XIX-ego stulecia student filozofii Stanko Vraz, Słoweniec, spotkał Ljudevita Gaja, chorwackiego lidera Ruchu Iliryjskiego i pod jego wpływem stał się pisarzem chorwackim. Rzecz dzisiaj także trudna do wyobrażenia. To w tych kręgach, na łamach założonego później w Zagrzebiu przez Vraca pisma literackiego *Koło*, kiełkowała zwolna idea jedności Słowian, idea stworzenia razem z braćmi Serbami wspólnego języka, wspólnej federacji... A potem otworzyły się kolejne karty historii Europy Środkowej: Jasenovac, Vukovar... Bywali tu także Polacy. Przez moment nawet pomyślałem o kawiarni na Thonethofie, gdzie ongiś wykładane były polskie czasopisma, ale myśl tę szybko porzuciłem na rzecz skromnej restauracji z bogatym *menu,* jak na stolicę Styrii przystało.

Gdy tylko wszedłem do restauracji starszy mężczyzna, rzuciwszy przez okno spojrzenie na tablice rejestracyjne mego samochodu, podszedł do mnie i zapytał: „Pan z Europy

Środkowej?" Oniemiałem. Co za pytanie? Tutaj, na samej linii nie tak dawnej jeszcze „żelaznej kurtyny", ten człowiek pyta mnie o co właściwie? O przynależność do innej Europy, tej biednej, chaotycznej, zagrażającej ludziom żyjącym w spokoju i dostatku? A może ma na myśli to, co się dzieje w byłej Jugosławii? A może chodzi mu o antysemityzm? Pozostaje jeszcze kwestia praw człowieka (i kobiet), mniejszości narodowych (wszak są psiakrew, i to wiecznie niezadowolone), braku dyscypliny, lenistwa, pijaństwa, tolerancji (przecież zaciera czystą tożsamość), nacjonalizmu (no i co z tego, że na Zachodzie też ma się nieźle, nasz jest gorszy), pluralizmu (dopuszcza istnienie wielu prawd, a przecież jest jedna i absolutna), marzycielstwa, frajerstwa, śmieci i odpadających tynków na ulicach, pewnych zapachów... O co mu chodzi? Wszystkie te myśli w jednej chwili przetaczały się przez moją kruchą środkowoeuropejską postać w obliczu tego schludnie ubranego pana, w tym nienagannie czystym lokalu, w którym płaci się stabilną walutą, w tym dostatnim, rzetelnie gospodarzonym mieście, którego obywatele obawiać się mogą jedynie... Odpowiedziałem: „Jadę z Polski. Ale również jakoby można powiedzieć także właściwie niby... z Europy Środkowej". Sytuacja przypominała trochę rozmowę z kelnerką w moim miasteczku, gdy na złożon zamówienie usłyszałem przytomne: „Ale to jest na wieprzowinie". Odpowiadając, że to nic nie szkodzi, nawet nie przypuszczałem jak wielki zawód jej sprawiam. Wreszcie wszystko byłoby jasne, no i dobrze jest mieć przynajmniej jednego Żyda w miasteczku. No tak, ale wówczas demaskowałem jedynie pewne fałszywe wyobrażenie. Natomiast teraz nie mogłem zaprzeczyć. Mogłem wprawdzie tego drugiego zdania nie dodawać, samo „z Polski" by wystarczyło, albo dodać śmiało i po prostu „z Europy". Czułem jednak, że w ten sposób bym stchórzył i że ten człowiek wiedziałby o tym.

– „A, to proszę do stolika. Dobrze jest czasem z kimś porozmawiać o sprawach istotnie nieważnych, a właściwiej ważnych nieistotnie. Jeśli się pan nie obrazi, to dzisiaj ja stawiam, ale jutro – rozumie pan, jutro – pan stawia". Oponowałem mówiąc, że jutro muszę być w Lublanie, na co w odpowiedzi usłyszałem: „Nic pan nie zrozumiał. Zresztą myśli pan, że w Lublanie mnie nie ma?"

Tak więc zdarzyło się to w Grazu, na słoweńskich mapach

oznaczonym jako Hradec. Dziwna rozmowa. Ja perswadowałem mu, że Europa Środkowa to fantom jedynie i do tego anachroniczny. On był innego zdania. W pewnym momencie pomyślałem nawet, że to sfrustrowany anty-Europejczyk, który chwyta się „dziewiczej i czystej" Europy Środkowej po to tylko, by przeciwstawić się eurokratom i unifikatorom. Gdy się słyszy głosy niektórych intelektualistów o tym jak jesteśmy potrzebni Europie, i że nawet „na nasze błędy jest pilne zapotrzebowanie", albo o tym że jako jedyni przechowaliśmy ducha i prawdziwe wartości dziedzictwa europejskiego, które gdzie indziej już zaginęły, to – przy założeniu, że podobne głosy mogły rozlegać się również w XIX wieku – trudno się dziwić naszym romantykom, a także niektórym piewcom idei Europy Środkowej, że ulegli pokusie mesjanizmu. W odniesieniu do mojego rozmówcy było to jednak tylko powierzchowne wrażenie, które szybko pierzchło ustępując miejsca rosnącemu zainteresowaniu jego osobą.

Ponieważ domyślałem się w nim adoratora minionych czasów rozmowę rozpocząłem tonem ironicznym rozprawiając o chorobliwej nostalgii habsburskiej i jagiellońskiej, o jedności w różnorodności, o „świętym poplątaniu", o „błądzeniu, które posuwa nas naprzód", o tolerancji, która jest jak bukiet różnych kwiatów, z których każdy pachnie inaczej, a jednak dopełniają się wzajemnie: o dziwnych krajach, w których „zasadą rządzenia była teoria *zarówno tak, jak i owak*", a właściwiej (uwzględniając najmądrzejszy umiar) *ani tak, ani owak,* co nieco później przemieniło się w *jestem za, a nawet przeciw;* o tym ni to Wschodzie ni Zachodzie posiadającym „zadatki systemu wielopartyjnego i nawyki jednopartyjnego"; o zjawisku posiadającym „monopol na niepewność", którego „horyzont jest szczególnie niejasny"; o krainie, którą poeci uważali „raczej za gorączkowy sen niż za coś konkretnego". A do tego wszystko upudrowane różem, pod którym skrywała się agresja, ksenofobia i zapyziała pyszałkowatość. Choćbym nawet przesadzał, choćby jego wspomnienia były inne, to i tak jest to świat miniony, zatopiona Atlantyda. Przywołałem przykłady Andricia, Vraca. Co z tego wszystkiego dzisiaj zostało? Proszę przejrzeć w dzisiejszej prasie doniesienia z byłej Jugosławii. A czy w waszej telewizji nie pokazują reportaży ze współczesnego Śląska czy Siedmiogrodu?

Przytakiwał, jakby chciał mnie uspokoić. „Tak, Europy

Środkowej *już nie ma i jeszcze nie ma*". Zwróciłem uwagę, że podobnie jak ja, gdy tylko zaczynał mówić o Europie Środkowej, natychmiast przywoływał cytaty. A gdy tylko w dalszych jego wypowiedziach zaczęły się pojawiać delikatne analogie, ambiwalencje, autoironiczne dygresje, lekki dystans nawet do spraw najistotniejszych, paradoksy i polifoniczne współbrzmienia, niepostrzeżenie zaczynałem odczuwać coraz większą z nim bliskość. Z tym zdaniem „już nie ma i jeszcze nie ma" mogłem się nie zgadzać, ale już samo jego brzmienie i konstrukcja były pociągające.

– Pyta pan, co z tego pozostało? Materia cywilizacyjna. Jest wprawdzie bardzo zniszczona, ale świeżej daty. Pozostaje namacalnym śladem ostatniej cywilizacji tego kontynentu. Potem były już tylko kultury narodowe. Ta materia cywilizacyjna pozostanie oparciem dla tych, którzy wyruszą w poszukiwaniu szerszych horyzontów i nowej przygody.

– To znaczy gdzie mielibyśmy niby iść?

– Ku Europie Środkowej.

– Nonsens. Mówi pan tak jak Zbigniew Brzeziński na wykładzie z cyklu im. Seton-Watsona: „Europa Wschodnia jest na drodze powrotu ku Europie Środkowej". Ale to było dawno i nieprawda. Powtarzając za Leopoldem Ungerem kwestią na dzisiaj jest: „Jak wyjść z Europy Środkowej i wejść do Europy". Ja mieszkam przy wschodniej granicy Polski. Obecnie płynie tam strumień funduszy z Brukseli na inwestycje przygraniczne. Wszyscy mówią, że ma to być Wschód i granica Unii Europejskiej. Są nawet tacy, co wchodzą na okoliczny wzgórek, rzucają spojrzenie na Wschód i widzą oddalający się i spowity mgłą inny kontynent. Tak więc jedyną istotną troską jest to, z której strony tej „żelaznej kurtyny" – o przepraszam – nowego *limes* Europy się znajdziemy. To samo dotyczy nowej struktury bezpieczeństwa. Gdzie chce pan znaleźć w tych procesach miejsce dla Europy Środkowej? Może była potrzebna przez moment, jako tymczasowa idea pomagająca bardziej oderwać się od Wschodu. Ale teraz? Przecież jesteśmy już prawie Zachodem. Dla nas jest to okres przejściowy, ale okres konsekwentnego i zdecydowanego przystępowania do struktur europejskich. Teraz z kolei spostrzegłem, że gdy zaczynam mówić o Unii Europejskiej i temu podobnych sprawach, to mój język się zmienia, mimowolnie dyscyplinuje, a miejsce cytatów zajmują slogany.

– A co jeśli ten okres przejściowy okaże się permanentny? Pozostaniecie tak wychyleni ku czemuś innemu niż sami jesteście, w oczekiwaniu, w kolejce, widząc szansę dla siebie w osłabieniu sąsiada. Tak niby u siebie a zwróceni w inną stronę. Adaptujący a nie tworzący, obciążający a nie wyzwalający, odczytujący scenariusz na życie przez kogoś innego napisany. Zawsze na prowincji, bo czymże jest powincja jeśli nie przejmowaniem obcych wzorów.

– No dobrze – zaczerpnąwszy powietrza powoli zbierałem siły do dalszej polemiki po tym ciosie w, co tu dużo mówić, czułe miejsce. – Przypatrzmy się zatem bliżej tej naszej Europie Środkowej. Co my tu mamy? Kilka koncepcji, choćby Palacky'ego, Naumana, Piłsudskiego, Masaryka. Wszystkie okazały się nierealne. Ostatnia, dysydencka, zyskała w latach osiemdziesiątych spory rozgłos w świecie. Dyskusja wybuchła po ukazaniu się eseju Milana Kundery „Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej", chociaż wcześniej problem ten poruszali Czesław Miłosz, Josef Kroutovor czy autorzy skupieni wokół redagowanego przez Ladislava Matejkę pisma *Cross Currents*. Zdaje się, że sporo w tym okresie osiągnięto. „Europejczyk wschodni ma już własne królestwo. Powstaje ono w miejscu jego życia. Jest to królestwo ducha, lecz mocno zakorzenione w rzeczywistości. Europejczyk wschodni pokolenia pojałtańskiego dziś potrafi obejść się już bez kultu Zachodu i, szczerze mówiąc, coraz rzadziej o nim myśli, coraz słabiej pamięta. Jest zbyt zaabsorbowany własnym życiem – tworzy nowe imiona Europy, u siebie, na miejscu". Piękne słowa Barbary Toruńczyk z *Zeszytów Literackich* z 1987 roku. Coś musiało zostać zbudowane, aby mogły być wypowiedziane. W tym też okresie znika ze spisu treści *Zeszytów Literackich* dział Europa Środka – skoro jesteśmy już u siebie i tworzymy „nowe imiona Europy", to nie ma sensu dalsze zmierzanie ku Europie Środkowej. Trzeba było jednak zaledwie dwóch lat, aby się przekonać, że to wcale nie jest tak. Okazało się, że owo „u siebie" to zaledwie tymczasowe miejsce pobytu, że trzeba zwijać namioty i ruszać w drogę ku lepszej, normalnej wreszcie Europie. Sprawa Europy Środkowej bardzo szybko stała się anachroniczna. Zepchnięta na boczny tor nie nadążała za biegiem wydarzeń. Powróciła do ulubionego swojego stanu pewnej nierealności i zawieszenia w próżni, do

– jak mówiono w Królestwie Cekanii – „aktywnego pasywizmu". Oto na przykład pojawiła się *Gazeta Środkowoeuropejska*, dodatek naszego głównego dziennika *Gazety Wyborczej*, i – jakby to powiedzieć – przypomina trochę reaktywowanie pamiętnego kolarskiego Wyścigu Pokoju, tyle że Berlin Wschodni został zastąpiony przez Budapeszt, a obok Pragi pojawiła się Bratysława jako osobna stolica. I to wszystko z nowego powiewu. Nie ma Bukaresztu, Kijowa, Wilna, Lublany i kilku jeszcze aspirujących do środkowoeuropejskości stolic. Choć będę niesprawiedliwy wobec wielu ciekawych tekstów, które tam się ukazały, to wydaje mi się jednak, że gazeta dzieli los martwoty tzw. Grupy Wyszehradzkiej. Kusi mnie aby przyrównać jej działania do słynnej Akcji Równoległej z Musilowskiego „Człowieka bez właściwości", która „tymczasem definitywnie odkłada kwestię autentycznego działania do późniejszego rozpatrzenia w myśl aktywnego pasywizmu".

– Proszę, proszę a tak się pan dopytywał o to, co z tamtego świata pozostało. Ale niech pan będzie łaskaw kontynuować dalej. Ciekaw jestem zwłaszcza spraw, które wydarzają się poza „kręgiem wyszehradzkim". Zdaje się, że dzieje się tam wiele ciekawego. Z Wilna dochodzą mnie słuchy, że Almis Grybauskas znalazł wreszcie poparcie dla idei wydawania pisma pt. *Europa Środkowa* i ukazał się już jego pierwszy numer. To, co zamiera w Pradze, ożyje w Wilnie być może. Nawiasem mówiąc, czy czasami *Zeszyty Literackie* nie przywróciły później tego działu „Europa Środka"?

– Przywróciły. Faktem jest także, że idea Europy Środkowej nabrała większego wigoru poza Grupą Wyszehradzką. W ostatnim numerze pisma *„i"* , wydawanego we Lwowie przez młodą inteligencję ukraińską, wielkimi literami wydrukowano zdanie Otto von Habsburga wypowiedziane w rozmowie z Olegiem Zajaczkiwskim: „Ukraina także należy do Europy Środkowej". W tymże Lwowie Centrum Badań Humanistycznych przy Uniwersytecie im. Iwana Franka zorganizowało ubiegłej jesieni konferencję pt. „Nowa Ukraina – Nowa Europa", podczas której zasadniczą kwestią stała się środkowoeuropejska tożsamość. W Mińsku pojawiło się pismo *Frahmenty*, z podtytułem „Środkowoeuropejski Przegląd Kulturalny". Gdy pojechałem tam ostatnio na seminarium zatytułowane „Inna Europa", spotkałem wielu ludzi będących pod silnym wrażeniem przetłumaczonego właśnie na język

białoruski i opublikowanego we *Frahmentach* eseju Kundery o tragedii Europy Środkowej. Dla jednych było to odczucie wspólnoty losów i szansa na odzyskanie utraconej tożsamości, dla innych ucieczka od Rosji. Ktoś trzeźwo konstatował: „ta idea może przynieść pozytywne rezultaty pod warunkiem, że jej inicjatorzy i realizatorzy będą świadomi, że to idea wymuszona, czasowa, (...) że to taktyka a nie strategia, fizyka a nie metafizyka". Ktoś inny podejrzliwie spoglądał w stronę Polski obawiając się, że za ładną ideą stoją nowe zakusy imperialne. Na podobnym spotkaniu w Zagrzebiu zetknąłem się z rzecznikami państwa narodowego i tożsamości narodowych, którym idea Europy Środkowej była potrzebna do obrony tych wartości przed europejską unifikacją. Potrzebowali także powiedzieć światu, że oni – w odróżnieniu choćby od Serbów – to nie Bałkany, że oni to właśnie Europa Środkowa. Cóż mogę dodać jeszcze? „Europa Środkowa jest rozbita, jakby to był powiększony Półwysep Bałkański. Dlatego też nie ma teraz żadnego sensu proponowanie jakichkolwiek planów i projektów". Nie, to nie są słowa któregoś z analityków bieżącej sytuacji w naszym regionie. Tak pisał pod koniec swego życia Friedrich Nauman w ostatnim numerze wydawanego przez siebie tygodnika *Mittel-Europa*. Był grudzień 1918 roku.

– Mimo wszystko jednak chciałbym panu coś zaproponować. To znaczy teraz będzie posiłek, ale potem, potem...

Zatem zdarzyło się to w Grazu, w czasie gdy część mieszkańców emocjonowała się otwarciem Muzeum Arnolda Schwarzeneggera, a część przeżywała fakt, że podczas odbywającego się tutaj Europejskiego Spotkania Ekumenicznego po raz kolejny zaprzepaszczono szansę spotkania zwierzchników kościołów katolickiego i prawosławnego. Mój rozmówca zaczął snuć swoje rozważania o pewnym polemicznym wobec Akcji Równoległej przedsięwzięciu, które nazywał Akcją Środkowoeuropejską. Miałby to być przeciwległy biegun do rozmaitych szczytów, spotkań na wysokim szczeblu, powoływania wysokich komisji i generalnych koncepcji. One mają swoje znaczenie, ale daleko niewystarczające. Trudno nie zgodzić się z tymi, którzy sądzą, że idea Europy Środkowej jest utopią, jeśli oczekuje się od niej stworzenia jakiejś wspólnej struktury polityczno-ekonomiczno-kulturowej.

Wysoce nierealistyczne wydają się usiłowania odgórnego zaszczepienia wspólnej idei pewnego grona intelektualistów, która zostałaby przyjęta przez różne państwa i narody. Jednak wszystko to nie przekreśla jeszcze sprawy samej Europy Środkowej, wskazuje jedynie czym ona nie może być jeśli nie chce pozostać nigdy nie zrealizowaną mrzonką. Akcja Środkowoeuropejska to kreacja a nie restauracja, to nie sojusze państw i strategie urzędów lecz codzienna współpraca pomiędzy obywatelami, miastami i regionami; to kupcy przecierający nowe szlaki i przedsiębiorcy uruchamiający wspólne inwestycje; to otwarte na sąsiedztwo uniwersytety, wydawnictwa i środki masowego przekazu; to działania interkulturowe, programy szkolne o charakterze integracyjnym, obozy młodzieży, kluby dyskusyjne, pielgrzymki, kursy językowe i zawody sportowe. Brakuje bardzo takiego budowania na samym dole, organicznego, ciepłego dzięki międzyludzkim kontaktom, a jednocześnie śmiałego w swych ambicjach i rozmachu. To jest praca przy mozaice, przy której nie operuje się dużymi płaszczyznami lecz małymi szkiełkami cierpliwie dopasowując je do siebie. Tak powstaje różnorodna całość.

Niedawno, z okazji przygotowywanej przez prezydentów deklaracji o pojednaniu polsko-ukraińskim, w telewizyjnym programie „W centrum uwagi" wystąpili trzej zaproszeni goście – jeden reprezentował polskie środowiska kombatanckie i dopominał się zadośćuczynienia za eksterminację ludności polskiej na Wołyniu, drugi reprezentował mniejszość ukraińską w Polsce i dopominał się zadośćuczynienia za Akcję „Wisła". Ponieważ przygotowywany dokument miał uwzględnić ich żądania, obaj panowie wyglądali na usatysfakcjonowanych. Dobry nastrój popsuł natomiast trzeci z gości, który zamiast zgodnie podkreślić kilkuletni trud włożony w przygotowanie tego dokumentu, ni stąd ni zowąd wyraził obawę, że to pojednanie pozostanie jedynie na papierze, że tak naprawdę to ostatnie lata przespaliśmy robiąc bardzo niewiele, że ciągle nie zostały opracowane i wydane odpowiednie podręczniki szkolne, że niewiele uczyniono dla pojednania polsko-ukraińskiego na poziomie społeczności lokalnych itd. 21 maja prezydenci Polski i Ukrainy podpisali w Kijowie deklarację o pojednaniu, natomiast zaraz potem w Przemyślu próbowano zablokować organizację festiwalu kultury ukraińskiej, we Lwowie wybuchła awantura o Cmentarz Orląt Lwowskich, a następnie zbezczeszczono

flagę polską wraz z innymi flagami państw sąsiednich w wiosce Leszno (dawna Poździacz) zniszczono tablicę upamiętniającą ofiary Akcji „Wisła"... Tym trzecim gościem w telewizyjnym studio był Bohdan Skaradziński. Pomyślałem, że jego postawa wyraża w istocie ducha Akcji Środkowoeuropejskiej. Taka postawa w gruncie rzeczy to jest coś innego niż podejmowanie działań w sprawach biegnących utartym torem i przez większość przyjmowanych za oczywistość. Środkowoeuropejczycy nie godzą się na istniejącą postać świata, są zniecierpliwieni i zbuntowani, niestrudzenie przeprawiają się na drugi, nieznany jeszcze brzeg. Za ciasno im w dotychczasowych horyzontach, ciągle poszukują nowej przygody i w ten sposób powracają do siebie.

Słuchając opowieści mojego rozmówcy o Akcji Środkowoeuropejskiej zacząłem uzupełniać ją o swoje własne doświadczenia i obserwacje. Zawracałem ku Europie Środkowej. Myślami biegłem ku moim Sejnom. Uświadomiłem sobie, że stosunkowo łatwo jest u nas stawać się Europejczykiem: szkoła ugruntowuje wiedzę o historii i kulturze zachodnioeuropejskiej, dostępna jest nauka języków angielskiego czy niemieckiego, w księgarni są książki Goethego czy Eco, są płyty Beatlesów, a przy tym nie ma żadnych uprzedzeń. Dużo trudniej jednak być Środkowoeuropejczykiem w Sejnach, co oznacza budowanie współistnienia z naszymi najbliższymi sąsiadami, na przykład Litwinami: w szkole niewiele się można dowiedzieć o ich historii, a o kulturze w zasadzie nic, język jest niedostępny zarówno w szkole jak i na kursach, w księgarni nie ma ani książek Baranauskasa czy Venclovy, ani płyt Ciurlionisa, a do tego dochodzą jeszcze urazy i uprzedzenia. Inicjując Akcję Środkowoeuropejską trzeba by uruchomić pewien boczny tor, zupełnie jeszcze nie przetarty. Czy jest to realne? To jest pytanie o Europę Środkową, o możliwość jej zaistnienia.

Starszy pan z Grazu na moje niepokoje odpowiedział kolejnym cytatem ze skarbnicy mądrości Królestwa Cekanii: „Jeżeli istnieje zmysł rzeczywistości, musi istnieć również zmysł możliwości". Na odchodnym – czując, że potrzebuję słowa otuchy na drogę powrotną – dorzucił jeszcze: „poczucie możliwej rzeczywistości należy stawiać wyżej od poczucia rzeczywistych możliwości".

Krzysztof CZYŻEWSKI

Sprawy i troski

Kartki ze skażonej strefy

Miałam szczęście prowadzenia długich rozmów z Edwardem Raczyńskim w jego londyńskim mieszkaniu. Niewidomy już wówczas, kruchy człowiek zadziwiał znajomością wszystkiego, co działo się aktualnie w kraju. Mnie jednak utkwił w pamięci inny temat, chyba ostatni, który zabrzmiał jak testament. Ten wysoki urzędnik II Rzeczpospolitej, stawiany dziś za wzór, zwierzył mi się ze swojej wizji politycznej, którą od lat nosił w sercu. Otóż był on gorącym zwolennikiem zbliżenia polsko-czeskiego, zbliżenia w okresie Dwudziestolecia niepopularnego. On jednak pod koniec życia z determinacją dowodził, że powinniśmy wyzbyć się uprzedzeń i traktować alians z Czechami jako ważny element naszej przyszłej polityki. Wyrazem tej jego idei była przyjaźń z Janem Masarykiem, tak zwanym młodym Masarykiem albo Masarykiem-synem. Obaj byli w czasie wojny ministrami spraw zagranicznych dwu sąsiedzkich krajów okupowanych przez Niemcy hitlerowskie. Obaj ubolewali, że przed wojną nasze wzajemne stosunki były chore, obaj omawiali programy uzdrowieńcze. „Planowaliśmy z Masarykiem – mówił Raczyński, dotykając mojej ręki jakby sprawdzając, czy słucham – że po wojnie on przemówi na wiecu w Warszawie (władał polskim biegle, a ja – w Pradze".

Historia zechciała inaczej. „Bratnia" granica między naszymi krajami została dokładnie odrutowana wedle porządku jałtańskiego. Masaryka niebawem komuniści defenestrowali z okna na Hradczanach, a Edward Raczyński, choć dożył na emigracji wolności, mógł już tylko gasnącym głosem przekazywać swój testament. Obraz ten zapadł mi głęboko w pamięć.

Drugi obraz, który widzę nie mniej wyraziście, pochodzi

z dzisiejszości. Oto goła polana na jednym ze starych wyrobisk kamieniołomu Ziemi Kłodzkiej, w środku ognisko, piwo i kiełbaski na patykach, w górze sierp księżyca, w dole my, czyli grupa dziennikarzy polskich, czeskich i francuskich. Kończymy trzydniową sesję objazdową po tej ziemi, sesję pod hasłem nowo narodzonego dziecka, czyli Euroregionu Ziemi Kłodzkiej obejmującego kawałek Polski i Czech. Pokazano nam wszystko po obu stronach, co w tak krótkim czasie pokazać można. Teraz czas pożegnań.

Słowa młodej dziennikarki czeskiej, która zabiera głos na końcu, zmieniają ton okolicznościowych przemówień. Nie bawiąc się w konwenanse, krótko syntetyzuje istotę naszych wzajemnych stosunków. Nie brzmi ona optymistycznie. „Brak nam informacji o sobie – mówi – więcej wiemy o Niemcach, Anglikach, nawet Australii, niż o was, a wy o nas. Po prostu, nie interesujemy się sobą". Kropka.

Głos ten daje mi do myślenia. Młoda Czeszka mówi to w czasie, kiedy dopiero co w pobliskim Nachodzie (który i nam pokazano) pieczętowali wzajemną przyjaźń prezydenci, Kwaśniewski z Havlem. Mówi to w czasie wielkiego przypominania sobie i odgrzebywania z historii małych ojczyzn euroregionów, wszelkich pogranicz, trójkątów i czworoboków, które inaczej wyznaczają układy ludzkich stosunków między sąsiadami niż granice państwowe. Jest chyba prawidłowością, że szczególnie w naszym, pototalitarnym kącie Europy, zupełnie spontanicznie, jakby odreagowując na kilkudziesięcioletnią izolację, tworzą się oddolne środowiska, grupując ludzi wedle sąsiedzkich interesów, powiązań, kultury. Wynikają stąd wspólne imprezy, akcje, spotkania, kontakty, nawet wspólne czasopisma. Jakby na te inicjatywy nie patrzeć, wydają się niekwestionowanie pożyteczne, tak w skali makro, interesów ogólnoeuropejskich, jak i w skali najzwyklejszych przygranicznych bieżących spraw. Nie waham się powiedzieć, że trwały rozwój tego typu organizowania się ludzi rokowałby dobrze dla Europy.

Ale wypowiedź młodziutkiej Czeszki zrodziła we mnie pytanie, czy aby te wszystkie bratania się są tworem autentycznych ludzkich potrzeb czy może tylko wybuchem przemijającej mody?

Na Ziemi Kłodzkiej prawdziwe zbliżenie miało miejsce wcześniej, za pokolenia rodziców owej Czeszki. To oni, nie

ona, która polskiego nie zna, nauczyli się po polsku, żeby czytać, słuchać i spotykać się z nami potajemnie w tutejszych górach, bo od Polski szedł wówczas wolny głos. Który z dzisiejszych tutejszych czterdziestolatków z okładem, po obu stronach granicy, nie pamięta owych spotkań i wymian z drugiej połowy lat osiemdziesiątych, maskowanych głośnym śpiewem rzekomo czysto turystycznych wędrówek, a potem gdy już się na przełęczach spotkali, owych pośpiesznych szeptów, wyładowywania z plecaków bibuły, owiniętej w dresy i skafandry. Kto nie pamięta rozmów o czesko-polskiej Solidarności, jak to robić, jak to „jeść"? O przyszłości, jak się już komuna zawali, o wspólnej przyjaźni i współpracy? To były czasy prawdziwego pojednania, które się zachowuje w sercu i na dnie szafy. Padają tytuły pisemek centralnych i regionalnych, wspomnienia miniaturkowych egzemplarzy *Kultury* jak przedwojenne mszaliki na bibułkowym papierze. Ktoś wzrusza mnie mówiąc, że ma jeszcze moje wywiady z prasy podziemnej, które ja dawno wyrzuciłam.

Tak, od nas szedł wolny głos, ale przecież na tym to polegało, że chcieliśmy się nim dzielić i to robiliśmy. Gdy więc nadeszły czasy, że mógł on wreszcie zabrzmieć swobodnie i u nich, każda z nacji zajęła się na gwałt własnymi sprawami, zapominając – oby na chwilę! – o niedawnych brataniach.

Kontakt duchowy zastąpił szmuglerski przygraniczny handelek z całą swoją barwną specyfiką. I to dziś oni, drobni handlowcy, znają perfekt oba języki. My od Czechów – borowiczki, śliwowicę i piwo, oni od nas – „odziewy", bo wiadomo, Polak od Czecha szykowniejszy w każdej epoce. Przekraczając granicę, widzę kolejkę „staczy", tak za komunizmu nazywano emerytów kolejkujących odpłatnie do wszystkiego, bo wszystkiego brakowało. Tutaj stacz nazywa się mrówką. „Mrówka" potrafi kilkadziesiąt razy dziennie przekroczyć granicę objuczona czeskim piwem dostarczanym do polskich kiosków.

Czy na tym więc koniec? Mamy poprzestać na przygranicznej wymianie chodliwych artykułów?

Na szczęście tutejsza inteligencja, na którą patrzę z ciekawością, bo stanowi jakby przedłużenie wymierającej w centrum kraju „klasy inteligenckiej", gdzie zastąpiły ją salony intelektualistów, snobujących się nuworyszów i ludzie z żądzą władzy; otóż tutejsza inteligencja myśli głębiej. Stworzyła

środowisko dążące do zbliżenia na wyższym poziomie, takim, który przeorywałby dawne resentymenty i stereotypy myślenia o sąsiedzie, jakby w przeczuciu, że tylko ta droga prowadzi do sytuacji, o której marzył Edward Raczyński.

Wyrazem ich dążeń stał się kwartalnik *Ziemia Kłodzka*, z wkładką czeską i niemiecką, zajmujący się sprawami bieżącymi, ale również historią. Tereny te, podzielone do pierwszej wojny między Prusy a Austrię, nie były bynajmniej zabitą prowincją. Przeciwnie, ze względu na swoje położenie – bliskość Pragi, Wiednia, Wrocławia – na swoje bogactwa podziemne i naziemne, były ważne i poważane, do tutejszych „badów" zjeżdżali dostojnicy pruscy (stąd do dzisiaj zwyczaj kurowania się tutaj Poznaniaków), tutejsze ziemie były też kolebką odnawiania się czeskiej tożsamości w XIX wieku. Pierwszym ideologiem tutejszego Euroregionu był czeski jezuita, Bohuslav Balbin.

●

Gdy się spojrzy na mapę, Ziemia Kłodzka stanowi dysonans w linii granicznej. Wdziera się prostokątnym półwyspem w Czechy, nie tłumaczącym się ani działem wodnym, ani górskim. Tak ją sobie podzieliły dawne mocarstwa, Prusy i Austria. W roku 1945 potwierdził granicę Stalin. Podobno pytał, czy są tam Polacy, odpowiedziano – nie. „Jak nie, to znaczy są, ale biedni – miał powiedzieć – więc niech ten cypel należy do Polski". Z początku rzeczywiście nie było tu nikogo. Czesi i Niemcy wybyli, dopiero po jakimś czasie przybyli polscy repatrianci ze Wschodu. Obarczeni kompleksem wypędzonych, czuli się tu obco, nie umieli i nie chcieli gospodarować na nieznanych górskich terenach. Tragicznie zaniedbane wioski, pozapadane zagrody są tego dobitnym przykładem. Ale ich dzieci były tu już u siebie i na swoim. Bez kompleksów, bez psychicznych obciążeń. Nie dziwię się wcale, że przykuło ich do tej ziemi nie tylko urodzenie, ale bezprzykładne piękno Gór Stołowych, architektura, a pod ziemią obiecujące bogactwo. Kopalnie złota i produkcja arszeniku, który, nawiasem mówiąc, król pruski słał Francuzom do trucia Napoleona, należą do przeszłości, ale Ziemia Kłodzka po polskiej stronie aż kipi od wód termalnych. Kudowa, Duszniki, Lądek czy Polanica są

zaledwie nikłym przykładem tego, co można tu odwiercić, tworząc przyrodolecznictwo na światową skalę.

Pokazano nam mnóstwo przedsięwzięć żywych, jak np, hutę szkła kryształowego produkującą wyroby na wszystkie kontynenty i historycznych, z pietyzmem zachowywanych, jak stary młyn papierniczy, gdzie tworzono luksusowy papier czerpany. Oprowadzano nas po wielu miejscach jakie się w takich razach pokazuje. Mnie jednak, jak zawsze, jak wszędzie, przede wszystkim zainteresowali ludzie. Podaję kilku, których sylwetki, myśli i słowa najwyraziściej zapadły mi w głowie.

Marek Kulpa, geodeta, pochodzenie tyleż nietypowe, bo z Krakowa. Ale jak mówi, od dziecka marzył, żeby zamieszkać w małym mieście i osiadł ostatecznie w Kudowie. Najlepszy jego przyjaciel jest Czechem z Nachodu. Żona wyswatała go z Polką. I co charakterystyczne, przyjaźń im głębsza, tym staje się trudniejsza. Wymaga i uczy tolerancji. W okresie budzenia się tolerancji. W okresie budzenia się wolności stosunki i porozumienie były łatwiejsze. Koloryt spraw był mniej zróżnicowany, teraz wszystko się pokomplikowało. Przyjaźń indywidualna przetrwała i nawet pogłębiła się ale jego zaangażowanie w społeczną robotę polsko-czeską jakby opadło. Na początku udzielał się znacznie mocniej. Pierwszy numer *Ziemi Kłodzkiej* wyrosły z Solidarności po obu stronach granicy i z Komitetów Obywatelskich wyszedł 11 listopada 1989 r. Wkrótce potem uchwalono ustawę samorządową. Był zapał i entuzjazm. Udzielał się wtedy znacznie bardziej i jako autor, i jako redaktor. Pamięta, jak po założeniu pisma, gdzieś o drugiej w nocy, chadzał pieszo z Kłodzka torami kilka kilometrów do stacji benzynowej, żeby złapać łebka do Kudowy. Pamięta szerokie zainteresowanie pismem, nawet UOP-u, prosili o regularne przesyłanie kolejnych numerów. A teraz? Teraz jakby się coś w nich samych wypaliło. Może oczekiwali szybszego i skuteczniejszego przełożenia ich działań na konkretne dokonania, większego oddźwięku u dorastającego pokolenia?

Warcisław Martynowski, urbanista z Lądka Zdroju; matka z Chyrowa, ojciec z Sambora. Euroregion rozumie jako myślenie w kategoriach ładu przestrzennego, wyrysowanego górami i działami wodnymi, ale także porządkiem ekonomicznym i historycznym. To wszystko tu było, ale PRL to zburzył. Chciałby ponownie odbudować dekanat Hrabstwa

Kłodzko.

Bolesław Jaśkiewicz, instruktor przewodnictwa górskiego od 1955 roku rodem z Częstochowy, ale gdy jako dzieciak zobaczył w fotoplastykonie Góry Stołowe, postanowił: tu, tylko tu! Mieszka w Polanicy. Jego głosu słuchamy przez trzy dni w autokarze. Objaśnia, co na lewo, co na prawo i co na wprost. Mówi bogatą, piękną polszczyzną, z erudycją, która nie nuży, podbudowaną anegdotą, znajomością detalu i dowcipem, erudycją dotyczącą w równej mierze tak strony polskiej, jak czeskiej. Dla niego nie ma tu różnic. Gdy milknie ze zmęczenia (wysokociśnieniowiec), brak mi nie tylko wiadomości, ale i jego zaraźliwego zaangażowania.

Nie sposób tu w telegraficznych biogramach umieścić wszystkich zapaleńców, którzy przesunęli się przed moimi oczyma. Myślę o młodym przewodniku (wziął zawód po ojcu) z Jaskini Niedźwiedziej i wesołej, niezmordowanej dziewczynie przeganiającej nas po szybach i sztolniach dawnej kopalni złota, myślę o paniach strzegących tajników młyna papierniczego, o Ryszardzie Gąsiorku, szefie biura podróży HER, oferującego usługi sanatoryjno-turystyczne szeroko zakrojne, to on zaprosił na sesję dziennikarzy z Bretanii. Jest biznesmenem całą gebą, ale również udziela się piórem w *Ziemi Kłodzkiej*. Myślę o Konsorcium „Turystyczna Szóstka" (od sześciu uzdrowisk), których działania oby sprostały nazwie.

Ma więc ta ziemia ludzi właściwych. Więc skoro tak, to dlaczego jest tak źle, jeśli jest tak dobrze? Zadaję to pytanie po to, żeby na nie odpowiedzieć paroma przykładami, ponieważ wydają mi się one znamienne jako zło ogólnopolskie, wyrastające z natury Polaków, którzy choć pierwsi w górnych zapałach, ale ostatni w cierpliwości długodystansowego działania. Do tego trudno nam się przemóc.

●

Przybywamy do Kłodzka o świcie pociągiem warszawskim. Stacja, jakby obiekt muzealny z epoki Gomułki. Wiekowe zaniedbania, wiekowe odrapania, niefunkcjonalność, brud. Brak miotły, dotkliwy brak miotły i kielni! A przecież miasto jest perłą, której przez osiem lat nie oszlifowaliśmy. Tu uwaga wstępna: nie zwalajmy na powódź. Obdzielała wodą sprawiedliwie polską i czeską stronę, a spójrzmy, jak to tam wygląda. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Zakwaterowanie w hotelu o tatrzańskiej nazwie Jamrozowa Polana, w szczerym lesie, z dala od siedzib ludzkich. Tu dla odmiany luksus i przepych, tylko że hotel, w którym każdy pokój ma łazienkę, radio i telewizor, a ściany i podłogi pokrywa marmur – nie ma zaplecza kuchennego. Jego klientelą mogą więc być tylko zamożni głodomorzy z wyboru. Obiekt zbudowała bogata elektrownia „Opole" (eksportuje prąd), ale dlaczego właśnie tak, trzeba by zapytać Mrożka, bo to temat dla satyryka.

Polanica. Tylko salon miasta ma wyrychtowany deptak, boczne uliczki i domostwa zdradzają podobnie jak Kłodzko komunistyczne zaniedbania. W środku Parku Zdrojowego sanatorium Wielka Pieniawa. Wygląda jak Grand Hotel Sopot. Ale gdy się wejdzie do hallu, nie ma już Grandu, jest granda. Wywieszka z nakazami i zakazami, i urzędnicza biurokratyczna wyniosłość, i niechęć personelu wobec kuracjuszy, którzy są dla nich przedmiotem a nie podmiotem ich działań. Sanatorium jest państwowe. Woła, krzyczy, jak wszystkie najlepsze obiekty tutaj, o prywatyzację. Daleka droga do raju.

Reprezentacyjny przyrodoleczniczy zakład „Wojciech" w Lądku Zdroju, gdzie pobierali kąpiele stacjonujący opodal generałowie radzieccy i nasi notable. Przepiękny okrągły basen, nad którym rozciąga się kopuła „Kaplicy Sykstyńskiej". Oglądamy to wszystko z galerii przy gościnnie serwowanym szampanie. Jesteśmy sami, brak gości. Dlaczego nikt się nie kąpie? Bo w weekendy zakład stoi. Tymczasem wiadomo, że biznesmeni, dla których ten właśnie zakład mógłby być ofertą, mogą sobie pozwolić na krótką intensywną kurację właśnie w te dni. Pomyślano o helikopterach, które by ich tu szybko dostarczyły, nie pomyślano o sobotach i niedzielach. A raczej pomyślano o dniach wolnych od pracy dla personelu.

Kudowa wypada w moich oczach najlepiej, ale tu na bolączki i paradoksy wskazuje sam burmistrz, Czesław Kręcichwost, który na szczęście zamiast laudacji mówi nam w krótkich żołnierskich słowach, że szosa z Kłodzka, łącząca wszystkie główne uzdrowiska, jest drogą śmierci, dramatycznie potrzebuje trzeciej nitki, choćby dlatego, żeby karetki mogły zdążyć do wypadków. Nie zdążają. Skoro mamy Euroregion, to dyrekcja Parku Narodowego tych samych przecież gór powinna być wspólna; zamiast formalnej granicy powinna

obowiązywać strefa przygranicznej wolnej konwencji. A tak, dzieci wożone autokarami na lekcje pływania do Czech muszą mieć indywidualne paszporty, nie mówiąc już o Zielonej Karcie (horrendalnie wysoka opłata ubezpieczeniowa wyznaczona niedawno przez nasze PZU dla pojazdów przekraczających granicę), która jest po prostu nokautem. Tu narzuca się pytanie, dlaczego polska strona Euroregionu, która kipi wodą bardziej niż czeska, basenów nie pobudowała, a Czesi to zrobili?

Na to pytanie odpowiedź znajdujemy zaraz po przekroczeniu granicy. Kontrast taki, jaki przeżywaliśmy za komuny przekraczając granicę z Zachodem. Czuliśmy to od razu, pod stopami, choćby w gatunku asfaltu. Tu jest podobnie. Inny świat. Boże, dlaczego Czesi potrafili to zrobić, a my nie?! Dlaczego w ciągu tych samych lat, przy tej samej transformacji i takim samym obciążeniu balastem przeszłości – potrafili „uzachodnić" swój kraj a my pozostaliśmy tak daleko w tyle?! Aż kłuje w oczy z zazdrości! Zachodnia infrastruktura, zachodni porządek, brak błota, brak naszego wszechobecnego błota! Dlaczego bratni Kłodzku Nachod w rozkwicie? Nie tylko fasad, ale od tyłów, od podwórek i bocznych uliczek. Wszystko odpicowane, kolorowe, odszorowane jakby mydłem. Podobnie wszędzie, choćby pobliski Broumov, miasteczko szczególnie dotknięte powodzią.

Odpowiedź, że ustawa reprywatyzacyjna w Czechach pozwoliła właścicielom obiektów objąć je w posiadanie, a oni natychmiast odrestaurowali je na cacka z epoki, tylko częściowo mnie zadowala.

Uważam, że różnica leży w ludziach. Różnimy się od Czechów. To prawda niezbita. Czech najpierw zadba o dom, a potem o własny wygląd i samochód. Polak odwrotnie. Dlatego na gładkich czeskich drogach kursują stareńkie skody, a na naszych kostropatych – mercedesy. Jednakże, nie tylko na inaczej ustawionych priorytetach kończą się różnice. Czesi mają we krwi „niemiecką" organizację tak indywidualną jak zbiorową. Kieruje nią logika i pragmatyzm. Cierpliwie robią swoje.

My umiemy tworzyć środowisko kulturalne, oni – materialne. Jak się wymieniać, jak dopełniać? Powtórzę: czy handel przygraniczny to pułap dążeń?

Czeszka przy pożegnalnym ognisku powiedziała niepokojące zdanie: „My się sobą nie interesujemy". Czy rzeczywiście wchodzące w życie pokolenie odpuści sobie wszelkie głębsze myślenie o Euroregionie? Nie podejmie roboty zaczętej przez ojców? Może tak być. Było na sesji kilkoro młodych czeskich dziennikarzy, milczeli i szybko znikli.

Należałoby się nad tym zastanowić. Zapewne, widzą to tutejsi aktywiści i stąd ich wyczuwalne zniechęcenie. Rozczarowanie może też wynikać z oglądu zmieniającej się scenerii politycznej. Nie chodzi o to, że ludzie z jednego do niedawna pnia podzielili się na różne polityczne opcje, to naturalne, ale że zobaczyli na własne oczy, jak swoi, właśnie przez nich wybrane władze samorządowe kompromitują się zwyczajną bezmierną nieudolnością. Tu wychodzi, o ileż łatwiej było gadać niż robić! A zdolni przywódcy z Warszawy budzą znacznie mniejsze zainteresowanie niż ich przedstawiciele na miejscu.

Niewątpliwie tego typu rozczarowania stopują ludzką aktywność. „Jak się na to patrzy – usłyszałam – wszystkiego się odechciewa".

Są jeszcze inne przyczyny zniechęceń. Tego rodzaju inicjatywy z natury rzeczy muszą działać w ciemno, po omacku, szukając własnych dróg. Są przecież nowe. Muszą uczyć się rozwiązywania problemów bez doświadczeń.

Byłam na imprezie organizowanej przez Sejneńskie „Pogranicze" na przeciwległym krańcu Polski. Wysoki poziom, arcyciekawe tematy i wypowiedzi zaproszonych gości. Tylko, że tam teren nawalił; miejscowi po prostu nie przybyli. Hermetyczne spotkanie, dla swoich, dla elit. Dotkliwy brak.

Tutaj, w Ziemi Kłodzkiej, towarzyszy nam stale tłum. Począwszy od władz polskich i czeskich, z ich senatorem włącznie, poprzez artystów, kupców, restauratorów, przedsiębiorców. Czy ten szeroki udział nie stanowi ogromnej szansy? Niewątpliwie tak. Chodziłoby tylko o to, żeby nie „gasić ducha", żeby przetrwać, w czym Polak słaby, ale Czech mocny.

A więc, zaczynając od siebie – jazda, do nowych pomysłów! Akurat to Polak potrafi.

Wrzesień 1997 r.

Ewa BERBERYUSZ

Wejście do Unii Europejskiej

Przeciętny Polak nie ma pojęcia co oznacza dla jego kraju wejście do Unii Europejskiej. I – jak to szczerze napisała *Gazeta Wyborcza* – może to wywołać falę silnych nastrojów antyeuropejskich, gdy już dojdzie do konkretów. Nie mówiąc już o tym, że Polska nie ma ludzi do Brukseli. Robi to wrażenie, że establishment celowo unika debaty o kosztach wejścia do Unii dla różnych grup społecznych. A już wiadomo, że pieniędzy do podziału będzie mniej, bo min. Waigel chce zmniejszyć niemiecki wkład z 0,6% do 0,4% niemieckiego GDP. Nie jest bowiem normalne, że Niemcy dają 12 mld ECU, gdy Anglia 2,3 mld ECU, a Francja 0,4 mld ECU (wkłady netto). Hiszpański minister spraw zagranicznych Abel Matutes już dał do zrozumienia w Brukseli 15-go września, że jeżeli jego kraj miałby dostawać mniej pieniędzy na skutek rozszerzenia, Hiszpania może użyć prawa veta. Na spotkaniu ministrów finansów w Mandorf (Luksemburg) irlandzki minister Charlie McCreevy też veta nie wykluczał. Tort do podziału nie może być większy, gdyż jest niemożliwe aby Niemcy nadal pokrywały 60% całej kasy Unii. Bardzo wpływowy Stoiber z bawarskiej CSU zauważył, że nikomu chyba nie zależy aby w Niemczech powstała silna partia typu Le Pena. Unia jest dla Polski ogromną szansą historyczną, ale za członkostwo pewne grupy będą musiały zapłacić, jak również pewne sektory gospodarki (polska bankowość z punktu widzenia Unii jest w złym stanie). O tym wszystkim już teraz trzeba głośno mówić i na to się przygotować, bo inaczej nastąpią przykre niespodzianki. Pod wieloma względami Polska jest nadal państwem w ruinie (*vide* pozycje zajmowane przez Polskę w międzynarodowych rankingach, ostatnio w najbardziej prestiżowym rankingu MID w Szwajcarii). O tym też trzeba ludziom mówić a nie uprawiać żałosnej propagandy sukcesu.

Stefan ABNER

Kraj

Z ukosa

1.

Okres letni spędziłem jeżdżąc trochę po Polsce, zajrzałem też na chwilę do sąsiada, na Słowację.W czasie tych podróży unikałem odgłosów życia politycznego, ale tu nie odniosłem zbyt dużych sukcesów. Gdyby tak zupełnie wyłączyć politykę, to jeżdżąc po Polsce można się nawet nabawić pewnego optymizmu. Bo jednak, mimo wszystko i na przekór, Polska wygląda coraz lepiej, wydaje się krzepnąć w nowej formie kapitalizmu. Ludzie też jakby coraz powszechniej są zadowoleni, chociaż nadal liczni narzekają, ale jakby z coraz mniejszym przekonaniem. U nas ludzie mają organ narzekania od wieków tradycyjnie obrzmiały. Pokazują go nawet gdy jest im dobrze, bo jak im dobrze to są niespokojni, że to się jednak źle skończy. Narzekają więc na wszelki wypadek by nie zapeszyć. A poza tym jak Polska długa i szeroka widać wielką krzątaninę wokół swoich interesów i gorączkę dorabiania się. To wszystko nie zawsze jest ładne, jest też bardzo nierównomierne, ale powszechna poprawa zdaje się wyraźna. Jest dostatniej, staranniej, rzetelniej. A też grzeczniej i życzliwiej. Tak, ale ta fasada kryje tyły, które często budzą niepokój. Dotyczy to zaplecza małego i wielkiego biznesu, małych i wielkich urzędów. Dopiero gdy zacznie się na wielką skalę wymiana ukrytej, nadgniłej infrastruktury, odbudowa fundamentów, jakże dzisiaj często używanych do budowy fasady, wtedy będzie można powiedzieć, że przekroczyliśmy pewien próg, a jak na razie to na nim stoimy, wyglądając coraz dostatniej.

Tak się złożyło, że odwiedziłem zasadnicze miejsca Polski, jej wdzięczny ogonek w postaci Helu, jej pomarszczone i piękne czoło, czyli Tatry. I pełen czułych zagłębień pępek, Kazimierz nad Wisłą. Wszędzie tam bywałem w dzieciństwie i w różnych fazach swojej młodości, która niestety nie była durna. Ale mi się to teraz ponakładało! Pamięć ma różne warstwy, czasami bardzo nieregularne. Nieustannie co było kilkanaście lat temu wydaje mi się, że było wczoraj i odwrotnie. Są miejsca, gdzie zupełnie się w tym gubię. Na dodatek towarzyszka moich podróży jest równie miła, ładna jak i młoda, co dopełnia moją metafizyczną konfuzję.

Na Helu w czerwcu było doprawdy luksusowo. W Chałupach udało nam się znaleźć pokój z widokiem na zatokę, gdzie kołyszą się żółte i niebieskie łódki, takie same jak kołysały się kilkanaście lat temu. Na dalekim brzegu w okolicach Pucka wyrosły dwa wielkie wiatraki produkujące elektryczność, ale nie szpecą krajobrazu. Jeszcze puste plaże, nad którymi już nie stoją strażnicze wieże, które wtedy przypominały, że cały kraj jest więzieniem o łagodnym rygorze. A wyrzucone przez morze opakowania ze Skandynawii, które tak rozogniały moją dziecinną wyobraźnię, nie są już strzępkami innego, lepszego świata. Rozmnożyły się restauracje i sklepy. Trwały wielkie przygotowania do sezonu, słychać było stukot wbijanych gwoździ i szum pędzli, które lizały w różnych kolorach helskie miejscowości. Nie da się jednak zastukać i zamalować szpetnej architektury, która w latach 60-tych i 70-tych jak pryszczami naznaczyła półwysep. Na szczęście ta brzydota nie ma dużych gabarytów i tonie w bujnej przyrodzie. Teraz buduje się lepiej, ale niewiele lepiej. Kiedy patrzy się ze statku na samą miejscowość Hel, to aż boli głowa jak to nabrzeże zostało pokiereszowane, jakby komuś zależało na brzydocie i na chaosie.

Za to wiele jest grzeczności i nawet entuzjazmu w sferze tak zwanych usług. Ta grzeczność na Zachodzie ma zwykle kształt bardzo formalny, to są profesjonalne sztance, zestaw form uśmiechu, u nas zjawisko jest nowe i znajduję w nim element spontaniczny, w którym jest świeża radość zarabiania pieniędzy. Chamstwo PRL-u tylko czasami odnajduje się

wśród urzędasów czy choćby w zachowaniu kontrolerów biletów w pociągach.

Kazimierz nad Wisłą jest do zniesienia poza *weekend*em, kiedy go widać spod zadów, pleców i stóp tłumu. To pełne harmonii i uroku miasteczko ocalało, bo zbudowano tam po wojnie bardzo niewiele. Jest tu magia krajobrazu i architektury. Słynny malarz i plakacista Franciszek Starowieyski, gdy spotykam go na rynku, zaczyna od ważnej informacji o której godzinie jest z nim dzisiaj audycja w radiu. W pobliże rynku zajeżdża konno aktor Daniel Olbrychski, jak koń z pyska pianę tak jeździec toczy okiem po wielkiej scenie, sycąc się spojrzeniami publiczności. Co ja zrobiłem z własną próżnością, że coraz bardziej mnie złości próżność innych?

Gdyby cała Polska była tak ładna jak Kazimierz! Kiedy wraca się do Warszawy, mija się małe miasteczka, roztrzaskane architektonicznie, jakby je ktoś bombardował brzydotą przez pół wieku. Teraz jest nieco schludniej, ale co zakrzepło wydaje się nie do naprawienia. Po drodze zajeżdżamy by odwiedzić Jana Kochanowskiego w Czarnolesie. Ta wieś ma ładną tylko nazwę, reszta jest szpetna i zaniedbana. Do muzeum nie można trafić, a przesiąknięty alkoholem obywatel pokazuje drogę. W czasach Kochanowskiego chłopi wyglądali nie lepiej, ale boję się, że też niewiele gorzej. Samo muzeum poety to jeden ze skansenów socjalizmu, strasznie zaniedbane, podłoga się artystycznie wybrzusza, a eksponaty ledwie żyją. Nie ma zresztą ani jednego przedmiotu, który mógłby pamiętać poetę, więc cała ekspozycja byłaby żałosna, gdyby nie wiersze na ścianach. One żyją i to mocno. To miejsce wydaje się zagubione we współczesności, zapomniane i niepotrzebne. Najwyraźniej nikt jeszcze nie zauważył, że można coś na Kochanowskim zarobić.

Zakopane też dostało dawkę estetycznej strychniny. Tu na szczęście na ogół budowano z dachami, kopiując nieudolnie starą architekturę. Ma się poczucie, ale to nie dotyczy tylko Polski, że to co ładne w architekturze pochodzi co najmniej sprzed pół wieku i gwałtownie się kurczy na rzecz brzydkie lub nijakie. Ludzie u nas nie mają estetycznego wyrobienia, ale snobistycznie i odruchowo ciążą do tego co

ładne, więc w nielicznych ładnych miejscach tłok taki, że ładne jest zadeptywane. A niektóre szlaki tatrzańskie wyglądają z dala jak pochody mrówek do mrowiska.

U wlotu na turystyczne trasy siedzą kasjerzy i pobierają opłaty za wejście w Tatry. To jednak niesmaczne. Przy wejściu do Doliny Małej Łąki próbuję zapłacić za dwie osoby, daję 20 zł, a góral w budzie oświadcza, że nie ma wydać, żąda drobnych. Nie mam. Proponuje więc abym szedł gdzieś rozmienić. W Polsce nadal mało kto ze sprzedających rozumie, że posiadanie drobnych to jest problem handlującego a nie klienta, że stanowi to część pracy. Robię wykład na ten temat i żądam by w tej sytuacji wpuścił nas bez opłaty. A ten z góralskim uporem, że nie wpuści. Poczułem, że jak w czasach heroicznych jestem gotowy polec za sprawę. I wchodzę bez biletu. Rozbawił mnie więc rysunkowo-słowny dowcip Mrożka w *Gazecie Wyborczej*.

–„Tato, co to jest szlak turystyczny?

– To co trafia turystę przy kasie".

Na Słowację wjeżdżamy od strony Doliny Chochołowskiej. Nadal delektuję się rozkoszą bezkolejkowego i bezproblemowego przekraczania granicy. Słowacja to nasz najbliższy sąsiad, nie ma nawet bariery języka, a nie znamy się nic a nic, nie znamy swojej historii, kultury.

Jedziemy w kierunku Bratysławy. Kraj górzysty, bardzo urozmaicony krajobrazowo, co przypomina jak ogromnie monotonna jest spora część Polski, z Mazowszem na czele. Znam ludzi mądrych, którzy twierdzą, że to mdły i płaski krajobraz mazowiecki zabierał Polakom energię by zbudować bardziej dynamiczną kulturę i cywilizację.

Uderza jak ta Słowacja jest do Polski podobna, w twarzach ludzi, czasami też trafi się prawdziwa baba w chuście, i ten język, który wydaje się zabawnym cieniem naszego.

Po dwóch dniach pobytu na Słowacji poczułem, że czegoś mi brakuje, ale że to brak luksusowy. Brakowało alkoholików. Pije się tam wiele wina i piwa, ale nie przekracza się granicy trzeźwości. Na tle Słowacji widać skalę zapijaczenia Polski. Nie ma też żebraków, co uświadamia jak żebractwo rozrosło się w Polsce i jak to niepokoi ulicę. Nie

widać też wysypki reklam, która opryszczyła Polskę wszerz i wzdłuż. Jest ona znakiem ekonomicznej gorączki, czasami przykrywa liszaje na budynkach, ale też szpeci.

Słowacja to kraj chłopski, ten typ tradycji tu dominuje. Ludzie nie noszą więc jak w Polsce szlacheckich garbów, sflaczałych, bo wyciekło z nich niemal wszystko. Obce wydają im się wzdęcia godnościowe, tak w Polsce powszechne.

Poziom cywilizacyjny Słowacji na oko wydaje się podobny jak u nas, no może tam jest o pół stopnia wyżej, czyli doskoczyliśmy do nich w ostatnich latach.

Gdy rozmawiam ze zwykłymi ludźmi odnajduję identyczną w całej postkomunistycznej Europie śpiewkę – „kiedyś każdy miał pracę, człowiek czuł się bezpiecznie...". Nie wszyscy Słowacy są zadowoleni z rozwodu z Czechami, a samochodów z tego kraju prawie nie widać. W miejscowościach tatrzańskich ludzie skarżą się, że Czesi wyparowali na amen. A więc jak to po rozwodzie, są duże emocje i separacja. Spotkałem garstkę Polaków, ale też nie tak wielu jak można się spodziewać. Niedawno wprowadzono wysokie ubezpieczenia na samochód, czyli to już nie granica nas dzieli a pieniądze. Na dodatek w Słowacji jest niemądry, komunistyczny zwyczaj, że cudzoziemcy za wiele rzeczy, choćby za hotel, płacą podwójnie. Pewne niedoskonałości słowackiej demokracji (dlatego nie są w pierwszym rzędzie kandydatów do Zjednoczonej Europy), wydają się dolegliwością przejściową, którą zlikwidują zbliżające się wybory.

Europeizacja Polski ma różne postacie. Zwiedziłem w czasie wakacji wiele restauracji, co skłania do refleksji, że kuchnia w Polsce się podnosi z pozycji leżącej i jest już na czworakach. Kelnerzy mili, ale rzadko potrafią do końca się znaleźć. Nadal zdarza się całkiem często zabieranie talerza z nie dokończonym jedzeniem, co na początku wieku tak w Warszawie szokowało Amerykankę Almę Curtin, i co zanotowała w swoim dzienniku. Ale oto w karczmie Żabi Dwór, stojącej w pobliżu wejścia do Doliny Strążyskiej, ujrzałem w karcie żabie udka. Jako libertyn zamówiłem potrawę znaną mi tylko ze słyszenia. Byłem dzielny do chwili gdy talerz nie wjechał mi przed nos. Udka gada tak

niepokojąco przypominały ludzkie, że zebrało mi się na mdłości. Zjadłem jednak, by nie utracić twarzy wobec znajomych. Źle się z tym czuję do dzisiaj. Dla niektórych cena wchodzenia do Europy bywa wysoka.

Antoni Macierewicz, jeden z przywódców ROP, uważa, że cena jest za wysoka, i że nie musimy wchodzić do Europy. On się boi, że „rozpustne uda" Europy zdemoralizują nasz poczciwy słowiański naród. ROP się kłóci i dzieli, a to dopiero początek zabawy. Zgodnie z oczekiwaniami ta partia zaczyna pomalutku zjadać swojego lidera Jana Olszewskiego.

AWS przypomina wielkie akwarium, gdzie zabłąkała się garstka ludzi sympatycznych i rozsądnych, niektórzy robią to podobno dla Polski, inni niedopieszczeni przez życie, chcą się pocieszyć i ujrzeć w szybie, że są Kimś. Ale kto wszedł do tego akwarium, to od razu groteskowo wygląda w płynie, który je wypełnia. Czesław Bielecki, Konstanty Miodowicz, kilku innych polityków, wykonują coraz bardziej rozpaczliwe ruchy, by zachować zdrowy rozsądek. Żal na to patrzeć.

Andrzej Olechowski, były minister spraw zagranicznych, odszedł z AWS. A odchodząc napisał: „Nowoczesnego państwa nie zbudują politycy niepodległościowi. Ich państwo to gombrowiczowski „Stwór święty Ciemny", którego stale trzeba bronić przed wrogami – sąsiadami, agentami, Żydami, masonami albo właścicielami supermarketów. Państwa wolnych obywateli nie zbudują też politycy ludowi – ich Polska to skansen, który trzeba uchronić przed zmianami".

Prawica narodowa swą zapiekłością i skrajnościami umacnia i nobilituje SLD. To jest widoczne jak na dłoni. Przy biegunowym podziale Polski, ze słabą Unią Wolności, postkomuniści stają się liberalnymi, zdroworozsądkowymi i proeuropejskimi politykami. SLD zakorzeniło się na ziemi żyznej od popiołu, ale przez nas spalonej. Przez lata sprawowania władzy nie popełnili wielkich błędów, byli dosyć zręczni, dosyć rozważni, dosyć racjonalni. „Dosyć" wystarczy by na tle prawicowej nieudolności wypaść na więcej niż „dosyć", czyli wypaść „nieźle". SLD jako jedyna po roku 89 partia mimo sprawowania władzy nie straciła elektoratu.

Postkomuniści są na tyle młodzi, że wzięli się tylko z konformizmu, z małych nadużyć i kłamstw, nie ze zbrodni. Są jednak demonizowani przez swoich przeciwników, którym

diabeł jest najwyraźniej potrzebny. Ci, którym diabeł jest tak natrętnie potrzebny do celów pozareligijnych, zwykle bywają chorzy. Prawica narodowa pogrąża się w zapiekłości, która staje się bliska kłamstwu, i jest nową formą niemoralności. Kilku czołowych publicystów prawicy, czołowych, co nie znaczy, że mają za wiele myśli pod tym czołem, nagle z przerażeniem odkryło, że to nie jest taka prawica jakiej Polska potrzebuje, że jest ksenofobiczna, zawistna, egotyczna. Dziennikarz *Życia* Piotr Skwieciński z tej rozpaczy nawet życzy prawicy by przegrała, w nadziei, że to ją uzdrowi. Czy to nie naiwne? Po przegranej, narodowa prawica dostanie prawdziwej psychozy. Po swoim artykule dziennikarz był atakowany przez obrońców prawicy, ale jak sam się skarży, jeden z jego kolegów dobrze znający prawicowców, miał pretensję, że napisał za łagodnie. Powiedział: „Myślałem, że chociaż ty napiszesz prawdę (...) Przecież podstawową motywacją dziewięciu na dziesięciu z tych dżentelmenów jest chęć załatwienia sobie hurtowni". Nie ma jednak innej prawicy, więc młody publicysta ją popiera, podobnie jak inni prawicowi krytycy. Dziwne, że nie widzą, że co ich tak niepokoi w ich formacji, jest w polskiej odmianie prawicy bardzo głęboko wpisane w mózg.

Im bardziej miesza się w naszym politycznym kotle, tym większa jest w społeczeństwie pogarda dla polityków. Badani przez *Kulturę* uczniowie ujawnili, że nasza młodzież ma dla nich tylko pogardę bez granic. Nie chcą nawet rozumieć dlaczego. Bo by to zrozumieć trzeba być psychologiem lub psychiatrą.

Psychoterapeuta Jacek Santorski pisze: „Podczas gdy w społeczeństwach dobrze zorganizowanych zaburzenia narcystyczne dotykają przede wszystkim sfer życia intymnego i zdrowia, u nas infekują życie polityczne. (...) Typową konsekwencją narcyzmu jest paranoidalność". Pyta, czy jesteśmy skazani na wybór między polityczną naiwnością, a nienawiścią? Między bezdusznym pragmatyzmem i cynizmem a histerią i fundamentalizmem religijnym? I tak, i nie. Ja zamierzam wrzucić swój głos wyborczy w środek, choćby w tym środku była studnia.

Obserwuję wielu moich znajomych, ludzi czasami ogromnie bliskich, jak kręcą się w błędnym kole naszej

polityki. S. stał się nagle rzecznikiem prasowym „Porozumienia emerytów i rencistów". Ta partia jest prawicowym kukułczym jajem, podrzuconym podobno lewicowej „Krajowej partii emerytów i rencistów". Widzę jak na dłoni pozapolityczne powody zaangażowania S. Też mi znany Jan P., niegdyś poeta, stał się rzecznikiem ROP. Dobrze mi znany Marek K. rzecznikuje Wałęsie, który zaczyna się krzątać wokół własnej partii. Kiedy znam ludzi z naszego politycznego ula, a znam niepokojąco wielu, to widzę, że uprawiają politykę z powodów pozapolitycznych. Łany narcyzów o różnych barwach kołysze wiatr, nie jest to jednak wiatr historii, a histerii. W Sejmie obserwuję różne niezacne, ale też wielce zacne postacie – ich tańce narcystyczne wykonywane na mównicy lub w jej pobliżu, przypominają tańce godowe ptaków.

A więc kabaret naszej polityki trwa. PSL składa wniosek o odwołanie rządu, który współtworzy. Nie wiem czy w historii światowej polityki zdarzyło się by koalicjant próbował obalić swój rząd. Jakoś się dogadali, ale wniosku o votum nieufności nie można było już wycofać. PSL postanowiło, że wstrzyma się od głosu, ale Waldemar Pawlak był skazany by z sejmowej trybuny wniosek umotywować. Widać było, że strasznie go bolała od tego głowa. Zaczął od słów... „Bywają różne formy protestu, w historii były powstania...". Sala wybuchnęła śmiechem. Zamiast powstania Pawlak postawił wniosek o votum nieufności dla siebie, czyli dla własnego rządu. Jeden z posłów PSL-u wypominał potem Sejmowi, że Sejm śmieje się z chłopa, i że tak zawsze w Polsce było. Rzeczywiście nie ma się z czego śmiać. Wieś, to najbardziej dramatyczny problem Polski.

Każda siła polityczna, która wygra wybory będzie skazana by iść do łóżka z PSL-em. To jest bardziej niż nieprzyjemne, ale czego się nie robi dla władzy. SLD, które jest w tym łóżku od kilku lat, trzęsie się z nienawiści i z pogardy do koalicjanta.

Po szpiegowskiej aferze z premierem Oleksym, mamy nową, o szczebel wyżej. Dziennik *Życie* krzyczy, że prezydent Kwaśniewski miał spotykać się ze szpiegiem Ałganowem, tym od Oleksego. Ów sekretarz sowieckiej ambasady staje się najważniejszą postacią naszego życia politycznego. Dziennik *Życie* donosi, że Kwaśniewski miał z nim kiedyś przebywać na wakacjach w Cetniewie. Prezydent przedstawia dowód, że nie było go w tym czasie w Cetniewie, a na to *Życie* z triumfem drukuje zdjęcie sprzed wielu lat ze Skierniewic, gdzie w grupie notabli obok Kwaśniewskiego stoi Ałganow. To raczej słaby dowód na to, że Kwaśniewski był agentem. Mamy oto takie same mocne argumenty, jak w przypadku oskarżeń premiera Oleksego. Razi forma podawania tych informacji, czy raczej brak formy, wszystko nurza się w sosie insynuacji i zapiekłości. Ale prezydent reaguje jak mucha w smole i wygląda na to, że z tym Ałganowem mógł się jednak spotykać, jak nie tu, to gdzie indziej. Nie przyznał się, że nie ma magisterium, teraz być może znowu coś przemilcza? Jest w tym wszystkim jakaś ropucha, i to nie jedna, mam wrażenie, że siedzą dwie, po prawej i po lewej stronie.

Oto jaki obraz się wyłania. Agentem był ojciec „Solidarności" prezydent Lech Wałęsa, a teraz ma być agentem prezydent obecny. Premier Mazowiecki jest Żydem, premier Bielecki zaś aferzystą finansowym, premier Oleksy to rzecz jasna agent. Agentami byli – prezes Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego mecenas Chrzanowski, a nawet był nim skazany na śmierć przez komunistów szef Wolnej Europy Zdzisław Najder, agentem był nawet przywódca KPN-u Leszek Moczulski. Dla dopełnienia chóru przywódca ROP mecenas Jan Olszewski ma być, Jezus Maria, masonem! No i co? Doprowadzono do tego, że dzisiaj każda prawda utonie w bagnie podejrzeń. Ci, którzy wierzą, nie muszą być już przekonywani, ci którzy nie wierzą, i tak już w nic nie uwierzą. Dochodzi do sytuacji, że szansę na zdrowy rozsądek mają tylko ci, co stanęli z boku i z lekceważeniem wzruszają ramionami.

A jak mnie trafiał szlag polityczny na moich turystycznym trasach? Oto na Helu otwieram *Głos Wybrzeża*. To pismo jest chorobliwie stronnicze i postkomunistyczne. Jest tam wywiad z Longinem Pastusiakiem, z czołowym niegdyś propagandystą. Ileż on bredni i kłamstw powygadywał o USA. Teraz jest posłem ziemi gdańskiej. Pytany, co by zmienił w swoim życiu, gdyby mógł cofnąć czas, mówi:

„Pewnie nauczyłbym się grać na fortepianie". Trudno mieć wyrzuty sumienia, jak się nie ma takiego organu. Teraz Ci ludzie nasiąkli samozadowoleniem, i zaprogramowali się liberalnie i demokratycznie. Jak byli robotami komunizmu, tak teraz służą demokracji. Nie są niebezpieczni, są tylko obrzydliwi, jeśli się pamięta.

A skrajna prawica narodowa demokrację liberalną uważa za swojego wroga, chce innej demokracji. Jak słucham na czym polega ta inność, to zaczynam się obawiać, czy to jeszcze będzie demokracja? Piszę o tym jako o różnych kuriozach, bo jednak nie mam poczucia, że Polsce zagraża jakaś forma ograniczenia wolności. Co najwyżej opluskwienie wolności. Oglądajmy więc dalej nasze gabinety osobliwości.

Kiedyś przypadkiem trafiłem na Radio Maryja. Unikałem tej katolickiej rozgłośni księdza Rydzyka by się nie denerwować. A szkoda, bo to jest jednak program bardzo atrakcyjny. Rozgłośnia właśnie gościła księdza uczonego, doktora, a wielomilionowa rodzina Radia Maryja dzwoniła z pytaniami. Dzwoni oto jakiś przejęty słuchacz, że gdzieś czytał, że w Izraelu wynaleziono naukowe metody by prowokować deszcz. „Czy więc ksiądz doktor nie myśli, że takie wielkie deszcze mogły być sprowokowane?" W tym momencie sam doznałem olśnienia, jasne, że to Żydzi zesłali na Polskę deszcze. A ksiądz doktor na to, że on się na technice nie zna, ale kto wie, kto wie? No i tak w kółko Macieju w tym radiu. Doprawdy jakby jakiś życzliwy lekarz psychiatra udostępnił rozgłośni swój szpital.

Kariera myślenia spiskowego zaskakuje. Wiemy, że ludzie są pogubieni, za wiele się zmienia i za szybko. Ale Kościół jak ta opoka trwa, więc czemu Kościół nie może dzisiaj żyć bez masonów? Kariera masonerii jest imponująca. Przez tych masonów to nawet dochodzi do konfliktów w ramach narodowo-prawicowych okopów. Oto skrajna *Gazeta Polska* jest zmuszona bronić zdrowego rozsądku i mecenasa Olszewskiego. O co to jest oskarżany mecenas? A o to, że jest za mało radykalny, narodowy, i że mason! Piotr Wierzbicki w *Gazecie Polskiej* pisze niezwykle postępowy i liberalny tekst, gdzie fobię masońską zalicza do zabobonu. Faszyzująca *Nasza Polska*, zaraz wali w *Gazetę Polską* jak w bęben, a przecież to był prasowy brat serdeczny. Co się porobiło!

Obserwuję z nieszczerym współczuciem jak więksi wariaci opluwają mniejszych. Antoni Macierewicz nawet Piotra Wierzbickiego porównuje do Kuronia, co za obelga. Bo masonów trzeba demaskować, i żadnych kompromisów! Paranoidalne konflikty dzielą i zawsze będą dzielić nasz prawicowo-narodowy grajdołek, i całe szczęście!

Masonów obawia się też prymas Glemp, a ks. arcybiskup Michalik wygłasza w Gorzowie homilię z której wynika, że właściwie wszelkie zło świata i upadek moralności to wina masonerii. Mówi: „Czołowi znawcy i badacze masonerii rozpoczęli odkatolicyzowanie świata". Takim światem jest wedle arcybiskupa potem łatwiej rządzić i manipulować! Bardzo jest niewielu biskupów, którzy z tym polemizują. Biskup Józef Życiński ostrzega: „Koncentracja uwagi duszpasterskiej na tropieniu masonów bardzo często prowadzi do obsesyjnych podejrzeń, które jedynie ośmieszają tropicieli". I teraz gdzie nie rzucę okiem na prasę narodowo prawicową, to biedny biskup Życiński jest atakowany jako „katolewica". Popularne też staje się słowo „kręgi demoliberalne".

Biskup Józef Życiński jest chyba najbardziej otwartogłowym i odważnym polskim biskupem. To rzeczywiście niebywała odwaga pod koniec XX wieku tak publicznie wątpić w masonów. Przykro mi więc, że to właśnie biskup Życiński w *Rzeczpospolitej* porównał mnie do Zomo i wsadził mi w rękę kij baseballowy, jako groźnemu brutalowi, mimo, że jestem, jak raczył zauważyć, z dobrej rodziny. I za co to wszystko? Za to, że opisując kiedyś w *Kulturze* pijaka w tramwaju, pijaka w strasznym stanie, który wył i zachowywał się jak zwierzę, przyznałem się do swojej słabości, że miałem ochotę dać mu w łeb. A Chrystus, proszę biskupa, to nie pognał przekupniów ze świątyni? Pisałem o tym w tonie żartobliwym i doprawdy nie mogłem się spodziewać, że spadną na mnie gromy ze strony najbardziej liberalnego polskiego biskupa. Życiński przy tym napisał: „Nie wiemy jaka była droga życiowa pijanego mężczyzny w warszawskim tramwaju. (...) Może przy innym układzie życiowych losów wolałby on również kierować ośrodkiem kultury polskiej w Sztokholmie, albo pisać felietony do poczytnych czasopism. Naturalna ludzka solidarność powinna skłaniać nas przede

wszystkim do współczucia, nie zaś do pogardy".

A czy nie trzeba też znaleźć w sobie miejsca na współczucie dla zagrożonych ludzi, tego się nastawieniem policzka nie załatwi. A generalnie to się z biskupem zgadzam, że należy się starać każdego zrozumieć, nawet zbrodniarza. Ja mam też taką słabość, dlatego tak nie lubię prokuratorów i sędziów, wolę adwokatów. I domyślam się, że biskup się ze mną zgodzi, że biorąc pod uwagę, jak wielu jest w Polsce alkoholików w stanie rozpadu i jak rośnie w oczach kubatura parafii oraz ich dostatek, to chyba tak pijakom jak i proboszczom dobrze zrobi, jak się trochę tej powierzchni udostępni dla potrzebujących.

A niedawno jadę tramwajem, patrzę, a tu do wsiadania szykuje się pijany, ale o dziwo pełen pokory. W drzwiach pyta: – „Przepraszam, czy mogę wejść?" „Zapraszamy serdecznie" – mówię. Pijak zatoczył się i ukłonił pasażerom. Pomyślałem szkoda, ze biskup Życiński nie jeździ tramwajem.

A ja jeżdżąc samochodem po Polsce nie spodziewałem się, że tak ryzykowałem swoje życie. To, że Polacy mają wiele zalet, ale samochody prowadzą fatalnie, wiedziałem od dawna, nie upowszechniałem jednak tej wiedzy na łamach *Kultury,* bo i tak mam opinię śledziennika. A tu nagle w okresie wakacyjnym wielki alarm w mass mediach, bo okazało się, że jest rzeź na polskich drogach. W ciągu półrocza pobiliśmy światowe rekordy w liczbie ofiar. W Polsce ginie na 10 tys. pojazdów ponad osiem osób, w Czechach o połowę mniej. W Niemczech gdzie nie ma limitów prędkości giną ponad dwie osoby, w Szwecji jedna. Tego już nie da się wytłumaczyć złym stanem pojazdów i dróg, nie jest on aż tak zły, zły jest stan głów kierowców. Te głowy są nietrzeźwe, nierozsądne lub po prostu niechlujne. Na każdym kilometrze można spotkać oznaki niechlujstwa w prowadzeniu pojazdów, a jest to część niechlujstwa ogólnego, które nadal jak wirus siedzi w zakamarkach polskiej duszy. Samobójcze wyprzedzanie „na trzeciego", to jest u nas norma. Psychoterapeuci mówią o elemencie autodestrukcji w naszej społeczności. Kiedy popatrzy się na samobójczy styl picia i palenia, to czemu nie prowadzić tak samochodu?

Spotkania z policją to jakaś dziwna mieszanina korupcji,

serdeczności, bezradności i swojskości. Ciężarówka zjeżdża na bok by mnie puścić, więc odruchowo korzystam z grzeczności popartej tak dużą masą, zapominając, że był znak zakazu wyprzedzania. I już na mnie czekali policjanci, ogromnie zadowoleni i rozbawieni. Przypominali rybaków, którym dobrze idzie ryba. Bardzo serdeczni, prawie mnie wyściskali, pytali czy pracuję, czy dobrze zarabiam, bo nie chcą dawać dużego mandatu, ale przestępstwo jest poważne, będą punkty karne. Zasugerowali niezwykle małą sumę popartą przymrużeniem oka. I tak w wolnej Polsce zapłaciłem łapówkę. Gryzły mnie potem wyrzuty sumienia, że pozwalam na taką demoralizację.

Gdzie indziej stawiam wóz, jak wielu innych kierowców po zakazie parkowania. Policjant chyba już nie ma siły wypisywać mandatów, więc mówi: „pouczam pana tylko, proszę jechać i nikomu się nie chwalić".

Ta policyjna swojskość jest trudna do wyobrażenia w Niemczech czy w Szwecji. U nas takie zachowanie urzędników państwowych jest powszechne i ma dwa oblicza, ciemne i jasne.

Wielka powódź zaskoczyła nas wszystkich, rząd, wszelkiego typu służby i zwykłych obywateli, którzy nagle stali się powodzianami. Polska miała w swojej historii bardzo wiele nieszczęść, ale nie ze strony przyrody. Od razu zrodziło się więc wśród powodzian wielkie poczucie krzywdy i szukanie winnych wśród ludzi, bo sama przyroda przecież nie może być winna. Ale to prawda, że rząd postkomunistyczny spartolił, mógł przynajmniej zrobić dobre wrażenie, a nie zrobił, bo się zagapił.

Ujawniło się, co wiemy lub co podejrzewamy. Państwo jest słabe, jego struktury nieudolne, a bałaganiarstwo i skłonność do improwizacji są w narodzie żywe. Improwizacja sprawdza się gdy są katastrofy na małą skalę. Na potop to nie działa. Wypłynęła więc na powierzchnię słabość państwa, a nawet owa tajemnica, że nasza armia to już chyba by nie wygrała wojny nawet z własnym społeczeństwem, jak to jej się udało w roku 81.

Skargi ofiar kataklizmu tyleż budziły współczucie co refleksję, jak są aktywne postawy roszczeniowe i myślenie

socjalistyczne. „Jak nas spotkało nieszczęście to niech państwo wszystko nam odda co utraciliśmy". „Ofiarni i bezradni", ktoś trafnie skomentował postawę społeczeństwa w czasie powodzi. Kiedy wielkie wody ustąpiły, powodzianie zostali zalani darami, a potem niestety nastąpił czas zawiści i rozpad jakiejkolwiek solidarności. Jak zwykle, nieszczęścia ludzi łączą, a obdarowywanie ich dzieli. Przy okazji Polska została zalana gadaniem o powodzi. Nasze skomercjalizowane mass media nabrały tyle wody, że strach było otworzyć usta radiu czy telewizji. Teraz zaczął się czas wodolejstwa przedwyborczego.

SMECZ

KSIĄŻKI POLSKIE
ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE
DAWNE I NOWE
W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE
POLECA
ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI
7, rue de la Bûcherie 75005 Paris
Telefon 01 40 51 76 40
Fax 01 40 51 78 32
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87
od wtorku do soboty od godziny 10 do 19
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Sąsiedzi

Jubileusz paryskiej „Kultury" w Kijowie

Polsko-ukraińskie konferencje, chociaż jeszcze nie spowszedniały, nie są już na szczęście czymś niezwykłym. Sympozjum „Intelektualiści, kultura, polityka: doświadczenia Polski i Ukrainy (ku 50-leciu paryskiej *Kultury*)", które odbyło się 5-7 czerwca 1997 r. w Kijowie było jednak wydarzeniem wyjątkowym. Po pierwsze dlatego, że to właśnie strona ukraińska wyszła z inicjatywą uczczenia 50-tej rocznicy paryskiego czasopisma. Po drugie – ponieważ konferencja dotyczyła paryskiego Instytutu Literackiego i *Kultury,* a więc instytucji które stworzyły intelektualne podstawy dla polsko-ukraińskiego dialogu i pojednania. Po trzecie – obrady miały wyjątkowo szeroki rezonans wśród ukraińskiej inteligencji. Uczestniczyli w sympozjum tak wybitni ukraińscy intelektualiści, jak i naukowa młodzież, nie tylko z Kijowa, ale i ze Lwowa, Charkowa, Odessy, Łucka, Tarnopola, Dniepropietrowska i Doniecka. Organizatorzy zwrócili szczególną uwagę na to aby umożliwić przyjazd na konferencję osobom, które interesują się polską problematyką.

Organizacja sympozjum

Sympozjum zorganizowane zostało przez redakcję kijowskiego czasopisma *Polityczna Dumka* i Ukraiński Instytut Badawczy Uniwersytetu Harvarda. Idea sympozjum i jego program były rezultatem kilkuletnich dyskusji i rozmów,

w których brali udział: dyrektor Instytutu, prof. katedry historii Ukrainy im. Mychajła Hruszewskiego, Roman Szporluk, jeden z założycieli *Politycznoj Dumki*, kierownik katedry filozofii kultury Ukraińskiej Akademii Nauk, prof. Jewhen Bystryckyj, prof. Krzysztof Pomian z paryskiej École des Hautes Études en Sciences Sociales i dr Aleksander Smolar, Prezes Fundacji im. Stefana Batorego w Warszawie. Finansowego wsparcia konferencji udzieliły: Międzynarodowa Fundacja „Widrodżennja" z Kijowa, Fundacja im. Stefana Batorego oraz amerykańska Fundacja Studiów Ukrainoznawczych „Ukrainian Studies Fund" z Cambridge w Massachusetts.

Intencją organizatorów było z jednej strony – uczczenie 50-lecia działalności czasopisma, które wypracowało nową wizję polsko-ukraińskich stosunków, z drugiej strony zaś – wyrażenie wdzięczności środowisku *Kultury*, a zwłaszcza Redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi, za ich wieloletnie poparcie dla sprawy niepodległości Ukrainy.

Organizatorzy wyznaczyli sobie także kilka praktycznych celów. Chodziło im, po pierwsze, o bliższe poznanie ukraińskiej inteligencji z historią *Kultury* oraz z koncepcjami, które były prezentowane na jej łamach. Po drugie, sympozjum miało służyć rozbudzeniu na Ukrainie zainteresowania kulturą i życiem intelektualnym w Polsce. Powinno ono także stać się okazją do wspólnej refleksji polskich i ukraińskich intelektualistów nad aktualnością przesłania *Kultury*, z uwzględnieniem współczesnych, polskich i ukraińskich, uwarunkowań. Miało ono stworzyć płaszczyznę umożliwiającą uczonym z obu krajów nawiązanie bezpośrednich, roboczych kontaktów. Trzeba podkreślić bardzo dobre przygotowanie konferencji od strony technicznej, co było zasługą przewodniczącego komitetu organizacyjnego, prof. Jewhena Bystryckiego i sekretarza dr Wołodymyra Repryncewa.

Sympozjum otworzyli rektor Narodowego Uniwersytetu „Akademia Kijowsko-Mohylańska" Wiaczesław Brjuchoweckyj i Jerzy Bahr, Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie. W trakcie konferencji wygłoszono trzydzieści odczytów, które mają być opublikowane w specjalnym numerze *Politycznej Dumki*. Nie sposób tutaj omawiać oddzielnie każdego z nich. Ograniczę się jedynie do zarysowania głównych wątków tematycznych, które przewijały się w referatach i w dyskusji.

Inteligencja w warunkach postkomunistycznych

Pierwszy z tych wątków to rola i miejsce inteligencji w społeczeństwie postkomunistycznym. Z Polaków mówili na ten temat Andrzej Nowak i Tomasz Jastrun („Smecz") w referatach „Intelektualiści i Historia" i „Zagubiony język, czyli o paradoksach roli intelektualisty w jednym z krajów postkomunistycznych". Serię referatów o relacjach między inteligencją a władzą wygłosili miejscowi politolodzy: Wołodymyr Połochało (redaktor naczelny czasopisma *Polityczna Dumka*), Serhij Makiejew, Ołeksandr Derhaczow, Oleh Biłyj i Mykoła Tomenko. Historycy Natalija Jakowenko i Jarosław Hrycak wygłosili odczyty o roli i zadaniach inteligencji na Ukrainie. Filozof Myrosław Popowycz mówił o zmieniającym się pojmowaniu narodu, jako wspólnoty politycznej (*Gesellschaft*) albo wspólnoty etnicznej (*Gemeinschaft*), w polskiej i ukraińskiej historii. Historyk amerykański James Mace, dyrektor Ukraińskiego Narodowego Instytutu Badań nad Ludobójstwem dał odczyt pt. „Dysfunkcjonalność postkomunistycznych elit politycznych".

Referaty i dyskusja pokazały, że wspólnym problemem polskiej i ukraińskiej inteligencji jest poczucie intelektualnego i moralnego zagubienia w nowej, postkomunistycznej rzeczywistości. Ta część inteligencji, która zawodowo zajmuje się analizą i interpretacją życia społecznego stanęła wobec konieczności stworzenia nowego systemu pojęć i nowego języka. Język i pojęcia używane do opisu „realnego socjalizmu" okazały się bowiem nieprzydatne do opisu społeczeństwa i systemu politycznego, które wyłoniły się po jego rozpadzie. Wzorce zachowań i reguły postępowania sformułowane przez inteligencję w czasach komunistycznych nie mają zastosowania w warunkach postkomunistycznego świata. Rodzi się pytanie, czy w świecie tym jest w ogóle miejsce dla inteligencji jako specyficznej dla społeczeństw Europy Środkowo-Wschodniej warstwy, która pretenduje do duchowego przywództwa w społeczeństwie (narodzie). Być

może inteligencja powinna raczej przekształcić się w warstwę profesjonalistów sprzedających swoje usługi na kapitalistycznym rynku.

Inteligencja polska i ukraińska mają także trudności z odnalezieniem się w postkomunistycznym życiu politycznym. W schyłkowej fazie komunizmu wybór opcji politycznej był prosty: albo z komunistyczną władzą, albo ze społeczeństwem. Przy tym opcja polityczna była jednocześnie opcją moralną. W nowych układach politycznych kwestia wyboru politycznego jest bardziej złożona, a racje moralne podzielone. Pragmatyzm i zręczność socjotechniczna liczą się bardziej niż pryncypialność, odwaga czy ofiarność. „Inteligenckie" ugrupowania polityczne przegrywają w konkurencji z postkomunistami. Powstaje pytanie jak pogodzić postawę politycznego zaangażowania z niezależnością intelektualną, a także gdzie jest granica między inspirowaniem, czy przekonywaniem społeczeństwa, a jego manipulacją.

Otwarcie na Zachód przynosi nowe zagrożenia dla swobody intelektualnej w postaci komercjalizacji stosunków społecznych i „postmodernistycznych" prądów, z ich pragmatycznym kryterium prawdy, nietolerancją i cenzurą *political correctness*. Oto niektóre ze wspólnych problemów, o których dyskutowali na sympozjum ukraińscy i polscy intelektualiści.

W referatach ukraińskich na pierwszy plan wysuwał się problem głębokiego kryzysu, który ogarnął wszystkie dziedziny życia na Ukrainie. Współpracownicy czasopisma *Polityczna Dumka* przedstawili dylematy inteligencji ukraińskiej na tle szerokiej analizy systemu władzy i struktur społecznych na postkomunistycznej Ukrainie. Uważają oni, że po upadku komunizmu w Europie Wschodniej rodzi się nowy system neo-totalitarny. Władza znalazła się w rękach klanów wywodzących się z komunistycznej nomenklatury. Łączą one stanowiska w strukturach władzy i administracji z własnością grup finansowo-przemysłowych i stanowiskami w państwowym przemyśle. Klany te powiązane są z „szarą strefą" gospodarki, a nawet ze światem przestępczym. Polityka sprowadza się do walki między nimi o podział własności państwowej. Elementy demokracji parlamentarnej i gospodarki rynkowej wykorzystywane są wyłącznie w charakterze

sztafażu maskującego prawdziwą naturę nowego systemu. Społeczeństwo, skrajnie zatomizowane i apolityczne, nie jest w stanie podjąć jakichkolwiek samodzielnych działań.

Teza ta wywołała obiekcję ze strony niektórych ukraińskich uczestników, którzy nie zgadzali się z tak jednostronnie pesymistyczną oceną rezultatów politycznych i społecznych zmian jakie miały miejsce po upadku komunizmu. Także użycie terminu „neototalitaryzm" w odniesieniu do istniejącego na Ukrainie systemu politycznego wydaje się niezbyt trafne. Termin ten bowiem zakłada koncentrację władzy w jednym ośrodku decyzyjnym oraz tendencję do absolutnej, w tym ideologicznej, kontroli nad społeczeństwem. Należałoby, jak sądzę, mówić raczej o feudalizacji, która polega na prywatyzacji struktur państwowych i majątku narodowego oraz szerokim występowaniu grupowej i tzw. „niepełnej" własności.

Nawet jeśli kryzys państwa i społeczeństwa nie jest aż tak głęboki, jak sugerowali to niektórzy mówcy, to i tak sytuacja ukraińskiej inteligencji jest z pewnością o wiele trudniejsza niż sytuacja inteligencji polskiej. Nasuwają się analogie z końcem minionego stulecia. Jeśli inteligencja polska (czy raczej jej część) mogła stawiać sobie za cel odzyskanie niepodległości, to w tym samym czasie inteligencja ukraińska musiała walczyć o przetrwanie odrębności swojego narodu. Podobnie i teraz, wyzwania jakie stoją przed inteligencją w Polsce, są przynajmniej częściowo wynikiem względnych sukcesów demokratyzacji i rozwoju gospodarczego. Inaczej jest na Ukrainie. Tutaj inteligencja musi zajmować się problemami zupełnie podstawowymi, takimi jak obrona przed rusyfikacją i zaszczepienie poczucia ukraińskiej tożsamości narodowej (zwłaszcza we wschodnich i południowych regionach). W dobitnym sformułowaniu Jarosława Hrycaka zadanie przed jakim stoi dziś inteligencja to „budowa nowego narodu ukraińskiego". Przy czym – i w tym wszyscy mówcy byli zgodni – naród ten powinien być narodem politycznym a nie wspólnotą etniczną. Dla dopełnienia obrazu dodajmy, że inteligencja ukraińska żyje w wyjątkowo, nawet na warunki wschodnioeuropejskie, trudnych warunkach. Władza ograniczyła bowiem, lub wręcz przestała finansować instytucje naukowe i kulturalne.

W wystąpieniach ukraińskich uczestników sympozjum uderzał samokrytycyzm. Przyznając inteligencji znaczącą rolę w procesie erozji systemu realnego socjalizmu i w stworzeniu intelektualnego zaplecza dla wybicia się Ukrainy na niepodległość oceniano jednocześnie, że w niepodległej Ukrainie narodowa inteligencja nie była w stanie przejąć duchowego i intelektualnego przywództwa, do którego czuła się powołana. Część inteligencji została wchłonięta przez struktury władzy i zaakceptowała obowiązujące w nich reguły gry. Większość udzieliła bezkrytycznego poparcia nowej, narodowej władzy (nie rozróżniając, czy słabo rozróżniając ją od państwa), zdradzając w ten sposób swoje główne powołanie – tworzenia wolnej opinii i formułowania krytycznej myśli społecznej i politycznej. Poparcie inteligencji dla władzy powiększyła przepaść oddzielającą ją od reszty społeczeństwa.

Obserwatorowi z zewnątrz trudno oprzeć się wrażeniu, że obraz sytuacji na Ukrainie i negatywna ocena roli ukraińskiej inteligencji były przedstawione na sympozjum w przesadnie czarnych barwach. Najlepiej widać to na przykładzie ukraińskiej historiografii. Mimo trudności publikowane są oryginalne, czasem wręcz doskonałe, monografie, nowe podręczniki akademickie i szkolne, oraz wydawnictwa źródłowe. Kontrast pomiędzy dzisiejszą historiografią, często nowatorską pod względem metodologicznym i śmiało rewidującą sowieckie i nacjonalistyczne schematy, a historiografią sowiecką sprzed niecałych dziesięciu lat jest ogromny. Prasa kijowska również nie sprawiała wrażenia bezkrytycznej i wiernopoddańczej w stosunku do władzy. Nawet w życiu ekonomicznym, przynajmniej w Kijowie, można zaobserwować pewne oznaki zaczynającej się poprawy.

W kręgu koncepcji Kultury

Za ostrymi, krytycznymi analizami ukraińskiej rzeczywistości kryło się nie postawione wprost pytanie „co robić?" I tutaj doskonale wpisywał się drugi wątek obrad, dotyczący dziejów paryskiej *Kultury*, jej działalności jako ośrodka inspirującego i propagującego nowe koncepcje polityczne, zwłaszcza w dziedzinie stosunków pomiędzy Polską i Ukrainą,

oraz proponującego czytelnikom nowy model kultury narodowej. Andrzej Stanisław Kowalczyk przedstawił współpracę Jerzego Giedroycia z pisarzami i ogromną rolę Instytutu Literackiego w powstaniu polskiej literatury na emigracji. Roksana Charczuk omówiła koncepcję „innej Europy" w eseistyce Czesława Miłosza. George Grabowicz analizował ewolucję stanowiska *Kultury* w sprawie stosunków polsko-ukraińskich. Wysunął on tezę, że stanowisko to było ściśle związane z europejskim, liberalnym i otwartym modelem polskości lansowanym przez *Kulturę*. Bohdan Osadczuk opisał trudności, jakie napotkał zainicjowany przez *Kulturę* polsko-ukraiński dialog ze strony tak polskiej jak i ukraińskiej emigracji.

Jarosław Isajewycz i Wadim Skuratiwskyj mówili o oddziaływaniu *Kultury* na sowiecką Ukrainę. Według opinii prof. Isajewycza, podzielanej przez większość dyskutantów, bezpośrednie jej oddziaływanie było tam minimalne. *Kultura* prawie nie docierała na Ukrainę, skutecznie izolowaną nie tylko od Zachodu ale i od Polski. Wadim Skuratiwskyj twierdził natomiast, że *Kultura* była znana w kręgach dysydenckich Kijowa i wywarła pewien wpływ na ich myślenie. Obydwaj mówcy zgodnie podkreślali, że wielki wpływ na ukraińską inteligencję miały oficjalna prasa i periodyki PRL-u. Były one ważnym źródłem wiedzy o zachodnim świecie i pozwalały zapoznać się z nieporównanie bardziej swobodnym życiem intelektualnym i kulturalnym w Polsce.

Dwa referaty poświęcone były porównaniu *Kultury* z emigracyjnym czasopismem ukraińskim o liberalnym profilu *Suczasnist'*. Bogumiła Berdychowska stwierdziła, że o ile ukraińska kultura była prezentowana na łamach *Kultury* regularnie i systematycznie, to obecność polskiej kultury w *Suczasnosti* była sporadyczna i wyrywkowa. Mykoła Rjabczuk pokazał, jak odmienną była recepcja Rosji w tych dwóch ideowo spokrewnionych pismach. O ile w *Suczasnosti* dominował obraz Rosji-monolitu, będącej wcieleniem metafizycznego zła, o tyle w *Kulturze* Rosja była przedmiotem trzeźwej i racjonalnej analizy politycznej, a jej obraz był bardziej zróżnicowany.

Szereg wystąpień dotyczyło myśli Juliusza Mieroszewskiego. Rafał Habielski omówił polemikę jaka wywiązała się między Mieroszewskim a londyńskimi *Wiadomościami* na

temat stosunków polsko-ukraińskich. Bogusław Bakuła porównał koncepcje polsko-ukraińskiego porozumienia proponowane przez Mieroszewskiego i Iwana Łysiaka-Rudnyckiego, jednego z czołowych pisarzy politycznych ukraińskiej emigracji. Krzysztof Pomian przedstawił szereg swoich przemyśleń na temat aktualności myśli Mieroszewskiego. Miejsce Europy Środkowo-Wschodniej w koncepcjach Mieroszewskiego było przedmiotem referatu Piotra Wandycza. Podsumowując tę część sympozjum Roman Szporluk zwrócił uwagę na to, że w tym samym czasie gdy George Marshall ogłaszał swój plan odbudowy Europy Zachodniej, a Stalin realizował swój zamysł sowietyzacji Europy Środkowo-Wschodniej, w Paryżu powoli przybierała kształt alternatywna wizja urządzenia Europy Środkowo-Wschodniej, którą można określić mianem „planu Giedroycia".

Jednym z kluczowych elementów „planu Giedroycia" było polsko-ukraińskie porozumienie. *Kultura* tłumaczyła, że niepodległa i przyjazna Polsce Ukraina jest niezbędnym warunkiem odzyskania i utrzymania przez Polskę niepodległości. Wynikały z tego dla Polaków trzy polityczne wskazówki: uznanie i poparcie prawa Ukrainy do niepodległości, pogodzenie się z nową granicą wschodnią i rezygnacja z jakichkolwiek ambicji odgrywania roli hegemona na obszarach ULB. Sformułowanie tych zasad położyło intelektualny fundament pod polsko-ukraiński dialog. Historycznym osiągnięciem *Kultury* było zaszczepienie tych zasad na gruncie myśli politycznej polskiej opozycji. Dzisiaj są one akceptowane przez wszystkie liczące się siły polityczne w Polsce.

Sympozjum przypomniało inicjatywy *Kultury,* które miały na celu poparcie niezależnej ukraińskiej kultury. Należało do nich m.in. wydanie antologii ukraińskiej literatury będącej „na indeksie" w ZSSR „Rozstriljane Widrodżennja" oraz wyboru utworów „Ukraina 1956-68". Mowa była także o wysiłkach Jerzego Giedroycia o zapoczątkowanie dialogu z ukraińską diasporą na Zachodzie. Wysiłki te zaowocowały współpracą z emigracyjnymi czasopismami *Widnowa, Suczasnist'* i *Ukrajińskie Słowo. Kulturze* udało się w ten sposób przekonać do idei polsko-ukraińskiego porozumienia znaczącą grupę ukraińskich emigracyjnych intelektualistów.

Dorobek intelektualny *Kultury* nie stracił na aktualności i w dzisiejszych warunkach. Trzy myśli przypomniane na konferencji wydają się dzisiaj szczególnie warte podkreślenia. Pierwsze dwie, sformułowane przez Mieroszewskiego, głoszą że niepodległość ma sens jedynie w ścisłym powiązaniu z wolnością jednostki i demokracją, oraz że ustanowienie i obrona systemu demokratycznego wymaga ciągłej obywatelskiej troski i zaangażowania. Trzecia, to wysuwany wielokrotnie przez *Kulturę* postulat, że polsko-ukraińskie zbliżenie nie może być skierowane przeciw Rosji, i że powinno być ono częścią ogólnoeuropejskich procesów integracyjnych.

Polsko-ukraińskie stosunki: przeszłość, teraźniejszość, przyszłość

Dochodzimy w ten sposób do trzeciego kręgu tematycznego konferencji. Dotyczył on przeszłości, dnia obecnego oraz perspektyw stosunków polsko-ukraińskich. Dwa referaty traktowały o polsko-ukraińskich związkach w dziedzinie literatury pięknej. Wołodymyr Moreneć analizował te związki na przykładzie modernistycznej poezji obu narodów. Oksana Zabużko pokazała, na przykładzie „Małej Apokalipsy" Tadeusza Konwickiego i „Moskowiady" Jurija Andruchowycza, wpływ polskiej niezależnej literatury na kształtowanie się ukraińskiej „postkolonialnej" inteligencji. Z referatów tych można było wysunąć wniosek o asymetrycznym charakterze polsko-ukraińskich stosunków kulturalnych. Mimo wysiłków *Kultury*, literatura, czy też w ogóle kultura ukraińska, jest w Polsce mało znana, a zainteresowanie, czy inspiracja nią, ma charakter raczej przypadkowy i peryferyjny. Dla literatury ukraińskiej natomiast literatura polska stanowiła ważną alternatywę przed przytłaczającym wpływem literatury rosyjskiej, będąc czymś w rodzaju *antidotum,* które pozwalało twórcom ukraińskim bronić się przed wpadnięciem w „małorosyjskość".

O przeszłości i perspektywach polsko-ukraińskich stosunków mówili profesor historii na Uniwersytecie Iowa, Jarosław Pełenskyj, naczelny redaktor czasopisma *J,* Taras Woznjak i dziennikarz z Toronto, Jerzy Jastrzębowski. Polityka zagranicz-

na Polski i Ukrainy była tematem wystąpień naczelnego redaktora *Przeglądu Wschodniego* Jana Malickiego i analityka amerykańskiego Departamentu Stanu, Stephena Buranta.

Sympozjum nie ominęło bolesnych kwestii historycznych okresu ostatniej wojny – deportacji Ukraińców w ramach akcji „Wisła" oraz mordów polskiej ludności na Wołyniu. Polscy i ukraińscy uczestnicy zgadzali się, że przyjęcie moralnej odpowiedzialności za te tragiczne wydarzenia jest zarówno dla społeczeństwa polskiego jak i ukraińskiego niezbędnym warunkiem powrotu do Europy. Rozliczenie się z przeszłością powinno być przede wszystkim wewnętrzną sprawą każdej ze stron. Jakiekolwiek ponaglenia i oskarżenia z zewnątrz raczej spowalniają niż przyśpieszają ten proces. Należy w związku z tym odnotować wypowiedzi Jarosława Pełenskiego i Myrosława Popowycza, którzy jednoznacznie potępili zbrodnie popełnione na polskiej mniejszości na Wołyniu i stwierdzili konieczność uświadomienia społeczeństwu ukraińskiemu prawdy o tych wydarzeniach. Roman Szporluk zwrócił uwagę na to, że „Akcji Wisła" nie można stawiać na jednej płaszczyźnie z mordami na Wołyniu. Podczas „Akcji Wisła" bowiem, to państwo polskie pogwałciło w sposób drastyczny prawa swoich własnych obywateli. Nie jest więc, w odróżnieniu od wydarzeń wołyńskich, sprawą międzypaństwowych stosunków polsko-ukraińskich.

Proces rozliczania się z przeszłością jest zapewne bardziej zaawansowany w Polsce niż na Ukrainie. Inteligencja polska musi natomiast jeszcze bardzo dużo zrobić aby przełamać rozpowszechniony we własnym społeczeństwie negatywny stereotyp Ukraińca. Doskonały przykład, jak za pomocą cierpliwego wyjaśniania i rzeczowej argumentacji można przeciwdziałać antyukraińskim stereotypom, przedstawił w swojej wypowiedzi Jerzy Jastrzębowski. Warto dodać, że w ukraińskiej świadomości społecznej, może z wyjątkiem terenów byłej Galicji, nie istnieje negatywny stereotyp Polaka.

Przedmiotem ożywionej dyskusji stała się na sympozjum polska polityka zagraniczna. Padały głosy, że proukraińska polityka Warszawy jest powodowana strachem przed rosyjskim imperializmem, lub też jest taktycznym elementem gry o wejście do NATO. Niektórzy z ukraińskich dyskutantów przepowiadali, że po wejściu do NATO Polska przestanie być

zainteresowana zacieśnianiem stosunków z Ukrainą. Wątpliwości wzbudził termin „strategiczne partnerstwo", którego użył dla określenia polsko-ukraińskich stosunków Stephen Burnat. Nie jest bowiem jasne, co w praktyce miałby ten termin oznaczać. Jeden z ukraińskich uczestników powiedział nawet, że po kilkumiesięcznym pobycie na jednym z polskich uniwersytetów doszedł do wniosku, że Polacy w istocie nigdy nie wyrzekli się pretensji do Lwowa i przy sprzyjającej okazji mogą podjąć próbę jego odzyskania.

Podobne opinie świadczą o tym, jak głęboko zakorzeniona jest wzajemna nieufność i jak mało wiedzą o sobie oba społeczeństwa. Jeden z dyskutantów zauważył, że na razie można mówić najwyżej o porozumieniu między elitami, a nie narodami. Martwi polska nieumiejętność wczucia się w psychologię ukraińskich interlokutorów i brak uwrażliwienia na ich czułe punkty. Jeden z polskich uczestników powiedział w czasie dyskusji, że Polacy i Ukraińcy mają „równe prawa do Lwowa". Nie trzeba chyba tłumaczyć, jak taka wypowiedź mogła być odebrana przez ukraińskie audytorium. Jak później wyjaśnił, chodziło mu wyłącznie o to, że zarówno Polacy jak i Ukraińcy mają „prawo do Lwowa" jako nieodłącznej części narodowej historii.

Parę spostrzeżeń końcowych

Na obrady sympozjum rzucała swój cień Rosja. W wielu referatach Rosja występowała w charakterze wspólnego przeciwnika Ukrainy i Polski. W dyskusjach jednak problem Rosji nie został podjęty. A przecież przynajmniej od XVII wieku, stosunki polsko-ukraińskie były nieodłączną częścią polsko-ukraińsko-rosyjskiego trójkąta. Kluczowe pytanie, czy można dziś znaleźć „inną" Rosję, gotową do partnerskiej współpracy i dialogu tak z Polską, jak i niezależną Ukrainą, nie zostało postawione. Było to tym dziwniejsze, że sympozjum zaczęło się cztery dni po zakończeniu wizyty Borysa Jelcyna w Kijowie. Podczas wizyty Jelcyn podpisał rosyjsko-ukraiński tekst o przyjaźni i współpracy oraz szereg umów dotyczących ukraińskich długów wobec Rosji, podziału Floty Czarnomorskiej i stacjonowania rosyjskich sił zbrojnych w

Sewastopolu. Przez cały tydzień stosunki ukraińsko-rosyjskie były głównym tematem zainteresowania kijowskiej prasy.

Mimo to, konferencja wzbudziła w Kijowie duże zaciekawienie, czego dowodem była stała obecność na sali, poza uczestnikami, co najmniej kilkudziesięciu osób po prostu przysłuchujących się obradom. Relacje z obrad pojawiły się zarówno w kijowskiej telewizji i radiu, jak i w prasie (gazeta *Den'* i tygodnik *Rejting*). Pisała o konferencji też polska prasa krajowa i emigracyjna, oraz emigracyjna prasa ukraińska. Wielu ukraińskich uczestników podkreślało, jak ważny był udział w sympozjum uczonych rangi Piotra Wandycza i Krzysztofa Pomiana.

Na zakończenie konferencji uczestnicy wystosowali do Redaktora Jerzego Giedroycia telegram z powinszowaniami z okazji 50-lecia istnienia *Kultury*, dziękując za poparcie sprawy ukraińskiej niepodległości i podkreślając historyczne znaczenie *Kultury* dla polsko-ukraińskiego pojednania i porozumienia.

Trwające przez trzy dni obrady pokazały, że obie strony są autentycznie zainteresowane w dalszym rozwoju dialogu. Cieszyła rzeczowość i spokojny ton w jakim dyskutowano o najtrudniejszych i rozpalających zazwyczaj duże emocje, kwestiach odpowiedzialności za tragiczne wydarzenia lat czterdziestych. Widoczne były jednak rezultaty długotrwałej izolacji i braku wzajemnych kontaktów między obu krajami. Stopień poinformowania intelektualistów obu krajów o sąsiadach jest daleko niewystarczający. Symptomatyczne było, że dla prawie wszystkich polskich uczestników była to ich pierwsza wizyta w Kijowie. Jak zauważyła Oksana Zabużko, inteligencja polska i ukraińska są tradycyjnie „wsłuchane w siebie". Stąd pewne zasklepienie obydwu w ściśle narodowej problematyce i trudności nawiązania takiego dialogu, który nie byłby „dialogiem dwóch głuchych". Niewątpliwie kijowska konferencja spełniła pożyteczną rolę, pomagając polskim i ukraińskim intelektualistom w nawiązaniu takiego dialogu. Miejmy nadzieję, że dialog ten, zainspirowany prawie pięćdziesiąt lat temu przez *Kulturę*, będzie rozwijał się dalej w wyznaczonym przez nią kierunku.

Witold RODKIEWICZ

Bilans lata: od Lublina do Lwowa

Po jubileuszach *Kultury* w Kijowie – spotkanie polsko-ukraińskie w Lublinie, w pięknym pałacyku Czartoryskich, niedaleko od brzydkiego Uniwersytetu Curie-Skłodowskiej. Chociaż pod pieczą Jerzego Kłoczowskiego, dyrektora – chyba jedynego w Polsce Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej – to jednak zgromadzenie ma charakter półurzędowy. Inicjatywa wyszła bowiem od premierów Polski i Ukrainy, a szło im o to, aby naukowcy sporządzili bilans naszych stosunków i opracowali katalog zaleceń na przyszłość. Zjechało się wielu znanych fachowców-znachorów, wielu kompetentnych, ale jednostronnych urzędników, za mało polityków, a przede wszystkim ludzie interesu, a bez tego – przy dziadowskich funduszach państwowych – nie sposób już dziś ruszyć z miejsca potrzebnych projektów. Mimo tych luk spotkanie było udane, wymiana poglądów szczera, a to jest chyba największą zdobyczą w naszych wciąż jeszcze w konkretnej materialnej sferze niedoskonałych stosunków. Coś niecoś znam z podobnych zgromadzeń amerykańsko-niemieckich, konferencji francusko-niemieckich lub polsko-niemieckich. Na tamtych bywa więcej chłodu, niedomówień a często obłudy. W Lublinie mówiono sobie prawdę w oczy, bez ogródek – z wyjątkiem kilku sztywnych urzędasów – szczególnie o wydarzeniach przemyskich i lwowskich. Gdyby tę dyskusję jakoś utrwalono, byłaby ciekawą księgą poglądów na stan stosunków polsko-ukraińskich na krańcu stulecia. W końcu uchwalono katalog dezyderatów pod adresem rządów w Kijowie i Warszawie. Dotyczą one wszystkich dziedzin życia, od lat postulowanych na łamach *Kultury*, zwłaszcza w dziedzinie szerzenia wiedzy o sobie, podręczników wzajemnej informacji w środkach masowego przekazu a nawet śmiałego projektu powołania wspólnego uniwersytetu na kształt istniejącego już niemiecko-polskiego we Frankfurcie nad Odrą.

Echo obrad lubelskich było niestety w prasie, radiu, telewizji obu krajów słabe i to jest jeden z podstawowych mankamentów naszego współżycia. Trzeba będzie chyba w niedalekiej przyszłości zwołać specjalne seminarium dziennikarzy, wydawców i kierowników stacji radiowych i telewizyjnych dla wytyczania dróg do współpracy na tym ważnym i kompletnie zaniedbanym polu. Inna rzecz, to sprawa czuwania nad losem uchwalonych w Lublinie zaleceń. Jak je ustrzec przed losem zapomnienia i jakimi środkami wpływać na biurokratów w Warszawie i Kijowie, aby pamiętali o realizacji zaleconych projektów. Nie będzie to łatwa sprawa. W Polsce już krok od wyborów sejmowych, na Ukrainie to samo za kilka miesięcy. Ale już dziś trzeba myśleć o tym kiedy i jak zwołać następne spotkanie w Lublinie celem weryfikacji losów uchwalonych zaleceń z 1997 roku. Mogłoby to być również tematem dyskusji powołanego niedawno do życia Polsko-Ukraińskiego Forum.

Ożywienie na granicy

Dziś trudno przewidzieć jaki wpływ na rozwój naszych stosunków będą miały skutki lipcowej powodzi w Polsce. Ukraina też została dotknięta tym żywiołem w dorzeczach Dniestru, Bystrzycy, Tyśmienicy i Prutu, ale nie w tych rozmiarach co w Polsce. Przedtem orkanowe wichury dokonały spustoszeń na Wołyniu. Ustalony przed rokiem program wzajemnej pomocy w wypadku katastrof dał pozytywne wyniki. Ukraińskie specjalne jednostki ratownicze okazały pomoc powodzianom w regionie Opola.

Na wschód od Lublina, na wschodnim pograniczu Polski, wzdłuż Bugu i Sanu, współpraca rozwija się coraz lepiej. Rośnie liczba przejść granicznych. Kolej z Kijowa już nie jeździ przez białoruski Brześć, słynny z chamstwa i dokuczliwości pograniczników a przez wołyński Jagodzin. Buduje się port autobusowy w Kowlu. Jak twierdzi ukraiński „wojewoda" w Równym, Kłymczuk, kooperacja pomiędzy Wołyniem a Chełmem i Zamościem rozwija się bez przeszkód. We Lwowie mówią to samo o współpracy z Rzeszowem, który omijając nieprzychylny Przemyśl, stał się miejscem stałych

spotkań. Rośnie znaczenie obydwu regionów europejskich w naszych stosunkach „Bug" i „Karpaty". Tuż nad granicą po stronie ukraińskiej w Mościskach inicjatywa prywatna rozbudowuje stacje benzynowe i marzy o ośrodku turystyki przygranicznej z restauracjami i hotelami. To tędy ma przebiegać przyszła autostrada z Lizbony do Kijowa. A we lwowskiej dyrekcji kolejowej przygotowuje się koncept zbudowania torów według normalnej szerokości europejskiej. Przyśpieszy to ruch nie tylko z Polską, ale i z Europą Wschodnią.

„Jest to jeszcze muzyka przyszłości – mówi dyrektor kolei lwowskich. – Najpierw musimy zelektryzować linię do Tarnopola a potem do Kijowa i urządzić przyzwoity dworzec na granicy węgierskiej". Na razie najlepiej funkcjonują połączenia autobusowe do Przemyśla i Rzeszowa. „A dlaczego nie można by opracować wspólnego programu polsko-ukraińskiego modernizacji połączeń komunikacyjnych" – pyta redaktor naczelny największej gazety lwowskiej *Wysokyj Zamok*, Stepan Kurpil. No właśnie, dlaczego? Inni moi znajomi lwowscy rozwodzą się o możliwości rozwoju turystyki na Huculszczyźnie. Może by Klub Polskich Biznesmenów zajął się tą sprawą razem z przedsiębiorcami ze Lwowa i Kołomyi.

Gotowość do współpracy

Pierwsza wyjazdowa sesja zasłużonej Szkoły Letniej Uniwersytetu Warszawskiego pod kierownictwem ruchliwego Jana Malickiego do Wilna, Mińska i Lwowa, była udanym eksperymentem. Myślę tylko o Lwowie, bo w poprzedzających etapach nie brałem udziału. Na otwarcie lwowskiej sesji w auli Uniwersytetu przyszła elita ukraińska. Atmosfera dyskusji była jak najbardziej otwarta. To samo na licznych spotkaniach towarzyskich. Wydaje mi się, że twierdzenia o nacjonalistycznej atmosferze w społeczeństwie lwowskim są pochopne i oparte na wycinkowych obserwacjach lub przypadkowych przeżyciach. Zdumiewająca jest znajomość polskiego i to nie tylko wśród starszej generacji, ale właśnie pośród młodych. Wybryki bojówkarzy ze skrajnie nacjonalistycznej Ukraińskiej Samoobrony, którzy podeptali sztandary Polski, Rosji i Rumunii, zostały ostro napiętnowane w

prasie lwowskiej a przeciwko sprawcom prokuratura wszczęła postępowanie karne. Rzecz nie do pomyślenia o podobnych konsekwencjach wobec szowinistów polskich w Przemyślu.

Na kościołach świeże afisze zapowiadające przyjazd zespołów muzycznych i wokalnych z Polski. Prasa ukraińska informuje o wyjazdach lwowskich zespołów teatralnych i estradowych do różnych miast polskich. Brakuje po obu stronach szerszej inicjatywy w dziedzinie urządzania poważnych imprez kulturalnych, na przykład koncertów starej muzyki, wspaniałych chórów kościelnych i świeckich, wystaw malarstwa itd. Dotychczasowi szefowie resortów kultury w Warszawie i Kijowie nie dorośli do takich zadań. Ale mogłyby się porozumieć magistraty miast lub agencje koncertowe.

Dotychczas stosunki polsko-ukraińskie jeśli chodzi o Warszawę kształtował konsul generalny Tomasz Marek Leoniuk. Na Ukrainie pracował od początku stycznia 1991 roku. Najpierw był w ambasadzie w Kijowie. We Lwowie spędził kilka lat. Starał się o nawiązanie dobrosąsiedzkich stosunków. W tak zwnej „wojnie o pamiątki historyczne pomiędzy Przemyślem i Lwowem" wykazywał umiar. Uważa zresztą, że za tym zatargiem stały obce siły, które sprytnie pokierowały akcją. Myśli, że wśród Polaków zawsze znajdą się tacy, którzy nie pogodzą się z heroizmem Ukraińskiej Armii Powstańczej, a wśród Ukraińców z rolą, którą odegrało Wojsko Polskie w „Akcji Wisła". W bilansie na temat swojej pracy we Lwowie w ramach wywiadu dla dziennika *Wysokyj Zamok* – Leoniuk przed wyjazdem do Warszawy wyraził ubolewanie, że władze miejskie dotychczas nie znalazły przyzwoitego pomieszczenia dla Konsulatu Generalnego i nie zatwierdziły budowy pomnika dla zamordowanych profesorów lwowskich, zresztą według projektu rzeźbiarza ukraińskiego Myśko.

Dodajmy, że w jedynym piśmie literacko-historycznym na poziomie europejskim o nazwie *J* pod redakcją Tarasa Woźniaka ukazują się teksty Gombrowicza, Miłosza. Niedługo ma się ukazać numer o tematyce polsko-ukraińskiej.

Nowe odrodzenie?

Na początku lat dziewięćdziesiątych Lwów aż pękał od

sławy i chwały, że tu wyrosła kolebka odrodzenia państwowości. Tak było rzeczywiście. We Lwowie bowiem zaczęła się bezkrwawa rewolucja wolności – chyba nie bez wpływów pobliskiej Polski – w postaci permanentnego wiecowania wbrew policyjnym zakazom, obalania bożków w postaci pomników Lenina, samorzutnej rewindykacji praw prześladowanego kościoła grecko-katolickiego, usuwania śladów rusyfikacji. To tutaj, długo przed konwersją Krawczuków i Kuczm komunistyczny burmistrz Lwowa, Bohdan Kotyk, przeszedł na stronę patriotów i demokratów. Pamięć o przedwcześnie zmarłym jest czczona corocznie i stanowi wyjątek w tym zdecydowanie antykomunistycznym mieście.

Politycy pierwszej niepodległościowej fali znaleźli się albo z własnej woli, by nie stracić okazji do państwowej lub parlamentarnej kariery, w Kijowie, lub zostali wessani przez kijowski centralizm. Ich exodus pozbawił gród Lwa z upływem lat splendoru sławy. Nie pomogły próby garści intelektualistów pod przewodnictwem nieżyjącego już pisarza Bratunia, utrzymania wysokiego standardu duchowego na zebraniach ekskluzywnego klubu „Lwowska Biesiada", jak też działacza grecko-katolickiego Iwana Hreczki poprzez Klub Inteligencji Grecko-Katolickiej, nie pomogła działalność luźnej organizacji społecznej „Nowa Fala". Miasto pogrążyło się w marazmie, korupcji, brudnych aferach.

Lwowscy „emigranci" nie zdołali utworzyć w Kijowie liczącego się lobby. Byli między sobą skłóceni i nie mieli mocnego zaplecza w rodzimej Galicji. Powtórzyła się historia biednego kraju z monarchii Habsburgów i Polski międzywojennej. W międzyczasie Moskwa wyssała ostatnie krople borysławskiej nafty i gazu ziemnego z Daszawy, którym w powojenne lata ogrzewano pół Rosji. W spuściźnie po imperium pozostał jeden z największych poligonów na świecie w Jaworowie pod Lwowem, gdzie teraz odbywają się manewry żołnierzy ukraińskich, amerykańskich i polskich.

Drugi rzut polityków, który objął władzę po pierwszej gildzie działaczy, odznaczał się brakiem fantazji i pobłażliwości w stosunku do wszelkiego rodzaju oszustów, własnego chowu ale i obieżyświatów. Nieudolną ekipę zmiotła wreszcie afera z niemowlętami. W ciągu lat nieuczciwi lekarze sprzedawali noworodki za granicę, głównie do Ameryki. Kiedy

prasa ujawniła pierwsze domysły, władze oświadczyły, że „wrogie siły" chcą oszpecić dobre imię Lwowa. Kiedy jednak wszystko – albo raczej prawie wszystko – wyszło na jaw, trzeba było zmienić ekipę administracyjną. Nowa władza ma zdaje się czyste ręce i rozwija inicjatywę. Wpłynęła na to również obecna polityka zagraniczna Kijowa skierowana na zachód, a zwłaszcza na Polskę, Niemcy, Francję i na południe w kierunku Węgier i Rumunii. W tym kontekście rośnie rola Lwowa.

Kijów, który przez lata traktował galicyjską metropolię po macoszemu, sypnął wreszcie pieniędzmi na ratunek architektury i na modernizację. Niewielkimi co prawda, ale w każdym razie coś się ruszyło. Odbywa się remont w śródmieściu najbardziej zabytkowych kamienic. Władze przystępują do ratowania zagrożonych fundamentów (na skutek budowy w międzyczasie zaniechanego metra) Pałacu Potockich. Ma być przywrócony dawny wizerunek fontanny przy Placu Mickiewicza. Miasto przyciąga kongresy, zwłaszcza typu regionalnego. Niedawno odbył się światowy Zjazd Łemków nie jako odrębnej narodowości ale jako historycznej części społeczności ukraińskiej. Przygotowuje się wielka wystawa Huculszczyzny. Rosną kontakty nie tylko z Rzeszowem i Lublinem, ale i z Krakowem, Budapesztem, Wiedniem i Pragą.

Lwów i prowincja

Komunizm pozostawił oprócz wszystkich świństw i świństewek również piętno centralizmu. Na całej Ukrainie spoczywa ciężar kijowskiej koncentracji władzy kosztem regionów, a we Lwowie też imitowano własną pychę. Jakiś czas to się udawało, a potem przestało. Wnet wyrosła potężna konkurencja w Iwano-Frankiwsku (dawnym Stanisławowie). Tam się skoncentrowały najciekawsze grupy młodych intelektualistów, zuchwała opozycja literacka. Ostatnio wykazuje ambicje intelektualne ośrodek w Drohobyczu. Podnosi, choć z trudnościami, głowę grupa w Kołomyi, gdzie ongiś było więcej wydawnictw i pism niż we Lwowie.

Renesans jako modne uzdrowisko i miejsce spotkań – często również politycznych – przeżywa Truskawiec. Nagłą popularność miejscowość kuracyjna zawdzięcza dwum prezydentom Ukrainy. Najpierw zaczął tu przyjeżdżać Leonid Krawczuk na odpoczynek. Potem poszedł w jego ślady również Leonid Kuczma. A za nimi zaczął się już korowód ministrów i biznesmenów. Dzięki temu przyszła kolej na modernizację uzdrowiska, rozbudowę komunikacji. Korzysta z tego i sam Lwów, bo udając się do Truskawca prominenci nie mogą ignorować pobliskiej metropolii galicyjskiej. Martwią się tym mieszkańcy i lekarze w Morszynie, który dawniej z sukcesem konkurował z Truskawcem, a teraz przegrał współzawodnictwo.

Prowincja przygotowuje się do historycznych obchodów w Haliczu. Dawna stolica książąt halickich będzie sobie liczyć w przyszłym roku tysiąc sto lat. Na razie tam jeszcze spokojnie. Tylko nieliczni turyści zainteresowani historią jadąc do Kołomyi albo dalej na Huculszczyznę zatrzymują się przed ruinami starego zamczyska. A grecko-katolickie duchowieństwo i partie chrześcijańskie apelują do współwiernych na świecie, aby przy okazji odbudować starą katedrę w Kryłosie koło Halicza, wzniesioną w XII stuleciu przez księcia Jarosława Ośmomysła. A w mieścinie Rohatyń w Żydoczowskim okręgu – zresztą stąd pochodzi znany amerykański miliarder Rohatyn – też w następnym roku odbędzie się odsłonięcie pomnika Roksolany. Imię tej damy większości Polaków zapewne niewiele mówi, a na Ukrainie wywołuje podziw i emocje. Otóż chodzi o mieszkankę Rohatyna, Nastię Lisowską, córkę grecko-katolickiego proboszcza, porwaną w 1520 roku przez Tatarów i sprzedaną do haremu tureckich sułtanów. Tam z niewolnicy została żoną Sulejmana Pierwszego i zdobyła wpływ na politykę Otomańskiej Porty. Jej postać stała się tematem wielu powieści, opowiadań i sztuk teatralnych na Ukrainie. Ostatnio jej sylwetce był poświęcony serial w telewizji kijowskiej. A więc przyszły rok zapowiada się nie tylko we Lwowie ale przede wszystkim na prowincji Galicji-Hałyczyny Zachodniej Ukrainy, ciekawie. Zresztą Hucule też coś przygotowują w Jaremczu.

Bohdan OSADCZUK

Kronika kulturalna

Scjentologia

1. Wielu paleoantropologów utożsamia prehistoryczne ukonstytuowanie się człowieka, współcześnie znanego nam jako *Homo Sapiens Sapiensis* (w przeciwieństwie do *Homo Sapiens Neanderthalensis*, który był gatunkiem z nami nietożsamym, ale TEŻ wytworzył pierwociny kultury), z wczesnym holocenem, epoką sprzed 140-180.000 lat, kiedy praludzie tym się radykalnie jęli odróżniać od zwierząt, że swoich zmarłych chowali w grobach (*nota bene* niekiedy napowietrznych – na szczytach drzew). A ponieważ rychle jęli wkładać do grobów zmarłym rozmaite rodzaje jadła, narzędzi, cennego nieraz dobytku, a potem obiekty uznawane za sakralne, ponieważ nie zdają się zdolne do praktycznego użytkowania, wniosek stąd, który wydaje nam się oczywistością, iż śmierć uznawali nie za definitywny koniec bytu, lecz za przejście w jakąś inną formę kontynuacji – pozagrobowej.

Wiar powstało już około 70.000 lat temu (dane chronologiczne są w najwyższym stopniu niepewne) wieleset, a może i tysiące, albowiem w tej domenie paleopogenezy łatwo o omyłki. I tak np. sporo mówiło się i mówi do dzisiaj o „cmentarzach słoni", na których znajdują się zbiorowiska ich szkieletów, a także było słychać o cmentarzach największych ssaków – waleni, lecz obecnie powstawanie jednych i drugich nie jest przypisywane rozmyślnej działalności tych czy tamtych zwierząt, lecz raczej warunkom naturalnym (napływowi rzek, prądów morskich, itp.). W dalsze uszczegółowienia tego rozdziału tanatologii jednak wchodzić nie zamierzam, gdyż zbyt daleko odwiodłyby nas od treści niniejszego szkicu, oznajmionego tytułem. Wielkie liczby wyznawców wiary,

utrwalone postacią treściową, dogmatyczną zwłaszcza, jako też liturgią, od bodaj niepamiętnych czasów podlegały rozszczepieniom i odszczepieniom; przy tym nazewnictwo czyli terminologia wskazująca, w czym konfesyjna rzecz, przeważnie była dwojaka. Każdy „ablegier" wiary był ze stanowiska jej „trzonu centralnego" czyli pnia, rodzajem herezji, która niekiedy po prostu wygasała a niekiedy usamodzielniała się w „osobne wyznanie". I tak Kościół Rzymski zasadniczo nie uznaje za sektę prawosławia, a stosunek ten jest symetryczny, tj. prawosławie nie uważa katolicyzmu za sektę. O ile wiem, w islamie też sunnici nie mają szyitów za sekciarzy, chociaż na tym dość obcym mi terenie mogę się mylić.

Interesująca nas w tej chwili kwestia, skąd się wzięła, czym jest i do czego zmierza zrodzona w Ameryce Północnej i ekspansująca na Stary Kontynent tak zwana scjentologia, daje się wyjaśnić dość dokładnie, co się tyczy jej narodzin i rozwoju. Na pytanie wszakże nieporównanie trudniej dające szansę na odpowiedź: CO mianowicie wywołuje potrzebę sekciarskich narodzin, oraz CO stanowi o trwałości sekty, można bardzo rozmaicie replikować.

W historii powstanie scjentologii zdaje się interesujące dzięki temu, iż pokazuje, że w naszych przynajmniej czasach sekta nie powstaje przede wszystkim z rozmaitego zbioru odchyleń od utrwalonej dogmatyki wielkiej wiary, czyli nie jest jej nieprawym potomkiem MENTALNYM. Było mianowicie tak, że Lafayette Ronald Hubbard pisał w pierwszej połowie XX wieku utwory beletrystyczne gatunku znanego jako Science Fiction i „odkrył" przedscjentologiczną niejako larwę w postaci DIANETYKI, która w fazie wczesnej do statusu WYZNANIA RELIGIJNEGO nie wysuwała roszczeń. Należy zresztą dodać, że te narodziny ze strefy fantazjowania zrazu beletrystycznego, nie były w USA zjawiskiem ani odosobnionym, ani wyjątkowym. Było ich wiele, składały się łącznie na różne rodzaje para- czy pseudonauki. Te zaś, podające się za „innowację w nauce" przeświadczenia, można wyliczone znaleźć w dość już starej książce Martina Gardnera „In the Name of Science". Prócz Hubbardowskiej dianetyki wylicza on np. „Generalną Semantykę" Korzybskiego, różne „Kulty medyczne", orgonomię, oraz szereg innych pseudonaukowych szkół czy kierunków: Gardner wymienia ich w swojej książce 26.

W wyznanie religijne przekształcała się „Dianetyka" stopniowo i była o tyle w rozwojowym mechanizmie swoim podobna do powstałej w Korei sekty Moona, że rychło „nauczyła się" wysysać znaczniejsze środki materialne z coraz większego grona wyznawców. Na drodze od pseudonaukowej „szkoły", w zaraniu przypominającej co nieco wczesną psychoanalizę, sekta musiała toczyć i wygrywać procesy o uznanie jej za religię właśnie w USA, gdyż uznanie tak ustalone publicznie udziela ruchowi wielu prerogatyw, z nader istotnym wyłączeniem spod podatkowej presji Internal Revenue Service. Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych, gdzie króluje „First Amendment" do Konstytucji i zarazem istnieje bardzo wiele wyznań, będących rozmaitymi derywatami chrystianizmu, wielość współistniejących obok siebie gmin wyznaniowych i kościołów uchodzi za zjawisko zupełnie normalne, zaś raz uzyskane przywileje sekta może ze znacznym dla siebie zyskiem i ze znaczną korzyścią finansową wykorzystywać. Ostatnio zrobiło się nieco wokół niej ruchu i poszedł rozgłos, albowiem Niemcy jęli się dopatrywać w scjentologii – i nie bezzasadnie, jak powiadają nawet amerykańskie źródła – ruchu, który wyznawców kusi, zniewala, stosując drastyczne metody psychotechniczne, bodajże nie tylko odnoszące się do oddziaływania na psychikę. Faktem jest, że w USA starano się scjentologów bronić, w Europie natomiast, już i we Włoszech, napotkali administracyjne utrudnienia, inwigilacje, czyli (jak głoszą sami) prześladowania za wiarę.

Być może istnieje jedyny kościec dogmatyki scjentologicznej, który zresztą, podobnie jak w wielu innych ruchach sekciarskich amerykańskiej prowieniencji wykazuje pochodzenie pseudonaukowe. Ta hybryda nauki (*Science*) i religii wywodząca się z dianetyki (pochodna od greckiego słowa „myśl") opisuje siebie słowami Hubbarda tak:

„Stworzenie dianetyki to dziejowy krok Człowieka, porównywalny z odkryciem ognia, a większy od wynalezienia przezeń koła i arki..." A dalej można czytać: „Ukryte źródło wszystkich psychosomatycznych przypadłości zostało odkryte a zarazem zostały wynalezione sposoby pewnego ich leczenia".

W zakończeniu swego rozdziału, poświęconego dianetyce i jej już rozkwitłej sekciarsko latorośli – scjentologii – pisał

Gardner kostycznie: „John Campbell Jr (sponsor literatury S-F, St.L.), który został w tajniki dianetyki wprowadzony, kiedy Hubbard sam począł leczyć jego zapalenie zatok (*sinusitis*) i który wsparł rozprowadzenie doktryny po całym świecie, nadal cierpi na zapalenie zatok".

Według Amerykanów, *volenti non fit iniuria*, czyli każdy ma prawo wierzyć w to, co chce. Scjentologia ustanawia tak zwanych „audytorów", którym powierzają wyznawcy swe troski, bolączki i – zwłaszcza zamożni – środki finansowe, pozwalające umieszczać w prasie olbrzymie, kosztowne ogłoszenia, udzielające głosu osobom, bezgranicznie zachwyconym, a nawet uszczęśliwionym (naturalnie też z wszelkich schorzeń wyleczonym) przynależnością do sekty. Osoby, które z tej sekty odeszły czy aż umknęły, w relacjach swoich podają mniej piękne szczegóły funkcjonowania. Należy jednak uświadomić sobie, że dzisiaj wszystkim jest pieniądz, a scjentologowie są członkami sekty bardzo bogatej. Należy też pamiętać i o tym, że sekt jest dzisiaj legion i że już pojawiają się wśród nich takie, których głównym zadaniem religijnym jest popełnienie zbiorowego samobójstwa, jakoby przenoszącego w „lepszy byt". Ostatnio grupa takich samobójców porządnie się do rzeczy przygotowała po to, ażeby po masowym skonaniu „przenieść się" na pokład wymyślonego statku kosmicznego, mknącego w ślad za kometą Hale-Boppa, gdy ta okrążała nasze Słońce. Jest rzeczą dla piszącego te słowa raczej dziwną, że nasz ziemski statek kosmiczny, choć niosący tak znaczną liczbę ludzi ze wszystkim pomylonych, przecież zdołał na swoich „pokładach" utworzyć cywilizację, która się jeszcze do technicznie doskonałego samobójstwa nie szykuje.

Nie udzieliłem tutaj odpowiedzi na moje drugie, trudne pytanie o powody powstawania sekt, jako też o ich trwałą „rozrodową" obecność pod skrzydłami wielkich wiar. Zdaje się, że dystrybucja sekciarskiej płodności nie jest całkowicie równomiernie rozproszona na historycznej osi czasowej dziejów: najświetniej, mym zdaniem, choć nieco w zawężeniu konfesyjnym, wyłożył wszakże Leszek Kołakowski rzecz w swojej „Świadomości religijnej i więzi kościelnej". Nie wiem, czy autor do tenoru tego dzieła nadal się przyznaje, jak i do orzeczenia swego, że „religia jest sposobem, jakim człowiek

akceptuje swoje życie jako nieuchronną porażkę. Mam ową tezę za oczywistość, towarzyszącą naszemu gatunkowi, odkąd zrozumiał nieuchronną swoją śmiertelność. Aby ją unieszkodliwić, wymyślano rozmaite zaświaty, zaś w naszych materialistycznych czasach osoby, które na to stać, dają się pośmiertnie zamrażać w płynnym azocie, w nadziei płynnych technik odtajania zmartwychwstańczego. Co prawda jak dotąd nie łączą się jeszcze w grupy sekciarskie, ale skoro nie zagraża nam koniec świata, możemy i na taki wariant sekt trochę poczekać.

Być może powyższy tekst obudzi zdziwienie, ponieważ nie zawiera nawet zwięzłego streszczenia doktryny, skupiającej scjentologów. Prezentacja tej doktryny wydaje mi się jednak zupełnie nieistotna. Najogólniej, a nieco metaforycznie mówiąc, ze scjentologią jest trochę tak, jak z psychoanalizą w powiedzeniu złośliwym, że jest chorobą, za której terapię się podaje. Mniej metaforycznie zaś rzecz w tym, iż treść tego rodzaju doktryny jest dla racjonalnie przeciętnego człowieka naiwnie głupia, jako złożona ze skrawków rozmaitych przesądów, w jakie i dziś (może zwłaszcza dzisiaj) tak wielu ludzi wierzy, z „konfesyjnych odpadków", zatem stanowi brikolaż posklejany i wymalowany mającym budzić zaufanie hasłem NAUKA.

Ogląd wielu różnych sekt wskazuje zresztą, że przyciągające do nich treści nie są zbyt ważne. Ważniejszy jest sposób podania, reklama oraz autorytet wielkich gmachów i przytulnych gabinetów, w których kandydaci podlegają psychologicznemu treningowi, albo brutalniej mówiąc, przygotowawczej obróbce. Ludzie anonimowych tłumów łakną wspólnotowości, zrozumienia ich trosk i przez to tak łatwo jak muchy na lep przylgnąć potrafią do obietnic umiejętnie wspieranych komfortem. Najwięcej zaś mówi fakt, że w Niemczech uruchomiono już telefony kontaktowe dla tych, którzy, rozczarowawszy się nieraz boleśnie, usiłują scjentologów porzucić, od czego sekta z kolei stara się ich powstrzymywać p r o ś b ą – może raczej perswazją – i groźbą. Dla wielu opuszczających ją na koniec pozostaje wspomnieniem duchowego zniewolenia, ale są i tacy, którym scjentologicznego *ésprit de corps* może zabraknąć. Ażeby prosperować jak należy, scjentologia działa zgodnie z techniką

reklamy, wspartą dużymi pieniędzmi i sam ów szczodry rozmach może wzbudzać, dziś zwłaszcza, w erze Mammona, niejakie uszanowanie. Zresztą *quod capita, tot sensus*. Widziałem w niemieckich periodykach listy czytelników, srogą sektą zwące i Kościół Rzymski. Dolegliwości naszego czasu nie są w każdym razie czymś wmówionym tylko: łatwo się teraz zagubić, łatwo o ześlizg w narkomanię, w rozmaite ekstremalne aberacje (nie tylko i nie przede wszystkim kultury): a zatem jest to czas, w którym KAŻDA MODNA WIARA potrafi dać schronienie. To, za jaką cenę, jest sprawą dla każdej jednostki niewymienialną na waluty po prostu komercjalnie kursujące na rynkach.

sierpień 1997

Stanisław LEM

INSTYTUT EUROPY WSCHODNIEJ I WSCHODNIO-ŚRODKOWEJ WE FRYBURGU

Nowy Międzywydziałowy Instytut Europy Wschodniej i Wschodnio-Środkowej Uniwersytetu we Fryburgu Szwajcarskim bierze swoje początki z Instytutu Europy Wschodniej, założonego w 1958 r. przez prof. Józefa Bocheńskiego i będącego w swoim czasie jedynym zachodnim ośrodkiem badań nad filozofią marksizmu-leninizmu. Dzięki licznym publikacjom (czasopismo *Studies in Soviet Thought*, obecnie *Studies in East European Thought*, seria książkowa Sovietica) Instytut ten uzyskał reputację światową. Po restrukturyzacji i nowym założeniu w czerwcu 1997 r., Instytut przemienił się z wąsko-specjalistycznego aneksu do fryburskiej Sekcji Filozoficznej w instytucję konstytuowaną przez kilka wydziałów, obecnie Wydział Nauk Humanistycznych, Wydział Prawa, Wydział Nauk Gospodarczych i Społecznych oraz Wydział Teologii Katolickiej). Jego działalność w zakresie badań i nauczania znacznie się rozszerza. Będzie on sprzyjał badaniom interdyscyplinarnym w zakresie Europy Wschodniej i Środkowej

oraz projektował i koordynował nauczanie w tej dziedzinie na szczeblu studiów magisterskich, doktorskich, post-doktorskich i studiów kwalifikacyjnych (formation continue, Weiterbildung). Z tej przyczyny Instytut współpracuje ściśle także z fryburską katedrą języków i literatur słowiańskich, założoną w 1889 r. i specjalizującą się od początku w zakresie literatury polskiej, obok swoich zainteresowań ogólno-slawistycznych i rusycystycznych.

Instytut koordynuje obecnie następujące kierunki studiów magisterskich:

– Slawistyka; Rusycystyka; Polonistyka (tylko jako kierunek poboczny)
– Filozofia kultury Europy Wschodniej i Środkowej
– Nauka polityczna Europy Wschodniej i Środkowej
– Etnologia Europy Wschodniej i Środkowej (tylko jako kierunek poboczny)

W dodatku regularnie prowadzone są kursy i seminaria z dziedzin:

– Prawo Europy Wschodniej i Środkowej
– Gospodarka Europy Wschodniej i Środkowej

NIEZWYKŁA NAGRODA LITERACKA

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY BIBLIOTEKA POLSKA

238-246 KING STREET, LONDON W6 0RF, TEL. 081-7410474

Zgodnie z życzeniem twórcy „Wieczystego Funduszu im. Tadeusza Murdzeńskiego", Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny – Biblioteka Polska w Londynie, ogłasza dwie nagrody pisarskie Jego imienia, obejmujące publikacje z zakresu literatury, historii, biografistyki i kultury:

1. Książki wydane w języku polskim w Polsce i za granicą
2. Książki wydane poza Polską w języku obcym o tematyce polskiej

Nagrody w sumie £1000 każda, będą przyznawane autorom lub redaktorom książek, którzy w opinii jury wyróżnili się w swej twórczości.

Jury rozpatrzy prace opublikowane za okres 1996-1998. Dwa egzemplarze książek, które muszą mieć numer ISBN, należy przesłać do dnia 31.12.1998 na adres Biblioteki Polskiej w Londynie. Książki, po wykorzystaniu, pozostaną w zbiorach Biblioteki. Wręczenie nagród odbędzie się w dniu obchodów 3 Maja 1999.

Dalszych informacji udziela Biblioteka Polska w Londynie.

KONKURS FUNDACJI ROBERTA BOSCHA

WE WSPÓŁPRACY Z DEUTSCHES POLEN-INSTITUT na NAGRODĘ PROMOCYJNĄ 1998

dla polskich tłumaczy literatury niemieckojęzycznej.

Fundacja Roberta Boscha i Deutsches Polen-Institut starają się od początku lat osiemdziesiątych promować literaturę niemieckojęzyczną w tłumaczeniu polskim.

Po raz czwarty obie instytucje ogłaszają konkurs na

NAGRODĘ PROMOCYJNĄ DLA POLSKICH TŁUMACZY LITERATURY NIEMIECKOJĘZYCZNEJ

Nagroda została po raz pierwszy wręczona w roku 1993. Ubiegać o nią mogą się polscy tłumacze beletrystyki i eseistyki z obszaru języka niemieckiego.

W konkursie może wziąć udział każdy tłumacz, który posiada już w swoim dorobku bądź przetłumaczoną książkę, bądź mniejsze opublikowane przekłady.

Nagroda przyznawana jest za projekty przygotowywanego tłumaczenia. Tłumaczenia już zakończone nie będą uwzględniane.

Folder informacyjny zawierający dokładne warunki i wymagania konkursu można zamówić w:

Deutsches Polen-Institut
Mathildenhöhweg 2
64287 Darmstadt
Tel. 06151/4202-0
Fax 06151/4202-10

Ostateczny termin nadsyłania materiałów na konkurs upływa z dniem 10 lutego 1998 roku.

II KONKURS NA POLSKĄ POWIEŚĆ

Klub „Świat Książki" oraz wydawnictwo „Zysk i s-ka" ogłaszają II KONKURS NA POLSKĄ POWIEŚĆ.

Przyznana będzie jedna nagroda główna. Wybrana książka zostanie wydana przez obie firmy – „Zysk i s-ka" wprowdzi ją do obiegu księgarskiego, a „Świat Książki" do klubowego katalogu. Wydawnictwa zorganizują akcję promocyjną w kilku miastach polskich.

Laureat otrzyma 15 tysięcy złotych oraz honoraria ze sprzedaży książek wedle normalnych stawek autorskich obowiązujących w obu wydawnictwach.

Prace oceniać będzie pięcioosobowe jury złożone z przedstawicieli Klubu „Świat Książki" oraz wydawnictwa „Zysk i s-ka". Obradom przewodniczyć będzie niezależny krytyk.

Formuła konkursu jest otwarta. Swoje utwory może przesyłać każdy. Jedynym warunkiem jest, aby powieść była dotąd niepublikowana.

Prace opatrzone godłem można dostarczać do 1 marca 1998 r. na jeden z poniższych adresów:

Klub „Świat Książki"
ul. Rosoła 10
02-786 Warszawa

lub

Wydawnictwo Zysk i s-ka
ul. Wielka 10
61-774 Poznań

Wyniki zostaną ogłoszone w maju 1998 r. podczas Międzynarodowych Targów Książki w Warszawie.

Notatki Redaktora

Nie mogąc wziąć udziału w Międzynarodowej Konferencji, która miała miejsce w Wilnie w dniach 4-10 września br., na którą zostałem zaproszony, wysłałem do Prezydenta Brazauskasa swoje oświadczenie, którego tekst podaję:

Panie Prezydencie,

Inicjatywa Pana i prezydenta Kwaśniewskiego zwołania konferencji na temat „Współistnienie narodów i dobre stosunki sąsiedzkie są gwarancją bezpieczeństwa i stabilności w Europie" jest jak najbardziej aktualna. Bo jak wygląda sytuacja?

Polska po odzyskaniu niepodległości w 1989 roku od razu ogłosiła nienaruszalność istniejących granic, co oznaczało rezygnację z rewindykacji wobec Litwy, Ukrainy i Białorusi. Również, bardzo szybko, po rozpadzie Związku Sowieckiego, uznała niepodległość krajów bałtyckich, Ukrainy i Białorusi. Jeżeli idzie o Litwę, gdzie parlament litewski ogłosił niepodległość 11 marca 1990 roku, co spotkało się z interwencją wojsk sowieckich, polscy parlamentarzyści i politycy brali czynny udział w obronie parlamentu i byliśmy gotowi do udzielenia maksymalnej pomocy. Rozmowy na ten temat były prowadzone przez prezesa Sajudisu Vytautasa Landsbergisa i Czesława Okińczyca. Dlatego też oficjalne uznanie niepodległości Litwy mogło nastąpić dopiero 26 sierpnia 1991 roku.

Sytuacja jednak była trudna i skomplikowana. W społeczeństwie litewskim przeważała nieufność w stosunku do Polski, którą wciąż podejrzewano, że nie zrezygnuje z odebrania Wilna – podejrzenia podsycane nieodpowiedzialną akcją niektórych przywódców Polaków na Litwie oraz niezręcznościami rządu polskiego.

Nie lepiej było na odcinku ukraińskim. Polacy pamiętali rzezie na Wołyniu i działalność UPA w czasie wojny i bez-

pośrednio po wojnie, Ukraińcy zaś tzw. operację „Wisła" i represje. Pamiętano również o pacyfikacjach przedwojennych.

W stosunku do Rosji, utożsamianej ze Związkiem Sowieckim, były pokłady nienawiści. Pamiętano Katyń, łagry, narzucenie Polsce rządów komunistycznych. Rosja ze swej strony, nie może pogodzić się z niepodległością dawnych republik sowieckich, a specjalnie Ukrainy. Dowodem tego są stwarzane przez nią trudności do przyjęcia naszych państw do NATO.

Niewątpliwie nasze rządy są ożywione najlepszymi intencjami. Są spotkania prezydentów, wspólne komisje parlamentarne, mówi się o współpracy kulturalnej, nawet wojskowej. Ale, jak dotąd, wszystko pozostaje na papierze. Wszystkie uchwały grzęzną na niższych szczeblach biurokracji, często niechętnej. Brak koordynacji pracy między urzędami, które tymi sprawami powinny się zajmować.

Niewątpliwie jest także szereg rzeczy pozytywnych. Ukazują się doskonałe prace historyczne, pracuje się nad ujednoliceniem podręczników szkolnych, organizuje się kolokwia i konferencje, ale to wszystko zamyka się w bardzo wąskim gronie przeważnie tych samych ludzi.

Obraz więc niewesoły i istnieje realne niebezpieczeństwo bałkanizacji wschodniej Europy. Sytuacja ta wymaga konkretnych posunięć i mam nadzieję, że obecna konferencja zajmie się tymi sprawami.

Najważniejszą sprawą jest dotarcie do mas społeczeństwa. Przecież przeciętny Polak, Ukrainiec czy Litwin nie zna historii stosunków pomiędzy naszymi narodami, ma skrzywiony obraz swoich sąsiadów. O ile starsze pokolenie polskie, litewskie czy ukraińskie mówiło swobodnie językiem swoich sąsiadów, to dla młodych są to języki zupełnie obce. Na przykład w Polsce zanika znajomość języka rosyjskiego.

Cała nadzieja jest w młodym pokoleniu, nie obciążonym pamięcią przeszłości. Muszą więc być opracowane popularne książki o naszej przeszłości.

Trzeba zorganizować tłumaczenia celniejszych dzieł literackich na wzór umowy podpisanej przed dwoma laty w Moskwie przez prezydenta Kwaśniewskiego z rządem rosyjskim.

Niestety, umowa ta dotychczas nie weszła w życie. Należy rozbudować organizacje młodzieżowe, jak np. harcerstwo, położyć duży nacisk na wspólne imprezy sportowe.

Sugeruję, aby Panowie uchwalili zorganizowanie festiwalu młodzieży na wzór XII Światowego Zjazdu Młodych, który miał miejsce niedawno w Paryżu z inicjatywy Papieża. Niezależnie od aspektu religijnego Zjazd ten był przykładem, że dzisiejsza młodzież szuka moralnego autorytetu, idei jednoczącej wszystkich. Taką ideą może być Zjednoczona Demokratyczna Europa Wschodnia. Należy sobie przypomnieć, że festiwale młodzieżowe organizowane w schyłkowym okresie sowietyzmu odegrały znaczną rolę w przyspieszeniu procesów wolnościowych.

Ważnym, jeżeli nie najważniejszym problemem, jest normalizacja stosunków z narodem rosyjskim. Tu jest również ogromna wzajemna ignorancja. My Rosję znamy jedynie od strony krzywd nam wyrządzonych, oni mają spaczony obraz naszych krajów. Zmienić to można tylko żmudną pracą, przede wszystkim na drodze działalności kulturalnej, przekonując Rosjan, że naszym wspólnym celem jest demokracja, wolność i bezpieczeństwo. Trzeba ich także przekonać, że dla osiągnięcia celów potrzebne są ofiary. Tak jak my zrezygnowaliśmy z Wilna i Lwowa – miast tak związanych z naszą historią i kulturą – i oni powinni ponieść ofiary dla zapewnienia światowego pokoju.

Jest ponadto trudny problem białoruski. Naród białoruski jest nam bliski, nas wszystkich z nim wiąże przeszłość historyczna. Nie zamierzamy wtrącać się do spraw wewnętrznych państwa białoruskiego, ale bardzo chcielibyśmy rozbudować współpracę gospodarczą, kulturalną i ekologiczną (np. ochrona Puszczy Białowieskiej). Będziemy też z największą sympatią odnosić się do wszystkich zachodzących na Białorusi procesów demokratycznych i dotyczących ochrony praw człowieka.

Łączę wyrazy szacunku

Jerzy GIEDROYC

Książki

Bestseller o Stalinie

„W swoich miękkich kaukaskich butach Stalin odszedł w cień historii, by dzisiaj znowu wychynąć na jej horyzoncie. Bowiem niedawno upadłe, największe Imperium XX wieku, coraz częściej wspomina o swoim twórcy i w dymie nowych mitów wraca do kraju on – Gospodarz, Ojciec, Nauczyciel".

E. Radzinskij, „Stalin"

Wiosną br. w Centralnym Domu Filmowców w Moskwie popularny dramaturg, Edward Radzinskij, prezentował swojego „Stalina"*. Narodu przyszło takie mrowie, że miejsc dla wszystkich nie starczało, lecz tłum naparł, zniósł barierki i lud się wdarł do środka.... Dyrektor CDF machnął ręką. Wieczór autorski się zaczął. Radzinskij rozprawiał o kulcie Stalina, z ironią i swadą. Mówił na przykład, iż Stalin nie całkiem odszedł z tego kraju, on tu jeszcze powróci. Bo w Rosji potrzebny jest ktoś taki, kto by powiódł naród za sobą i zdjąwszy odpowiedzialność z jednostki, na kolektyw ją złożył. I nawet w tym szturmie na Centralny Dom Filmowców można się dopatrzyć mistycznej kontynuacji samej książki, oraz kultu jej bohatera... – zakończył z *jechidnym* uśmieszkiem. Zatem odbyła się licytacja numerowanych egzemplarzy „Stalina". Nr 2 poszedł za 1103 dolary. Nr 1 podarowano Rosyjskiej Bibliotece Państwowej. Nr 3 ofiarowano Prezydentowi Jelcynowi.

Wydanie „Stalina" poprzedziła w Rosji szumna kampania reklamowa. Pierwszy program TV nadał czteroodcinkowy

* Edward Radzinskij, „Stalin", wyd. Wagrius, Moskwa 1997, s. 638.

spektakl pt. „Zagadki Stalina", w którym Radzinskij opowiadał dzieje pisania książki, oraz jej główne wątki. Opowiadając, grał: to głos ściszał do szeptu i zawieszał w pół słowa, to włos mierzwił i ryczał, lub zamierał i śmiał się bezgłośnie... Zaiste, nie tylko dramaturg, lecz i aktor pełną gębą, perfekcyjnie panujący nad gawiedzią. Sześciogodzinny monolog ani przez chwilę nie nudził. Na Zachodzie zrobiono dlań nie mniejsze *show*. Objechał i Europę, i Amerykę. Tylko w Stanach wystąpił w 17-tu miastach i wszędzie „go przyjmowano z ciekawością, choć nie w pełni rozumiejąc..." Biografia Wodza weszła na listy bestsellerów wielu krajów. Książkę przełożono na kilkanaście języków, w tym na polski.

Autor „Stalina" urodził się w 1936 r. w Moskwie. (Jego Bohater w onym czasie zaczynał Wielką Czystkę). Zatem ukończył moskiewski Instytut Historyczno-Archiwistyczny i ożenił się ze znaną aktorką z teatru MCHAT, Tatianą Doroniną. Pierwsze sztuki pisał dla żony i choć później się rozwiedli, teatru nie porzucił. Jednak prawdziwą popularność zdobył prozą dokumentalną. Biografia Mikołaja II została przetłumaczona na 19 języków. („Stalin" chyba pobije rekord „Ostatniego cara"). Obecnie przygotowuje książkę o Rasputinie, a niedawno wystąpił w TV ze spektaklem-gawędą o Casanowie. Zagrał tam z nie mniejszą werwą, niż w „Zagadkach Stalina". Tym samym Radzinskij stworzył nowy *genre* telewizyjny – teatr jednego autora, gdzie występuje zrazu w kilku postaciach: dramaturga, aktora, historyka-archiwisty i... kpiarza.

„Stalin" to próba nowego *genre'u* w prozie. W jednym z ostatnich wywiadów (*Kniżnoje obozrienije*, nr 34 z 26.08.1997), Edward Stanisławowicz powiedział, że jego najnowsza książka nie jest ani portretem politycznym, ani esejem, lecz biografią człowieka, którego życie było... powieścią. I dodał, pół żartem, że to powieść fantastycznego realizmu, bo któż tam, na przykład w Meksyku, uwierzy w możliwość unicestwienia na jawie dziesiątków milionów obywateli przy pełnym aplauzie całego kraju. Wyznał także, że zaprząta go teraz problem powieści XX-XXI wieku, i że biografia Stalina przypomina, na pierwszy rzut oka, tradycyjną powieść, wszak żywego człowieka tam nie ma. „W gruncie rzeczy – mówi Radzinskij – mamy do czynienia z literackim bohaterem...

choć nam się zdaje, że on kiedyś istniał naprawdę, co próbuję wykazać przy pomocy dokumentalnych źródeł. Ale z drugiej strony, wciąż czuję, jakbym sam siebie chwytał. Bo cała ta gra, jeśli zauważyliście, opiera się na mojej obecności: to ja cały czas idę za swoją postacią, niczym Pirandello. Próbuję ją pojmać. *Cała moja gra* to nic innego, jak łapanie motyla, który wciąż ulatuje spod siatki. A może zresztą w ogóle go nie ma". (podkr. moje – M.W.)

Wsja moja igra – te słowa chyba najlepiej określają rodzaj zajęcia, któremu oddaje się Radzinskij, zarówno w książce, jak i na ekranie TV. Niczym demiurg igra historycznymi figurkami: to rebus układa , to w chowanego się bawi, to gra w durnia... Nieprzypadkowo też, myślę, często porównuje Józefa Wissarionowicza do szachisty, potrafiącego rozgrywać partię na czterdzieści posunięć wprzód. Zaś sam „Stalin" przypomina *puzzle* – układankę z ustępów, lub domino. Innymi słowy, to rosyjski wariant... powieści postmodernistycznej. Podkreślam: r o s y j s k i , albowiem w Rosji namnożyło się ostatnio naśladowców mód zachodnich, ale żaden z nich dalej Eco nie poszedł. Natomiast Edward Stanisławowicz pokazał, że można iść dalej, wystarczy przekroczyć granice literackich fikcji i zacząć grę z dokumentem. Zamiast więc, jak Borges, tworzyć Bibliotekę nieistniejących dzieł, można w realnych Archiwach poszperać: w Archiwum Prezydenta, w Archiwum Partii, w Archiwum Państwa; a miast pisać głosy do nieistniejących książek, jak autor „Fikcji", można cytować głosy swojego bohatera, nagryzmolone na marginesach czytanych przezeń książek. Cóż to: postmodernizm realistyczny, czy realizm postmodernistyczny...?

Radzinskij się puszy, że jego „Stalin" jest obiektywny: ni krzty w nim ideologii, ni źdźbła tendencji. Inni pisali biografie Wodza bądź na zamówienie, bądź pod dyktat mody, żeby coś dokazać, lub komuś pochlebić. Np. Wołogonow, czy amerykańscy sowietolodzy. Oni zanim siądą do stołu, już wiedzą, co chcą napisać, a źródła czytają wybiórczo, by swoje tezy udowodnić. Natomiast Edward Stanisławowicz zaczął od białej kartki i wiedział tyle, że nic wiedzieć nie powinien od razu. Należało przejść całą drogę życiową Wodza i pojąć jego logikę (a nie swoją weń wkładać). „Jedyne, co naprawdę mnie zajmuje – wyznał autor „Stalina" – to próba odgadnięcia Jego

(tj.... Stwórcy) zamysłu. Ów zamysł tkwi w każdym ludzkim losie, jak i w losach całego narodu". Ot tak: zaczęliśmy od gry, a kończymy Panem Bogiem. By odgadywać Jego zamysły, trzeba wznieść się ponad szachownicę ludzkich gier i z wysokości, beznamiętnie, obserwować poczynania maluczkich, lub samemu rolę Twórcy na się przyjąć i partie maluczkimi rozgrywać. Nietrudno zauważyć, że autor „Stalina" uległ fascynacji swoim Bohaterem, i nie chcąc weń wkładać własnej logiki, przyjął był Jego. Ba, nie tylko logikę, ale i sposób widzenia świata. I ludzi.

Ludzie w „Stalinie" to miernoty, bez wyjątku. Nie tylko bolszewicy, czy czekiści, lecz wszyscy: i ruski motłoch, żądny wódy i igrzysk, i twórcy sztuki; żądni zaszczytów i sławy. I jedni i drudzy piszą donosy, wydają przyjaciół, czasem ojców, braci, żony, i biją brawo ich katom. Oprawcy zajmują miejsce ofiar, ofiary same się oprawiają – niby krwawy karnawał, ku czci Gospodarza. Radzinskij nie szczędzi nikogo, zwłaszcza inteligencji twórczej, jakby szydził sam z siebie, i powtarza za swym Bohaterem, iż „poskromić inteligentów do końca, to nie znaczy nauczyć ich niezauważania aresztów przyjaciół, bynajmniej; poskromić inteligentów do końca, to nauczyć ich *sławit'* areszty przyjaciół". Radzinskij na każdego ma *dossier*: i na Pasternaka, i na Mandelsztama, i na Prokofiewa, i na Szostakowicza, i na Eisensteina, i na Meyerholda... Cytuje ich dzienniki i listy, protokoły ich przesłuchań i donosy. I konkluduje z *jechidnym* chichotem: wszyscy się byli skurwili. Ot, dla przykładu Korniej Czukowskij, który tak opisuje w dzienniku pojawienie się Stalina na zjeździe komsomołu 22 kwietnia 1936 roku: „Cóż tam się działo!... Rozejrzałem się – wszyscy mieli rozkochane, tkliwe i uduchowione twarze... Widzieć go, tylko widzieć – to szczęście dla nas wszystkich... Każdy jego gest przyjmowaliśmy z uwielbieniem. Nigdy nie podejrzewałem w sobie takich uczuć... Pasternak cały czas szeptał słowa pełne zachwytu... Później wracaliśmy razem z Pasternakiem do domu, obaj przepojeni radością". Tak pisał jeden z najmądrzejszych ludzi Rosji, i to w dzienniku. Cóż się zatem dziwić tłuszczy, niszczącej kolektywnie Chram Zbawiciela w Moskwie – ku chwale Gospodarza. To czerń, którą tylko Strach może okiełznać. To raby. Niekiedy Radzinskij porównuje ludzi do zwierząt, lub owadów. Trwogę

Bucharina, który pojął na koniec, ku czemu zmierza Gospodarz i słał doń listy miłosne, by swoją śmierć odsunąć, autor „Stalina" tak komentuje: „Myśliwi znają ten osobliwy zajęczy wizg – przedśmiertny, kiedy go psy doganiają..." O starych bolszewikach, wyskakujących przez okna, pisze: „Oni padali na nocne ulice pod nogi rzadkich, zdziwionych przechodniów. Śmierć karaluchów, mór..."

I na koniec: Radzinskij wieszczy, że Stalin wróci do Rosji. Pora już... „Imperium pęka, trzeszczy w szwach: odpadła Polska i Finlandia, powstały niezależne Estonia, Litwa i Łotwa, oddzieliła się Ukraina, a za Kaukazem – Azerbejdżan, Armenia i Gruzja" – tak było wtedy, kiedy po raz pierwszy się zjawił... „Przez trzysta lat władzy Romanowych Rosja milczała – i zdawało się, że teraz przez trzysta lat będzie mówić bez przerwy. Kraj jakby oszalał: robotnicy nie pracowali, chłopi nie siali, żołnierze nie wojowali. W kraju trwał nieustanny miting – niezliczone zjazdy niezliczonych partii, triumf demagogów. Armia nie chciała walczyć " – jak dziś... „Na ulicach pojawiły się auta, w których siedzieli nowi 'niedorżnięci burżuje'. Zjawiły się też pięknotki w futrach z norek i ruletka. Miasta tonęły w gorączkowej zabawie. Ożywił się handel, restauracje otworzyły drzwi na oścież. Zapach perfum, błysk brylantów i walutnogiełdowy slang".

Mariusz WILK

PS. Popularny rosyjski tygodnik, *Argumenty i fakty*, przytoczył niedawno dane Aleksandra Jakowlewa w odpowiedzi na pytanie jednego z czytelników, dlaczego tak wielu ludzi w dzisiejszej Rosji wielbi Stalina. I tak, wedle Jakowlewa, ofiarami stalinowskich represji były cztery miliony osiemset tysięcy ludzi. Nad nimi „pracowała" armia śledczych, sędziów, ochroniarzy, katów, szoferów ciężarówek, etc. Na jednego represjonowanego przypadało 4-5 ludzi ze służby „stalinowskiego serwisu". Czyli około 25 milionów! Z rodzinami cyfra wzrasta 3-4 razy. A jeżeli jeszcze dodamy donosicieli... Ot, kto dziś nosi portrety „ojca narodów" na demonstracjach. „Stosunek do osoby Josifa Dżugaszwili – komentują *AiF* – najczęściej zależy od tego, po której stronie drutu kolczastego znajdował się człowiek i jego rodzina".

Dwa spotkania

Jednym z dobrodziejstw wyjazdów pedagogicznych do Polski jest okazja do uczestniczenia w zjazdach i konferencjach naukowych i kulturalnych.

W dniach 17-19 kwietnia 1997 w Krakowie miała miejsce IV Międzynarodowa Konferencja Przekładowa zatytułowana w tym roku „Literatura polska w przekładzie". Konferencje te zainicjowane przez Sekcję Przekładu Hiszpanistyki Instytutu Filologii Romańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego z dr. Jadwigą Konieczną-Twardzikową na czele powstały w bardzo chwalebnym celu, aby stworzyć forum ludziom poświęcającym się trudnemu zawodowi tłumacza literatury. Jest on niewdzięczny i niedoceniony, stąd choćby tytuł ubiegłorocznej Konferencji „Czy zawód tłumacza jest w pogardzie?" W dawnych czasach kunszt translatorski był wysoko respektowany i odegrał fundamentalną rolę, co nam zapewne wykaże Konferencja w przyszłym roku nazwana „Na początku był przekład". Nazwisko tłumacza było honorowane i ważne. Dlatego przy „Dworzaninie" wymieniamy nazwisko Łukasza Górnickiego a „Jerozolimę wyzwoloną" kojarzymy z Piotrem Kochanowskim. Jeszcze Słowacki zebrał zasłużone laury za kongenialny przekład „Księcia Niezłomnego". Wielki wysiłek, niejednokrotnie ponad siły, bo oryginał należy do „nieprzetłumaczalnych", podejmowany jest dziś bez nadziei na docenienie przez czytelnika czy nawet krytyka. Bo korzyści materialne są najwyżej symboliczne.

Kiedy w latach pięćdziesiątych zacząłem w *Kulturze* komentować polskie przekłady z hiszpańskiego, było ich niewiele, trochę przedruków, i z różnym powodzeniem robione inkursje w rejony stosunkowo jeszcze egzotyczne. Od tego czasu nastąpiły ogromne zmiany. Posypały się piękne, fachowe przekłady i znaleźli się znakomici tłumacze (np. nieżyjąca już Kalina Wojciechowska) czy zawłaszczony przez polski żywioł Carlos Marrodán. Literatura Ameryki Łacińskiej święci swój triumf także w Polsce. W czerwcu tłumy wielbicieli Vargasa Llosy zapełniły warszawski Instytut Cervantesa a powieści peruwiańskiego powieściopisarza ukazują się po polsku na bieżąco. Wychodzą nadal ambitne pozycje klasyki

hiszpańskiej jak przekład Leszka Białego „Autors Sacramentales" Calderona w Bibliotece Narodowej Ossolineum (1977) czy okazały album Piotra Sawickiego „Hiszpania malowniczo-historyczna. Zapirenejskie wędrówki Polaków w latach 1838-1930", Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, 1995.

Na tegoroczny zjazd przybyli także tłumacze zagraniczni, głównie z państw ościennych. Dobry to początek dla nawiązania trwalszych i szerszych kontaktów. Znajomość literatury polskiej na świecie zależna jest od poświęcenia tłumaczy, którzy jak Karl Dedecius w Niemczech, decydują o kalibrze i wadze tej literatury w innym społeczeństwie. Wprawdzie nie stoi już za ekspansją literatury państwowa agencja i jej bodźce ale za to odpadła cenzura i faworytyzm. W dawnym okresie dobry smak i odwaga tłumaczy w wielu wypadkach sprawiły, że prezentacja polskiej literatury nie wypadła fatalnie. Przegrali na pewno pisarze emigracyjni, których za wyjątkiem Gombrowicza, Herlinga i Miłosza , nie zauważano.

Z uwagi na czas i miejsce, pierwszy dzień Zjazd poświęcił przekładom Wisławy Szymborskiej. Cała plejada tłumaczy i historyków literatury mówiła o przekładach jej poezji na język hiszpański, włoski, francuski, serbski i słoweński. O miejscu Szymborskiej w literaturze rosyjskiej mówiła Ksienia Starosielska, wybitna tłumaczka literatury polskiej (F. Filipowicz, M. Mrożek, J.J. Szczepański) z dawnego Instytutu Kultury Polskiej w Moskwie a obecnie redaktor w *Inastrannaja Gazieta* w Moskwie. Zajmując się polską prozą międzywojenną i współczesną, dr Irina Adegleim z Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Rosyjskiej Akademii Nauk w Moskwie, mówiła o przekładach prozy T. Konwickiego. Wzruszający portret serbskiego tłumacza polskiej literatury Petara Vujcicia nakreśliła również tłumaczka z Belgradu Biserka Rajcić. Kubańczyk Angel Zuazo Lopez podniósł trudności językowe w przekładzie literatury polskiej na hiszpański. Nauczył się gwary śląskiej, aby przełożyć tom prozy Gustawa Morcinka.

Spotkanie na pograniczu od 18 do 21 maja pod hasłem „Odkrywanie Polski na nowo" w Sejnach, a ściślej, w pokamedulskim klasztorze nad jeziorem Wigry, było pomyślane jako otwarte forum dyskusyjne z udziałem zaproszonych pisarzy, krytyków literackich, redaktorów pism kulturalnych, naukowców i dziennikarzy, połączone z wieczorami autorskimi i prezentacją pism kulturalnych.

Dyrektor ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów" Krzysztof Czyżewski wezwał do porozmawiania o „ekspresji środowisk twórczych, zwłaszcza literackich, w różnych miastach i regionach Polski". To na pograniczach dostrzega on ferment, odradzanie się idei małych ojczyzn, pytania o tożsamość. Ten nurt, uważa, widoczny jest najpełniej w twórczości literackiej. „Środowiska twórcze skupione wokół pism kulturalnych, ośrodków kultury, fundacji i stowarzyszeń, wokół wydawnictw i mediów regionalnych, a często po prostu wokół silnych osobowości twórczych, są najlepszym dzisiaj adresatem o nasze pragnienia, kierunki poszukiwań, o żywy puls w myśleniu o świecie, o stosunkach do dziedzictwa, które raz jest potencjałem, raz przekleństwem."

Szukanie ekspresji i fermentu poza centrum, odkrywanie Polski na nowo – stanowiło zadanie dla zebranych nad pięknym jeziorem dyskutantów. Leszek Szaruga w swoim słowie powiedział m.in.: „Gdy zaczniemy – a właściwie już zaczęliśmy – pisać 'eseje o miejscach', wówczas przekonamy się, jak dalece geografia dominować zaczyna w naszej świadomości kulturalnej nad historią". Kolejno zabierali głos inni z prof. Janem Błońskim, Ryszardem Kapuścińskim, Rafałem Grupińskim, Jerzym Kornholdem, Wojciechem Darskiem i Aleksandrem Jankowskim na czele. Gremialnie przyznawali mniejszości prawo do głosu traktując go jako protest przeciwko banalizacji i standaryzacji świata, przeciwko kulturze masowej. Wołali o rekonstrukcję przeszłości, o rozumienie cudzej tradycji, o fascynacji innością, wszak pogranicze zapładnia. Wyrażano obawę, że w wyniku homogenizacji tracą status miejsca nasycone sensem i prawdą. Wielu ludziom w Polsce trzeba zakorzenienia. Konieczne stało się przezwyciężenie bierności społeczeństwa, odbudowanie etosu pracy, upodmiotowienie człowieka, aby stał się aktywny i mógł działać bez kompleksów. Podkreślano wagę poczucia tożsamości regionalnej, poczucia 'bycia u siebie', zadomowienia, pielęgnowania dziedzictwa a nie konstruowania folklorystycznego skansenu.

Charakteryzując dynamikę nowych czasopism regionalnych, Leszek Szaruga konkludował: „Otwarte zarówno na przewartościowania przeszłości i dialog z innymi, podejmują jeden z najistotniejszych wątków polskiej tradycji – ten, który związany jest raczej z jegiellońskim niż piastowskim modelem naszej państwowości: sprzeciw wobec postaw nacjonalistycznych, szacunek dla odmienności, troskę o całość dziedzictwa".

Słuchając wszystkich tych dezyderatów nie potrafiłem się opędzić wątpliwościom, czy aby nie były to przysłowiowe dobre chęci, postulaty życzeniowe, którym łatwiej zaistnieć w świadomości kulturalnej elity niż w praktyce człowieka z ulicy. Moje wątpliwości wnet potwierdziło doświadczenie z kierowcą autokaru wycieczkowego, który wiózł grupę pracowników jednego z uniwersytetów na Śląsku do Budapesztu. Zabawiał on opowiadaniem niewybrednych antyśląskich dowcipów pewny, że wioząc pracowników uniwersytetu nie ma na pokładzie Ślązaków. A imputując rodzimej ludności ordynarny, obsceniczny język trafił kulą w płot, bo w plugawym języku Ślązacy na pewno nie celują.

Oprócz wieczorów autorskich z udziałem poety litewskiego i Łemka, spotkanie wzbogaciły wyjazdy do Sejn na wystawę fotograficzną „Tam, gdzie słońca zapada" z wiosek w okolicach Lidy na Białorusi, na wernisaż wystawy „Żydzi w malarstwie Karola Kostura" i na spektakl Teatru Sejneńskiego „Dybuk" w Białej Synagodze. Jedną z biesiad w klasztorze urozmaiciła świetna kapela klezmerska z Sejn.

Florian ŚMIEJA

W przyjacielskim klimacie

Edward Mariusz Sokopp: „Pisane na kolanie. Pamiętnik bez patosu", Wydawnictwo ANTYK, Warszawa 1977, stron 347.

Marek Łatyński: „Ogród Angielski /1/. Wspomnienia z Radia Wolna Europa", Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej; Lublin 1997, stron 169. Brak indeksu nazwisk, ale za to 20 stron ilustracji, na których nie brak autora.

Sokoppiada. Za tych dobrych czasów, gdy Edward Sokopp pracował w Radio Wolna Europa (1952-1967), zapraszał corocznie w którymś z październikowych weekendów, najbliższym daty jego imienin, „kolegów, szefów, przyjaciół, nawet wrogów", na wystawne przyjęcie w zarezerwowanej na ten cel leśniczówce, gdzie był bigos, piwo i bawarska kapela, „grająca z werwą walczyki i polki"[1]. Imprezę tę nazwano Sokoppiadą. Raz brałem w niej udział, w 1957 roku. Do dziś mam jako pamiątkę drewniany wieszak na ubranie z pięknie wypalonym runicznym SS, część inwentarza hotelu w Bad Tölz. Hasło „Sokoppiada" nadawałoby się do tytułu książki, bo, jak można wyczytać na obwolucie, „zawiera autentyczne przeżycia Autora na przestrzeni ponad osiemdziesięciu lat. Wspomnienia sięgają między innymi rewolucji bolszewickiej widzianej w Kijowie, najazdu bolszewickiego na Polskę, dotyczą okresu niepodległej II Rzeczypospolitej ze szczególnym uwzględnieniem przedwojennego świata dziennikarskiego".

Karierę w „świecie dziennikarskim" poprzedziły dość zawiłe, nie zawsze pomyślne zmagania z losem: próba studiów politechnicznych, szybownictwo, lotnictwo, a gdy i z tego nic nie wyszło trzeba było zarabiać na życie jako konduktor żydowskiego autobusu między Warszawą i Lublinem, wreszcie jako członek chóru popularnych wtedy rewelersów. Krył się z tymi zawodami przed rodziną, ale go odkrył „przyszywany wuj, Bogusław Miedziński", szyszka sanacyjna i naczelny redaktor wpływowej wtedy, rządowej *Gazety Polskiej*. Ten, bez ceregieli zatrudnił rewelersa jako dziennikarza, który wkrótce dochrapał się stanowiska kierownika działu sportowego.

Mój grubo młodszy przyjaciel twierdzi, że istnieje 12 stopni sklerozy, sam przyznaje się do szóstego, ja dobiegam chyba dziewiątego, a piszę o tym, bo widzi mi się, że starszego ode mnie o cztery lata Sokoppa skleroza się nie ima. Przecież on ten swój pamiętnik napisał w ciągu sześciu tygodni samotności w swym wozie kempingowym nad Zatoką Meksykańską „z głowy", bez prowadzonych uprzednio zapisów. Mało tego, upiera się, że „pamiętnik z przeznaczeniem do publikacji" należy pisać „dopiero pod koniec życia, z rozmysłem i na zimno"[2]. Może ma i rację, bo na przykład

1. Sokopp: „Pisane na kolanie", str. 297.
2. *ibidem*, str. 9.

książka Łatyńskiego, jak mi się wydaje, przeładowana jest cytatami, zarówno z zapisów w dzienniku jak też listów i programów radiowych, a tego nie czyta się tak gładko, jak te Sokoppowe zapiski „na kolanie". Nie jest to „wielka literatura", zresztą Sokopp nie sili się na nią. Gdy rozpoczynał pracę reportera radiowego, doradzono mu, by nie mówił do tysięcy słuchaczy – by mówił do jednego, tak jakby ten drugi siedział w fotelu naprzeciw. Tak się też ten „pamiętnik bez patosu" odbiera. A pisał go, jak wyznaje, dla jednej osoby: jedynej córki Danki, zamieszkałej w Szwajcarii. Jedyny wnuk, Daniel, czytać go nie będzie, bo zna tylko francuski (ze szkoły) i angielski (po ojcu, który, „jak przystało na typowego Brytyjczyka, mówi poprawnie tylko po angielsku"[3]).

Poza tą piękną, niewątpliwie szczerą dedykacją, kryje się oczywiście chęć, nawet pragnienie, by książkę czytali liczni. Jestem przekonany, że się na nią rzucą więcej niż liczni, nie dlatego, że to pisze jakiś Dostojewski czy Odojewski, lecz dlatego, że blisko przez pół wieku fałszowano historię okresu, którego pamiętnik Sokoppa dotyczy. Pisany dobrą polszczyzną, na pewno dla młodego czytelnika „archaiczną", ale może dlatego mającą swój urok. A tematu mu nie brak. Prawie książka telefoniczna. Dziennikarze, reporterzy, korespondenci, sekretarze względnie sekretarki *Gazety Polskiej,* przy okazji luminarze ówczesnej Warszawki, potem współuczestnicy walk wrześniowych, Warszawa akowska, z kolei dziennikarze i znów luminarze II Korpusu, wreszcie anegdotyczne, jak i uprzednio, biogramy pracowników Radia Wolna Europa.

Hajże na Nowaka! Starczy nazwa tej instytucji, by wyskoczył, jak diabełek na sprężynce w dziecięcej zabawce, szef rozgłośni polskiej Jan Nowak, *recte* Zdzisław Jeziorański, ostatnio z dalekiego Waszyngtonu do narodu przemawiający Jan Nowak-Jeziorański. Poświęcił mu Sokopp cały rozdział: „Kapitan Nowak od przodu i tyłu". Pisze tam: „Nie lubię ludzi, którzy stawiają sobie pomniczki zbyt nachalnie. Którzy przedstawiają siebie w barwach zbyt różowych. Którzy dopuszczają się kłamstw"[4]. Zasadniczo nie powinien narzekać, bo, jak podkreśla, „ze względów niezrozumiałych ani

3. *ibidem,* str. 10.
4. *ibidem,* str. 311.

dla mnie ani dla moich kolegów redakcyjnych, srogi dla wszystkich szef przez piętnaście lat obchodził mnie jak śmierdzące jajko. Nigdy nade mną, jak nad wieloma innymi, się nie znęcał"[5]. Zabiera głos w imieniu tych innych, wcale przez nich nie proszony. Do tego co Nowak pisze o sobie w „Wojnie w eterze", „pobudliwości, impulsywności, podnoszeniu głosu" Sokopp dodałby chętnie „jedno brutalne słowo: chamstwo"[6]. O tym, że Nowak traktował krzyk jako przekonujący argument, pisze również Łatyński: „Wspominam z łezką w oku (...) nieraz długie telefony z panem Janem – nawet te, podczas których na mnie pokrzykiwał albo krzyczał"[7].

Można spytać, dlaczego „ci inni", a było ich wielu, nie reagowali na zniewagi szefa, nie buntowali się? Żona, dzieci, dobra płaca, to prosta, łatwa odpowiedź u wielu, ale byli i tacy, którzy kierowali się wyższą racją, jaką w liście do Łatyńskich wyłożył Włodzimierz Odojewski: „Nowak był satrapą, często bardzo nieprzyjemnym, nawet bolesnym, ale przez moment nawet (przynajmniej ja) nie traciło się przekonania służenia wspólnemu dobru, wspólnej sprawie ojczyźnianej, i na skutek tego przekonania wiele człowiek był gotów znieść". Było też paru takich – na palcach jednej ręki trudno by ich wyliczyć – którzy postawili się Nowakowi okoniem. Przestał na nich krzyczeć – musiał ich szanować.

Monachijscy „partnerzy" amerykańscy, starający się utrzymać „swe wygodne posadki", pisze Sokopp, traktowali „histeryczne wybuchy kierownika sekcji polskiej jako charakterystyczne dla polskiego temperamentu" i przechodzili nad nimi do porządku dziennego[9]. Nowojorscy szli dalej: Nowak „przy swoich zdolnościach i zaletach jest typem paranoika", człowieka chorego na koncentrowanie uwagi na sobie.[10]

Te krzyki, chamstwo i paranoję można wybaczyć wobec niewątpliwych osiągnięć rozgłośni. Te zawdzięcza jednak

5. *ibidem,* str. 315.
6. *ibidem,* str. 321.
7. Łatyński: „Ogród Angielski", str. 9
8. *ibidem,* str. 51.
9. Sokopp, *op.cit.,* str. 317.
10. Wojciech Wasiutyński: „Prawą stroną labiryntu", Exter, Gdańsk 1996, str. 323.

„fachowemu zespołowi, równie pracowitemu jak szef, wykazującemu talent nie mniejszy niż jego i takiż entuzjazm w pracy", zastrzega się Sokopp.[11] Bez pokrzykiwania i połajanek, chciałoby się dodać.

Odnośnie krzyków i chamstwa Sokopp jest wymowny, ale w wypowiedziach na temat żenującego raczej epizodu życiorysu Nowaka, tego poprzedzającego homerycką epopeję Kuriera z Warszawy, niespodzianie oszczędny. Piszę „niespodzianie", bo wtedy, kiedy był członkiem zespołu rozgłośni, był mniej powściągliwy i żyją jeszcze ci, którzy to pamiętają. Więc jest w tych zapisach „na kolanie" wiele niedomówień. Na przykład, jak to wytłumaczyć, że „Nowak publicznie i z furią, w sposób kategoryczny" zaprzeczył, jakoby „był podczas okupacji administratorem nieruchomości pożydowskich"[12], a później przyznał, że tylko zbierał czynsz z jednej pożydowskiej kamienicy. Jeśli nawet tylko tyle, musiało w tym być coś co najmniej żenującego. Sam Sokopp pisze: „Stworzono funkcje powierników dla gospodarowania mieniem zabranym Żydom. Byli tacy, którzy te stanowiska przyjęli. Jedna z oznak paniki lub kompromisu"[13]. A chciałbym też wiedzieć jakie to „sprytne wybiegi prawne" zastosowano, by skargę Nowaka przeciw dziennikarzowi niemieckiemu, który go nazwał „nazistowskim powiernikiem" sąd odrzucił[14]. Sokopp przeszedł również dość pobłażliwie nad zagadnieniem, dlaczego Nowak tak późno zdecydował się na pracę w konspiracji. Zauważył tylko, że „pasowałoby do życiorysu mego radiowego szefa, gdyby jego start w podziemiu wojskowym był nieco wcześniejszy. Myśmy, w większości, walkę z okupantami zaczynali przed półtora rokiem"[15].

Pro domo mea. Nie mam pretensji do Sokoppa, że zacytował sąd o mnie Eugeniusza Romiszewskiego, nieoficjalnego kronikarza rozgłośni: „Naiwność Nowaka i głupota Zamorskiego (kierownik Ewaluacji i bezpośredni szef Czechowicza) nie miały granic. Obaj czują się pewniej w stosunkach z podwładnymi, którzy są w ich pojęciu

11. Sokopp, *op.cit* , str. 319.
12. *ibidem*
13. *ibidem,* str. 114.
14. *ibidem,* str. 319.
15. *ibidem,* str. 321.

niczym i muszą im być tylko wdzięczni"[16]. Zawsze to pożytecznie dowiedzieć się co bliźni o człowieku myślą. Radziłbym tylko – to już z gatunku *errata* – odnotować w następnym wydaniu książki w indeksie nazwisk stronicę, na której tę ocenę można wyczytać. W innym miejscu (str. 324) dowiedziałem się, że Nowak, pozbywszy się Kajetana Czarkowskiego-Golejewskiego, szefa Ewaluacji, „wsadził na newralgiczną placówkę kogoś bardziej posłusznego", czyli mnie. Tym razem jest to opinia Sokoppa. Mogę się zgodzić z Romiszewskim, że byłem, może nawet nadal jestem, głupi, ale, drogi Panie Edwardzie, posłusznym to ja nie byłem. Protestuję!

Hajże na Najdera! „Ogród Angielski" to książka zażaleń. Kogo tam nie ma?! Są Amerykanie i Polacy, nie wyłączając redaktora *Kultury,* a jakże, ale na pierwszym miejscu postawiłbym Zdzisława Najdera, którego kandydaturę na dyrektora rozgłośni polskiej RWE wysunął Jan Nowak. W *Dzienniku Polskim* z 18 kwietnia 1982 napisał, że „reprezentuje on (tzn. Najder – uwaga KZ) swoją osobą wielką szansę, której nie wolno zaprzepaścić", a gdy po latach zmienił zdanie (tzn. Nowak – uwaga kz), „krzyczał przez telefon z Ameryki" do Łatyńskiego, „a z pewnością i do innych: 'To był największy błąd mojego życia'"[17].

Zanim Najder został tym dyrektorem, był znany jako conradysta i „wykazywał wirtuozowską zręczność w załatwianiu sobie rozmaitych stypendiów, mniejszych lub większych, także w polskich instytucjach emigracyjnych". Zygmunt Hertz w liście do Miłosza doda: „Facet był zawsze dobrze ustawiony"[18]. Ustawiał się też odpowiednio zanim przyjął ofertę kierownictwa rozgłośni. W 1981 roku „spędził kilka miesięcy w Oksfordzie. Zajmował się tam, jak się zdaje, Conradem, ale dostawał już od radia spory miesięczny ryczałt, za który pisał opracowania o naszym programie". Kusiło go wtedy, jak w październiku opowiadał Łatyńskiemu, „objęcie docentury obiecanej mu na Uniwersytecie Warszawskim. Rozważał różne możliwe rozwiązania i w pewnej chwili za-

16. *ibidem,* str. 285.
17. Łatyński, *op.cit.,* str. 45.
18. *ibidem,* str. 42.

proponował mi, żebym ja został dyrektorem rozgłośni polskiej na rok, po czym przekazał dyrekcję jemu"[19].

26 listopada tegoż 1981 roku – te daty są ważne – Łatyński dowiedział się, że Najder zrezygnował z amerykańskiej oferty, więc 3 grudnia James F. Brown, wtedy dyrektor RWE, zaproponował Łatyńskiemu objęcie kierownictwa po bliskim przejściu na emeryturę Zygmunta Michałowskiego. Listem datowanym 11 grudnia Najder gratuluje Łatyńskiemu przyszłego awansu. W osiem dni potem – Najder jest w Maisons-Laffitte – rozmawiają przez telefon „o sprawach bieżących, a 22 grudnia Jim Brown oświadcza Łatyńskiemu, „że w związku ze zmienioną sytuacją w Polsce i faktem, że Zdzisław Najder nie może tam teraz wrócić, ponowiono wobec niego telefonicznie dawną propozycję, którą tym razem przyjął"[20].

Nie mam zamiaru opatrywać postępowania amerykańskiej dyrekcji, jak też Najdera, przymiotnikami. Zrobił to Łatyński. Mając jednak pewne doświadczenie w tego rodzaju personalnych decyzjach instytucji, powiem tylko, że *virement* dokonano „w przyjacielskim klimacie".

Amerykanie widocznie tak stuprocentowo nie ufali zapewnieniom Nowaka o wybitnych zdolnościach Najdera, bo w styczniu 1982 wysłali do Paryża, gdzie ten na razie przebywał, Tadeusza Celta, pełniącego wtedy obowiązki szefa rozgłośni. O tym jednak Łatyński nie pisze, to wiem od Celta, z którym w dniu 18 września 1997 w jego podmonachijskiej „posiadłości" rozmawiałem. Pierwsze wrażenie: wazelina, obsypał mnie komplementami – powiada Tadeusz. Temat radia obkuty na cztery nogi. I zapewnienia, że on, Najder, będzie twardy dla Amerykanów, że tylko polska racja stanu itd. Zresztą będzie miał na Amerykanów swego rodzaju szantażyk: każdej chwili gotów objąć *Kulturę*. *No comment*!

Od *virement* Łatyński/Najder w kwietniu 1982, kiedy odszedł Zygmunt Michałowski, do następnego w odwrotnym kierunku upłynęło prawie pięć lat. W tym czasie Najder zdążył zapisać się w dziejach rozgłośni „jako człowiek, który doprowadził do bezprecedensowego skłócenia zespołu swych współpracowników i okazał brak sprawności administracyjnych.

19. *ibidem*, str. 46.
20. *ibidem*, str. 47.

Takie, a nie inne były powody, dla których dyrekcja amerykańska zdecydowała się poprosić go o złożenie rezygnacji z zajmowanego stanowiska"[21]. Gdy się czyta litanię jego grzechów, można by spytać, dlaczego nie wylano go „na zbity pysk".

Tak jak to zrobiono z Łatyńskim, który tę „stajnię Augiasza", jaką przejął od Najdera w marcu 1987, doprowadził do stanu, może dalekiego od dawnej świetności, ale – co przyznają bezstronni obserwatorzy – właściwego solidnej stacji radiowej. Dyrektorem RWE był wtedy A. Ross Johnson, o którym niegdyś napisałem, że jest „obdarzony wybitną inteligencją i rzadkim talentem do zrażania sobie ludzi"[22]. 30 listopada 1989 wezwał Łatyńskiego do siebie i – jak ten wspomina – wyraził życzenie, „żebym opuścił budynek od razu, a na polskim zebraniu redakcyjnym by się powiedziało, że przestałem być dyrektorem. Odpowiedziałem, że chce to sam powiedzieć moim kolegom i współpracownikom i że potem wyjdę. Zgodził się z wahaniem"[23]. Co najmniej ciekawym na tym tle wydaje się fakt, że cytując list Nowaka z 8 grudnia 1989, Łatyński opuścił (str. 267) zdanie: „Z wielką ulgą dowiedziałem się także, że zmiana nastąpiła w przyjacielskim klimacie".

Hajże na Giedroycia! Panu Jerzemu i jego *Kulturze* poświęcił Łatyński siedem stron (88-94). Może i na innych są o nim wzmianki, ale, jak już podkreśliłem, brak indeksu nazwisk (ten zarzut mam prawo skierować też do nobliwego wydawnictwa), utrudnia mi wyławianie z reguły niezbyt przychylnych opinii. Ograniczam się więc do tych siedmiu stron, wyliczając to co nie tylko Łatyńskiemu, ale Nowakowi i Michałowskiemu na wątrobie leżało:

a) nie lubił rozgłośni polskiej. Jej pracowników uważał „za amerykańskich urzędników", od których dystansował się, chociaż „sam zawdzięczał finansową stabilizację *Kultury* kupowaniu przez czynniki amerykańskie na pniu znacznej części jej nakładu";

b) ogłaszał krytyczne listy, przeważnie anonimowe. „Te

21. *ibidem*, str. 59, cytat ze wspólnego oświadczenia Jana Nowaka, Zygmunta Michałowskiego i Marka Łatyńskiego w *Gazecie Wyborczej* z 10 listopada 1993.
22. „Pod anteną Radia Wolna Europa", Wydawnictwo WERS, Poznań 1995, str. 125.
23. Łatyński, *op.cit.*, str. 266.

drukował skwapliwie, dodając do nich własne, niepochlebne dla nas głosy, w zamierzeniu złośliwe i dowcipne", a przychylnych nam listów „po prostu nie drukował";

c) skrytykował helsiński akt końcowy jako zwycięstwo Moskwy;

d) po grudniowym puczu 1981 doradzał zbrojny opór. „Polska musi krwią spłynąć. A jeśli nie spłynie, zgnije na wiele pokoleń";

e) nie zabrał głosu na naradzie, która odbyła się w Monachium 30 maja 1987. „Uważając się za gościa ważniejszego od innych i nie chcąc się stawiać na tej samej co inni płaszczyźnie, nie powiedział w czasie dość żywej dyskusji ani słowa";

f) „typowy dla wschodniej Europy sensat" nie znał zachodnich języków, nawet nie rozmawiał po francusku. „Zadawał się chętnie z Rosjanami, Ukraińcami, Litwinami".

Wyzwanie. Gdy w lutym 1987 roku Łatyński przyjął propozycję objęcia kierownictwa rozgłośni, miał prawo traktować swą decyzję jako wyzwanie. Był przecież już dobrze osadzony w Waszyngtonie, miał niezłą pracę w „Głosie Ameryki", a znając też stan, do jakiego Najder doprowadził stację, mógł przewidzieć wagę zadania, którego się podjął a grała tu niewątpliwie ambicja osobista. Dotychczas był cenionym i wybitnym pracownikiem radiowym, ale tylko redaktorem, a tu pozycja dyrektora rozgłośni mającej ustaloną pozycję w audytorium krajowym. Drugą pobudką, może uboczną, ale, jak sam przyznaje, wpływającą na decyzję, była tęsknota za Europą.

„Ogród Angielski (1)" to książka mająca zasadniczo dwa rozdziały, chociaż w spisie rzeczy wyliczono ich 14. Jeden, krótszy, to historia stacji za czasów Najdera, drugi, obszerniejszy, to Łatyńskiego zmagania z chaosem, jaki zastał, i doprowadzeniem stacji do stanu, w jakim, mimo tej łyżki Najderowego dziegciu, można było uczciwie pracować.

Najder, wybitny conradysta, niezły analityk polityczny[24], nie był, tak jak Łatyński, znawcą roboty radiowej. Uważał, że wyłącznym zadaniem rozgłośni jest przekazywanie do kraju, bez umiaru, jego mądrości politycznych, zaniedbywał więc stronę techniczną. Nie tylko z tą musiał się Łatyński uporać. Najważniejszym problemem był zespół, rozbity na dwa

24. *Exemplum*: Zdzisław Najder, „Ile jest dróg?", Instytut Literacki, Paryż 1982.

obozy, pro i antyNajderowy. Sprawa nie była łatwa, ustawodawstwo niemieckie nie pozwalało na wymianę personelu tak jakby należało, musiał być więcej niż dyplomatą. Nie wszyscy amerykańscy przełożeni byli mu pomocni, niektórzy utrudniali mu życie na potęgę. Jeśli dodać zmieniającą się z każdym dniem sytuację krajową, koniecznością radiowego dostosowania się do niej, natychmiastowej wiadomości, odpowiedniego komentarza, na który krajowy odbiorca czeka, można określić cenę wyzwania.

Łatyński nie grzeszy skromnością w opisie swych zmagań. Nie uważam, by można to zaliczyć na minus jego wspomnień. Czyta się je jako uczciwe przedstawienie faktów. Może jest tam za wiele cytatów z jego własnych komentarzy politycznych. Można się z nimi zgadzać lub nie, pisane są bez pudła. Jeśliby doszło do rewizji w następnym wydaniu książki – jestem przekonany, że na to zasługuje – radziłbym stanowczo zatrzymać ten na 10-lecie wyboru papieża (str. 187/88) i ten na 11 listopada (str. 189-191).

Nie brak też w książce cytatów z listów do autora po jego dymisji „w należytym klimacie". Wśród tych reakcja niezbyt rozgłośni przychylnego Jerzego Giedroycia: powiedział przez telefon Włodzimierzowi Odojewskiemu, że usunięcie Łatyńskiego to „śmierć stacji"[25].

Ta śmierć była powolna. Zachodziłem od czasu do czasu do budynku radia przy niegdyś Englischer Garten 1, teraz Oettingenstrasse 67, byłem świadkiem stopniowej likwidacji, przy którejś okazji Anna Świdlicka, przekazała mi, przed wyjazdem do Anglii, dwa pudła akt Funduszu Społecznego pracowników rozgłośni, niezły materiał dla socjologa. W czerwcu 1994, z okazji rzeczywistej śmierci radia, Poznań wystawił na cześć Nowaka wielką galę. Mnie tam nie było. Sokopp też, „mimo piętnastu lat pracy w Radio Wolna Europa"[26], na zjazd nie pojechał.

Kazimierz ZAMORSKI

25. Łatyński, *op.cit.*, str. 211.
26. Sokopp, *op.cit.*, str. 239.

Nie napisana książka

Czym jest literatura? Czym – wobec ogarniającej wszystko nicości – jest czernienie papieru? W opowiadaniu „Piąta pora roku" Jan Józef Szczepański opisuje sen pisarza, którego mieszkanie opanowane zostało przez jakąś sektę, której prowodyr wydostaje z półki wydaną w drugim obiegu i oczekującą na oficjalne wydanie – z kopią decyzji cenzury o zatrzymaniu utworu jako wstępem – książkę gospodarza i pyta czy jest tam coś ważnego. Pisarz powiada: „Tak. Dla mnie to bardzo ważne". Sekciarz z pogardą stwierdza: „Nie ma tam niczego, co byłoby konieczne". Pisarz się budzi: „Cicho było. Pusto. Jasno. Na białej ścianie naprzeciw stary, osiemnastowieczny obrazek, znaleziony kiedyś w ruinach Wrocławia. Biały koń, brązowy muł, namiot, ludzie w szerokoskrzydłych kapeluszach. Odpoczynek wędrowców. Na biurku drewniana murzyńska statuetka: kobieta niosąca na głowie pękate naczynie. Jeszcze są rzeczy ważne – pomyślałem z ulgą. Wszystko jest jeszcze ważne. A książka? Zacząłem jej szukać na zbałwanionej pościeli. Książka? „Piąta pora roku"... I dopiero po jakimś czasie otrzeźwiałem. Nie ma jej. Nigdy nie było. Ja jej nie napisałem".

Sytuacja paradoksalna. Siła sennej sugestii przeniesiona w przestrzeń jawy przez pewien czas czyni nie istniejące dzieło realnym, nadaje mu byt, który zostaje w „otrzeźwieniu" unicestwiony. Zapis tej sytuacji w opowiadaniu „Piąta pora roku" paradoks komplikuje: tytuł utworu nie napisanego staje sie tytułem utworu napisanego. Jaki jest jego status?

Lecz postawmy może inne pytanie: czym jest tytułowa „piąta pora roku"? Jest, oczywiście, tytułem książki o tym, co „bardzo ważne" dla jej autora. Ale nie tylko – jest również przywołaniem, przynajmniej w naszej sferze klimatycznej, nie istniejącej pory roku. Nazwana – zaczyna istnieć: istnieje w słowie. Jej literackość nie przeczy jej realności. Jest określeniem sytuacji niezwykłej. To realność snu. To realność inwazji chaosu: „Otaczało mnie spustoszenie – wyznaje bohater, który jeszcze nie wie, że śni. – Duży pokoj, w którym rozgrywała się ta scena, wyglądał jak śmietnik. Pościel, bielizna i zrzucone z półek książki pokrywały podłogę, zdeptane, wygniecione, naznaczone błotnistymi śladami butów". Najście „naprawdę obcych" przybyszy burzy poczucie stabilności życia, budzi poczucie zagrożenia. Barbarzyńcy przybyli i wszystko, co dotąd było „bardzo ważne", traci swe znaczenie. Przebudzenie przywraca wagę „wszystkiego". Czy jednak na zawsze, tego nie możemy być pewni.

Najnowszy tom Szczepańskiego jest jakby próbą tożsamości w świecie coraz silniej poddawanym ciśnieniu z jednej strony wszelkiego rodzaju relatywizmom mylącym wolność z dowolnością, z drugiej fundamentalizmów, w których wolność zmienia się w nietolerancyjną samowolę – tym współczesnym wcieleniom barbarzyństwa. „Jeszcze nie wszystko" to zbiór siedmiu opowiadań, z których pierwsze – „Rozstaje" – usytuowane w mowie Kochanowskiego („Dzięki ci, Panie, za twe hojne dary – mruczał. – Dzięki za dobrodziejstwa, którym nie masz miary") stawia bohatera, człowieka samotnego i opuszczającego swe gniazdo rodzinne, w sytuacji wyboru między celą w klasztorze u ojców cystersów a pałacem księcia regimentarza, między czasem pokuty a trudami i radościami życia. Powiadomiwszy rodzinę, iż udaje się do klasztoru, kieruje sie ku pałacowi. Być może też jest to ów rycerz Grzymała z tytułu ostatniego opowiadania tomu, w którym narrator śledzi dzieje swego rodu, o którym „nie bardzo wiadomo, kim jest naprawdę. Polakiem? Żmudzinem? Mniejsza o to. Ważne, że broni dzielnie, i zapewne skutecznie, skoro zasłużył na godność patrona starodawnego herbu".

Owa próba rodowodu i tożsamości, tyleż literacka co historyczna – przy czym literackość tych opowiadań zakorzeniona jest w gawędzie (szczególnie dotyczy to opowieści „Nie masz pojęcia, jak to szybko leci") – respektuje jednak zasady narracji tradycyjnej: opowiada się tu przede wszystkim o życiu współczesnym w sposób uporządkowany i jakby niespieszny. Brak tu nagłych zmian sytuacji, jest natomiast obecny tok eseistyczny, niezwykle ważny w odbiorze całości tomu, w który wpisane jest doświadczenie całej generacji wyrosłej w klimacie względnej dziejowej stabilizacji Dwudziestolecia, przeżywającej szok wojny i czas powojennego zniewolenia, by stać się wreszcie świadkiem kryzysu okresu transformacji po roku 1989. Formacja, której dzieje wpisane są w tom Szczepańskiego i jej postawa wobec losu wspólnoty najpełniej scharakteryzowana zostaje w opowieści odwiedzanego przez wnuka pensjonariusza domu starców, który, komentując wykręcanie się młodego człowieka od służby wojskowej, powiada: „I ja się tobie nie dziwię. Bo to wojsko było paskudne. Niby polskie, ale poddane obcym interesom. (...)

Ale wtedy było inaczej. (...) Zgłosiłem się dobrowolnie, bo już pachniało wojną. A ja wiedziałem, że nigdy sobie nie daruję, jeżeli mnie w tym nie będzie. Patriotyzm? Na pewno tak. Romantyzm? Może. Głupota? Chyba też trochę. Zbliża się do ciebie coś olbrzymiego i groźnego. Wielki dramat. Wielka przygoda. A ty co? Schowasz się? Uciekniesz? Byłem wtedy mniej więcej w twoim wieku. I byłem synem legionisty".

To oczywiście formacja, w której bądź synem legionisty się było, bądź pragnęło się nim być. Zaś bycie synem legionisty zobowiązywało do życia w zgodzie z określonym systemem wartości, który Szczepański określił już wcześniej, powiadając w „Przed nieznanym trybunałem", iż należy do pokolenia żyjącego w kręgu oddziaływania moralistyki conradowskiej. Ale także – i to w najnowszym tomie stanowi jedną z dominujących kwestii – myśli niepodległościowej. Wiek („Znaczenie i wymiary zwykłych ludzkich spraw zmieniają się z biegiem czasu") skłania do przewartościowań własnej postawy, lecz upoważnia też do osądu biegu wypadków. Skazany na komentowanie spraw doraźnych bohater Szczepańskiego próbuje więc wpisać owo dzisiejsze dzianie się w jakiś wzór, dla którego odniesieniem staje się męka Chrystusa: „Po bokach przygodni widzowie, sklepikarze i gapie, wykrzykujący może jakieś obelgi, aby po chwili wrócić do zajęć zwykłego dnia". Nie umie i nie chce pozostać jednym z nich. Jednocześnie ma poczucie niedopasowania, niezdolności rozpoznania miary wszystkiego, co wykracza poza własne doświadczenie. I przeszłość, i kurcząca się nagle teraźniejszość, wywołują odczucie zagubienia: „Euforia wolności we Lwowie. My, pokolenie urodzone w II Rzeczypospolitej, już nie wszystko mogliśmy zrozumieć. Potem zdolność rozumienia odebrano nam ponownie. Dziś nadal nie pojmujemy wielu rzeczy".

Jedno z najbardziej natarczywie powracających pytań tej książki to kwestia sensu życia pojawiająca się najwyraziściej w tytułowym utworze zbioru, lecz obecna na wszystkich jego kartach. To zarazem zagadnienie przekroczenia granicy doraźności i doczesności, otwarcia naszej egzystencji na jakiś inny, nie nazwany wprost wymiar: „Więc istnienie, świadome istnienie – bez drogowskazów, bez sankcji kar i nagród – droga wiodąca w pustkę, w nicość? Czy to może być wszystko? Czy do tego sprowadzać się może nasze wszystko? Oczywiście, ani potwory Boscha, ani efebowie Signorellego

nie są już dla nas odpowiedzią. Są jednak zapisami przeczuć kształtujących kulturę – są znakami świadomości jej granic. Jej kierunku". W innym zaś miejscu: „Wiesz, nigdy nie mogłem uwierzyć w dogmat o ciała zmartwychwstaniu. Może nie należy rozumieć go dosłownie, naturalistycznie. Ale jak w takim razie?" I wreszcie: „O ciała zmartwychwstaniu myślimy na ogół jako o niejasnej alegorii, uzasadnionej jedynie innym dogmatem wiary, mianowicie z martwych powstaniem Jezusa Chrystusa. Czy jednak pretensje człowieka do uczestniczenia w podobnej świętej transformacji nie są nadmiernie wybujałe?"

Czymże więc wobec tych pytań jest literatura? Tytuł tomu powiada, że „to jeszcze nie wszystko" – to jedynie zbliżanie się ku owej granicy, jaką zakreśla „świadome istnienie", kultura. Wdzierający się w nią od czasu do czasu barbarzyńcy, „naprawdę obcy" choć przekonani o tym, że są wysłańcami Boga, są o tyle „jakimś rozwiązaniem" (by przywołać sformułowanie wiersza Kawafisa), iż wyostrzają pytanie o to, co jest ważne, co konieczne. A konieczne w tym rozumieniu jest pisanie owej nie napisanej książki, w której suma życiowych doświadczeń pozwoli się otworzyć na niezbywalne pytania o sens ludzkiego losu.

Leszek SZARUGA

Jan Józef Szczepański: „Jeszcze nie wszystko", Wyd. Baran i Szuszczyński, Kraków 1997, s. 120.

Nadesłane nowości wydawnicze

SZUBER (Janusz). *Śniąc siebie w obcym domu*. Str. 50. Wyd. Muzeum Historyczne w Sanoku, 1997.

WINCZAKIEWICZ (Jan). *Gdzie jest grób Hitlera?* Str. 229. Wyd. ALFA, Warszawa 1997.

WITTLIN (Józef). *Święty Franciszek z Asyżu*. Str. 85. Biblioteka *Więzi*, Warszawa 1997.

BORKOWICZ (Jacek). *Powrót do Sowirogu*. Str. 107. Biblioteka *Więzi*, Warszawa 1997.

GORBANIEWSKAJA (Natalia). *Ne spi na zakate*. Izbrannaja lirika. Str. 303. Wyd. Liki Rossii, 1996.

GORBANIEWSKAJA (Natalia). *Nabor*. Nowaja kniga stichow. Str. 47. Wyd. Argo-Risk, Moskwa, 1996.

WITCZAK (Tadeusz Stanisław). *Wiara – aspekty religijne w ideologii Przymierza Trzeciej Drogi.* Str. 60. Nakładem autora, Warszawa 1997.

ZIOŁA (Bronisław) *Huculszczyzna po latach.* Str. 85. Zgorzelec 1997.

ANISZCZENKO (Eugeniusz). *Myśl namiętna i zahamowania.* Rzecz o Henryku Elzenbergu. Str. 57. Wyd. W Kolorach Tęczy, Wrocław 1997.

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Gorący oddech pustyni.* Str. 299. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1997.

NOWAKOWSKI (Marek). *Strzały w motelu „George".* Str. 106. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1997.

The New Geopolitical Shape of Central Europe. Konferencja w Berlinie, 14-15.3.1997. Str. 23. Center for Strategic and International Studies, Washington 1997.

SAWICKA (Elżbieta). *Widok z wieży.* Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim. Str. 136. Oficyna Wydawnicza MOST, Warszawa 1997.

KOWALCZYK (Andrzej St.) *Niespieszny przechodzień i paradoksy.* Rzecz o Jerzym Stempowskim. Str. 347. Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Polonistyki Wrocławskiej, Wrocław 1997.

STANKIEWICZ (Piotr). *Pasażer na gapę.* Str. 29. Oficyna Wydawnicza „Brama", Kłodzko 1997.

DANILEWICZ ZIELIŃSKA (Maria). *Dom.* Powieść. Str. 174. Nakładem Włocławskiego Towarzystwa Naukowego, Włocławek 1997.

HAUPT (Zygmunt). *Pierścień z papieru.* Str. 265. Wydawnictwo Czarne, Czarne 1997.

HORODNICZY (Janusz). *Młodsi od swoich wyroków.* Str. 138. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Warszawa 1997.

KOFTA (Krystyna). *Wióry.* Str. 191. Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 1996.

TOKARCZUK (Olga). *Podróż ludzi księgi.* Str. 215. Wyd. W.A.B., Warszawa 1996.

FINK (Ida). *Ślady.* Str. 204. Wyd. W.A.B., Warszawa 1996.

DOMAGAŁA (Bożena). *Polski Narodowy Kościół Katolicki – herezja, ruch narodowy czy ruch społeczny.* Str. 198. Zakład Wydawniczy NOMOS, Kraków 1996.

POÉSIE PREMIÈRE, Nr 7, wiosna 1997. Str. 102. Wyd. ÉDITINTER, Soisy-sur-Seine.

MARCOL (Alojzy). *Josepha Wittiga teologia narratywna.* Studium historyczno-krytyczne. Str. 300. Wyd. Wydział Teologiczny Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1997.

PUCHTICKA (Daria). *Križanij cwit.* Poezii. Str. 311. Nakładem Autora, Detroit.

Czełowek i mesto. Józef Czapski k 100-letju so dnia rożdenia. Katalog wystawy w Muzeum Anny Achmatowej w Sankt Petersburgu, 12.11-15.12.1996.

NOWAKOWSKI (Marek). *Fortuna liliputa.* Str. 436. Wyd. ALFA, Warszawa 1997.

FURET (François). *Przeszłość pewnego złudzenia.* Esej o idei komunistycznej w XX w. Str. 613. Oficyna Wydawnicza VOLUMEN, Warszawa 1996.

HERLING-GRUDZIŃSKI (Gustaw). *Dziennik pisany nocą 1989-1992.* Str. 492. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1997.

SCHOLEM (Gershom). *Mistycyzm żydowski i jego główne kierunki.* Str. 519. Wyd. CZYTELNIK, Warszawa 1997.

CHORABIK (Marek). *Blisko prawdy.* Str. 49. Wyd. MARABUT, Gdańsk 1997.

KOŁAKOWSKI (Leszek). *Mini wykłady o maxi sprawach.* Str. 108. Wyd. ZNAK, Kraków 1997.

CZAPSKI (Józef). *Tumult i widma.* Str. 427. Wyd. ZNAK, Kraków 1997.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

8.9.97
Wydawnictwo „Kontur" w Tczewie wydało mapkę poglądową pt. „Wolne Miasto Gdańsk" zawierającą dwujęzyczne nazwy miejscowości (polskie i niemieckie).

12.9.97
Jury pierwszego konkursu na polską powieść, ogłoszonego przez Klub „Świat Książki" i wydawnictwo „Zysk i s-ka" przyznało nagrodę główną p. Hannie Kowalewskiej za powieść „Tego lata w Zawrociu". Nagroda wynosi 15 tys. zł. Ponadto przyznano dwa wyróżnienia: Leonowi Pawlikowi za powieść „Ankara" oraz Remigiuszowi Spólnemu za powieść „Walka z przeznaczeniem". Wyróżnienia wynoszą po 3 tys. zł każde.

18.9.97
Zmarł w Warszawie w wieku 56 lat Jacek Żochowski, minister zdrowia, wybitny kardiolog.

ZACHÓD

27.6.97
We Fryburgu została założona fundacja „Archivum Helveto-Polonicum" przez p. Jacka Sygnarskiego. Jest ona oparta na jego ogromnych zbiorach. Głównym celem fundacji jest gromadzenie, opracowywanie wszelkiego rodzaju dokumentów obrazujących pobyt i działalność Polaków na terenie Szwajcarii. W najbliższym czasie ukaże się specjalna broszura z informacjami o celach fundacji i planach na przyszłość.

7.9.97
Z inicjatywy stowarzyszenia *Polish Heritage Association of Maryland* odbyło się sympozjum dla uczczenia pamięci Polaków, którzy w okresie okupacji hitlerowskiej pomagali Żydom w walce o przetrwanie. Ks. kardynał Wiliam Keeler odczytał błogosławieństwo papieskie dla uczestników uroczystości. W sympozjum wystąpili: senator Barbara Mikulski, która odczytała list od prezydenta Clintona, dr John Kromkowski, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Katolickim w Waszyngtonie, Zofia Korbońska, żona wybitnego działacza polskiego Stefana Korbońskiego, dr Richard C. Lukas. Ambasadę polską reprezentował minister Andrzej Jaroszyński. Przewodniczącym komitetu uroczystości był Stanisław Bask-Mostwin.

13.9.97
W Lailly-en-Val we Francji miały miejsce uroczystości z okazji 40-lecia domu spokojnej starości Polskiego Funduszu Humanitarnego oraz zakończenia III Warsztatów Artystycznych im. Józefa Czapskiego. W uroczystościach wzięli udział ambasador RP Stefan Meller oraz przedstawiciele władz francuskich.

18.8.97
W Instytucie Polskim w Paryżu odbył się wernisaż wystawy grawiur z Krakowa i Norymbergii – 11 artystów niemieckich i 8 artystów polskich.

26.9.97
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbyło się II Sympozjum Biografistyki Polonijnej „Polacy w cywilizacji świata – biografie emigrantów – portret zbiorowy".

2.10.97
W Stacji Naukowej PAN w Paryżu p. Lidia A. Sirenko z Ukraińskiej Akademii Nauk w Kijowie wygłosiła odczyt pt. „Dziesięć lat po katastrofie w Czernobylu". Zebraniu przewodniczył Jędrzej Bukowski, b. konsul generalny w Lille.

4.10.97
W Londynie odbyły się uroczystości związane z obchodami 50-lecia Fundacji i Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas. Dorobek wydawniczy Veritasu obejmuje ponad 500 pozycji. Dyrektorem wydawnictwa jest p. Tomasz Wachowiak. ● Dowiadujemy się, że pan Jan Sienkiewicz, jeden z czołowych działaczy Związku Polaków na Litwie i poseł na sejm litewski, oświadczył na łamach *Kuriera Wileńskiego*, że z władzami litewskimi może dyskutować jedynie o autonomii terytorialnej „chociażby na wzór tej, jaką ostatnio uzyskała Szkocja i do jakiej dąży Walia". Oświadczenie to nastąpiło w dwa tygodnie po wileńskim „szczycie prezydentów", na którym współzapraszającym był prezydent RP. Jest to ze strony pana Sienkiewicza nie pierwsza prowokacyjna próba zaognienia stosunków polsko-litewskich. Trzeba jeszcze dodać, że pan Sienkiewicz cieszy się poparciem naszego konsula generalnego na Litwie oraz korzysta z pomocy i poparcia „Wspólnoty Polskiej".

Z ostatniej chwili

III Rzeczpospolita po trzecich wyborach

I

W ciągu ostatnich ośmiu lat mieliśmy już trzy razy wybory parlamentarne. W wyborach z 1991 roku zwyciężyły ugrupowania prawicowe, lecz były tak skłócone, że po dwóch latach w 1993 roku musiały się odbyć następne wybory. Zwyciężyła w nich lewica, która jednak miała ten feler, że składała się z postkomunistycznej SLD i z PSL, które było także nie najlepiej urodzone, bo wywodziło się ze Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, czyli dawnego sojusznika PZPR. Mimo tych koneksji przeszłościowych małżeństwo SLD i PSL było od początku nieudane. Zaważyła na tym najpierw rywalizacja między Aleksandrem Kwaśniewskim i Waldemarem Pawlakiem. Tak się złożyło, że obaj ci panowie odwiedzili mnie w kilka dni po wyborach. Kwaśniewski spóźnił się pół godziny i przyszedł, gdy Pawlak już zbierał się do wyjścia. Kwaśniewski zdążył jeszcze przeczytać kilka nazwisk osób, które widziałby w przyszłym rządzie. Zaczął od Waldemara Pawlaka i powiedział: „ty Waldek powinieneś być pierwszym wicepremierem", co Pawlak zrozumiał, że premierem zamierza być sam Kwaśniewski. Odpowiedział: „Ty Olek spóźniłeś się ponad pół godziny, a ja już jestem umówiony i muszę panów przeprosić". Następnie opuścił nas, uprzejmie

się pożegnawszy. Było oczywiste, że Pawlak myślał o funkcji premiera, którą rzeczywiście uzyskał. Mimo to sojusznicy nie byli i później w dobrej komitywie. Klub SLD był o około 40 posłów większy w Sejmie od klubu PSL. Starał się więc nadawać ton i forsować swoją linię polityczną. Ludowcy nazywali to z przekąsem: „towarzysze chcą nadal nami rządzić". Z drugiej strony premier Pawlak był mało uchwytny i nowi sojusznicy zaczęli mieć coraz większe trudności we wzajemnym konsultowaniu się. Bodaj po roku nastąpiło nocne spotkanie obu klubów parlamentarnych zwycięskich partii, które nieco je zbliżyło. Pozwoliłem sobie na tym nocnym spotkaniu powiedzieć, że jest jeszcze trzeci partner w tej grze, a mianowicie prezydent Lech Wałęsa. Miał on chorobliwą żądzę władzy, proporcjonalną do braku kompetencji, lecz przyczyniał się do konfliktów między koalicjantami. W końcu Pawlak w akompaniamencie afery miłosnej i finansowej musiał opuścić fotel premiera. Obsadził go jednak nie Kwaśniewski, lecz najpierw Józef Oleksy, a po nim Włodzimierz Cimoszewicz, który, moim zdaniem, jest najlepszy z wymienionych trzech premierów.

Sojusz SLD z PSL był w ogóle dość trudny, bo nowi socjaldemokraci kontynuowali linię Balcerowicza z pewnymi osłonami socjalnymi, a nowi ludowcy mieli przede wszystkim na uwadze politykę rolną. Jedną z głównych różnic między tymi partiami była sprawa administracji terenowej, do dzisiaj nie rozstrzygnięta. SLD chciało powiatów, a PSL miało wielu wójtów i wojewodów i było przeciwne powiatom. Główny spór dotyczył naturalnie polityki rolnej.

Ale PSL odwołał ministra rolnictwa Jagielińskiego głównie z powodu jego osobistych napięć z prezesem Pawlakiem. O PSL powszechnie mówiono, że chciało być w rządzie i jednocześnie w opozycji i było to prawdą. Piszę o tym przedawnionym już sporze, lecz zaważył on na ostatnich wyborach z 21 września 1997 roku. PSL wyszedł z nich pogruchotany, a SLD stracił pozycję największej partii w parlamencie. Władza wróciła znów do prawicy, która przynajmniej pozornie, w pewnej tylko mierze, zdołała się zjednoczyć z AWS. AWS nie będzie jednak w stanie sprawować władzy bez koalicjanta, a do tej roli najlepiej pasuje Unia Wolności, która niespodziewanie zdobyła tyle

głosów, że znajdzie się w nowym Sejmie na trzecim miejscu. Jej sojusz z AWS będzie jeszcze trudniejszy niż koalicja SLD z PSL, ponieważ UW jest nastawiona liberalnie, a w AWS jest silne skrzydło nacjonalistyczne, a także chadeckie i konserwatywne.

W szkicu tym nie chodzi o przyszłą koalicję rządową w Polsce, która będzie rodziła się w bólach i to dość długo. Chcę natomiast zwrócić uwagę, że po raz trzeci od upadku komunizmu odbyły się w Polsce wybory parlamentarne i nikt ani w kraju, ani na szerokim świecie nie ma najmniejszej wątpliwości, że były to wybory spokojne i demokratyczne. Można więc krytycznie oceniać rządy dwóch poprzednich koalicji i można mieć wątpliwości, czy sojusz jaki powstanie po tych wyborach będzie w miarę przyzwoity politycznie i sprawny w rządzeniu, lecz nie można mieć wątpliwości, że po trzech wyborach parlamentarnych demokracja w Polsce jest nie tylko założeniem, lecz także faktem i praktyką. SLD nie przejawiła po wyborach najmniejszego gestu, dowodzącego, że chce pogwałcić zasady państwa prawa. Przy wszystkich naszych słabościach i śmieszności nikt nie jest w stanie zakwestionować, że III Rzeczpospolita jest państwem demokratycznym. Myślę, że Polska po prostu sama, bez ustaw dekomunizacyjnych, wyzwoliła się z wszelkich postaw totalitarnych. Pozostał nam tylko przykry zwyczaj pomawiania ludzi o komunizm, czy serwilizm wobec poprzedniego ustroju, lecz prawda jest taka, że wszyscy Polacy, w tym lewica, odrodzili się. Myślę zresztą, że nic tak nie zmienia poglądów jak fakty. A fakty przekonały całe społeczeństwo o wyższości ustroju rynkowego i demokratycznego.

II

Nie znaczy to, by w Polsce działo się dobrze. Minione osiem lat przyniosło olbrzymi rozwój gospodarczy, ale sytuacja materialna prawie połowy społeczeństwa jest katastrofalna. Szokowa terapia Balcerowicza zainicjowała szybki rozwój i poważne przemiany cywilizacyjne, lecz dała w efekcie ponad trzy miliony bezrobotnych, początek znacznego spadku przyrostu naturalnego ludności i sytuację, w której połowa

ludności znalazła się na granicy ubóstwa, a nawet nędzy. Balcerowicz właśnie budował amerykański, a nie europejski model gospodarki rynkowej. W wyniku tego po czterech latach doszła do władzy lewica, która przestała już być komunistyczna, lecz ciągnęła za sobą część kadr dawnej PZPR, plasowała je w administracji państwowej i w gospodarce. Lewica ta zaczęła dbać o kondycję materialną społeczeństwa. W ciągu czterech lat swych rządów zmniejszyła bezrobocie o ponad milion osób, wpuściła zachodni kapitał inwestycyjny, utrzymała dalszy rozwój kraju i mogła pochwalić się stale rosnącym PKB, czyli Produktem Krajowym Brutto. Jest to wskaźnik, który zachodnie instytucje finansowe uważają za kluczowy dla oceny kraju. Lewica nie poradziła sobie natomiast z rozwojem budownictwa mieszkaniowego. Rosły wielkie i wysokie gmachy hoteli i banków, lecz mieszkań nie przybywało i nadal prawie połowa społeczeństwa żyła na granicy minimum socjalnego. Obok fatalnej polityki mieszkaniowej lewica dopuściła do masowego zalewu Polski przez zachodni przemysł samochodowy, nie troszcząc się jednocześnie o konieczną naprawę dróg i mostów, nie mówiąc już o autostradach, które nadal stanowią ekscytujący projekt, lecz jego realizacja jest odległa. Podsumowując to najkrócej, lewica złagodziła najokrutniejsze konsekwencje polityki gospodarczej Balcerowicza, utrzymała gospodarczy rozwój kraju, lecz nie udało się jej doprowadzić do tego, by rozwój ten był harmonijny.

Lewica też konsekwentnie kontynuowała ideę wejścia Polski do NATO i Unii Europejskiej. W czasie tegorocznej wizyty prezydenta Clintona w Warszawie otrzymaliśmy praktycznie zaproszenie do rozmów z NATO w sprawie naszego przyjęcia do sojuszu. Mamy względnie poprawne stosunki z Rosją, a zarazem udało się osiągnąć daleko idące zbliżenie z Ukrainą, Litwą i innymi państwami bałtyckimi, które zdają się widzieć w Polsce protektora ich wejścia do wspólnot euroatlantyckich. Kiedy już mamy sporą pewność, że my sami wejdziemy do tych wspólnot, to powinniśmy kłaść większy nacisk, by zarazem stawać się pomostem pomiędzy Wschodem i Zachodem. Zresztą ludzie zorientowani mówią już w Warszawie, że lewica postpezetpeerowska po prostu zaczęła realizować znaną od wielu dziesięcioleci linię Jerzego Giedroycia. Byle tak dalej.

III

Tak zwana II Solidarność, czyli AWS, wygrała wybory i w sposób zdecydowany odsunęła od władzy socjaldemokratów o rodowodzie PRL-owskim. Ale ci socjaldemokraci zajęli drugie miejsce w wyborach, a nawet zwiększyli swój elektorat o 6 procent, co w jakiejś mierze relatywizuje ich przegraną. Jest to przegrana moralna w wyborach demokratycznych, w których wyborcy najczęściej zmieniają ekipę rządzącą, nie jest to zaś bynajmniej klęską SLD, bo póki co nie ma w Polsce jego lewicowej alternatywy. Prawica zaś, która stała się największą siłą polityczną w Polsce, nie jest jednorodna, składa się z wielu różnych odłamów, które dopiero oparłszy się o struktury związku zawodowego „Solidarność" zdołały się „zjednoczyć" i nazwać: Akcją Wyborczą Solidarność. W tych okolicznościach wyrósł na przywódcę Marian Krzaklewski, który z pewnością jest człowiekiem inteligentniejszym od Wałęsy, lecz nie wydaje się reprezentować szerszych horyzontów intelektualnych. Jest raczej typowym przywódcą związkowym.

Pamiętam taki obrazek telewizyjny, gdy Wałęsa wygrał w 1990 roku wybory prezydenckie, zapytano go zaraz, kogo widzi na swoim miejscu jako przewodniczącego „Solidarności". Wałęsa bez wahania podszedł do Bohdana Borusewicza i posadził go na swoim dotychczasowym fotelu. Mawiał potem, że Borusewicz był jego mentorem. Jednak na kolejnym zjeździe po odejściu Wałęsy właśnie Marian Krzaklewski okazał się tzw. czarnym koniem i wbrew przewidywaniu związkowej elity z Gdańska, został wybrany przewodniczącym związku, choć pochodził ze Śląska, Krzaklewski ma więc walory przywódcze.

Trzecie miejsce na liście zwycięzców wyborów zajęła raczej niespodziewanie Unia Wolności, która w dużej mierze zawdzięcza to prof. Leszkowi Balcerowiczowi, mającemu poważne uznanie wśród ekonomistów, zwłaszcza amerykańskich. UW wysuwa Balcerowicza na premiera, lecz Krzaklewski sam do tego stanowiska nie aspirując, nie chce go oddać Balcerowiczowi. Ten ostatni jest postrachem dla związkowców, lecz myślę, że od czasu swojej „szokowej terapii", która

przyniosła rozwój gospodarczy, ale także bezrobocie i wielką biedę, profesor poważnie się zmienił. Jest bardzo ciekawe, że prezydent Aleksander Kwaśniewski daje do zrozumienia, że byłby za uzgodnieniem przez partie właśnie osoby Balcerowicza. Jest to logiczne, bo SLD w czasie swoich czteroletnich rządów do pewnego stopnia kontynuowało linię Balcerowicza, nieco ją łagodząc i dając pewną osłonę socjalną przynajmniej części pracobiorców. I dla tego właśnie SLD znalazło się w ostatnich wyborach na drugim miejscu. Jednakże główny zwycięzca Krzaklewski boi się liberalizmu Balcerowicza i lansuje mało znanego ekonomistę prof. Buzka, który jednak nie ma poważnych szans, żeby zostać premierem Polski.

Ponieważ Kwaśniewski wyznaczył pierwsze posiedzenie nowego sejmu na 20 października, więc na utworzenie rządu obaj realni koalicjanci mają jeszcze sporo czasu, przeszło trzy tygodnie. Nikomu się nie spieszy, bo spokojnie rządzi i właśnie opracowuje budżet na przyszły rok dobry rząd Cimoszewicza. W Polsce nie ma żadnego napięcia, ani wielkich emocji. Lewica w dużej mierze kontynuowała rządy solidarnościowe, a „druga" Solidarność będzie musiała, moim zdaniem, mimo pewnych różnic programowych, kontynuować rządy socjaldemokratów. Wielkimi przegranymi ostatnich wyborów jest Polskie Stronnictwo Ludowe, które płaci wysoki rachunek za przyzwalanie Waldemarowi Pawlakowi na destabilizację sceny politycznej, za rzekomy spryt pozostawania w rządzie i zarazem kokietowania opozycji. Jeśli PSL nie zmieni lidera, może to oznaczać koniec partii chłopskiej w Polsce. Zawsze od wejścia do poprzedniego sejmu mówiłem, że jest czas na tworzenie partii ogólnonarodowej i zerwanie z partią klasową chłopów. Drugim wielkim przegranym jest ROP mecenasa Jana Olszewskiego (mającego piękną kartę jako obrońca więźniów politycznych PRL), lecz potem nie umiejący być pojednawczym i kompromisowym, nawet wobec grup i ludzi, którzy mecenasa poważali. Niestety nie znosił on najmniejszej uwagi krytycznej. I tak m.in. stał się moim wrogiem, choć go zawsze darzyłem wielkim szacunkiem.

Prawica jako główny władca Polski budzi mój niemały niepokój. Boję się jej wewnętrznego zróżnicowania i wynikających z tego konfliktów. Boję się jej nadgorliwości

katolickiej, bo katolicyzm i polityka stanowią dwie całkiem odrębne dziedziny. Boję się jej dążenia do zmiany uchwalonej niedawno konstytucji R.P., która była wynikiem kompromisu, i to bardzo szerokiego społecznie. A powrót do targów o zmianę konstytucji może doprowadzić do wielkiej wewnętrznej waśni w Polsce, która także będzie trwała w parlamencie i może doprowadzić do jego przedwczesnego rozwiązania. Apeluję więc o umiar polityków prawicy. Główną cnotą chrześcijańską – jest cnota roztropności.

23 września 1997 r.

Andrzej MICEWSKI

Listy do Redakcji

Lidzbark Warm. 01.08.1997

Szanowny Panie Redaktorze,

Z ogromną radością przeczytałam informację w piątym numerze z 1997 roku *Kultury* o „obiedzie czwartkowym" poświęconym Józefowi Czapskiemu, jest bardzo sympatycznie zredagowana. Zakradł się do niej jednak błąd – organizatorem „obiadów" jest od zawsze Biblioteka Pedagogiczna w Lidzbarku Warmińskim. Spotkanie poświęcone Józefowi Czapskiemu było także zorganizowane przez Bibliotekę. Dużą pomoc okazał nam Pan Marek Krawczyk, za co jesteśmy mu bardzo wdzięczni.

Lidzbarski Dom Kultury jest organizatorem „Biesiad humoru i satyry", które także są szeroko znane.

Bardzo proszę o zamieszczenie tego sprostowania w *Kulturze.*

Z wyrazami szacunku

Krystyna ORŁOWSKA-WOJCZULANIS

●

Czcigodny Panie Redaktorze!

Przeczytałem Pańską notkę w numerze 7/8 *Kultury* i pragnę donieść, że pod kierownictwem prof. Mariana Wojciechowskiego jestem w trakcie pisania, jako doktorant Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, biografii politycznej prof. S. Kota jako rozprawy doktorskiej. Pracę tę zamierzam ukończyć w końcu br.

Jednocześnie informuję, że w dniach 12-13 grudnia br. na Uniwersytecie Jagiellońskim odbędzie się dwudniowa sesja naukowa poświęcona osobie i działalności prof. Kota.

Łączę wyrazy najgłębszego szacunku

Tadeusz Paweł RUTKOWSKI

●

Warszawa, dnia 27 sierpnia 1997 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z Pańskimi refleksjami na temat Stanisława Kota („Notatki Redaktora", *Kultura,* nr 7/598-8/599, s. 187-188), pragnę uprzejmie poinformować, iż wspomniany przez Pana artykuł W. Weintrauba o Kocie (*nota bene* jego przedruk z *Kultury* ukazał się w książce: W. Weintraub, „O współczesnych i o sobie. Wspomnienia, sylwetki, szkice literackie", oprac. S. Barańczak, Kraków 1994) nie jest jedynym, jaki został poświęcony temu wybitnemu badaczowi dziejów polskiej reformacji. Obszerne, bo liczące aż 88 stron druku studium, poświęcił Kotowi jego uczeń, Henryk Barycz. Nosi ono tytuł: „Stanisław Kot – życie i dzieło", stanowi zaś wstęp do prac zebranych tegoż autora, „Polska złotego wieku a Europa. Studia i szkice", Warszawa 1987. Tom ten, liczący ponad 900 stron druku, nie objął jednak prac S. Kota poświęconych reformacji w związku z czym w swoim artykule recenzyjnym („Stanisława Kota powrót z emigracji", *Polityka*, nr 17 z r. 1988) postulowałem szybkie ich wydanie w osobnym tomie.

Wypisy i notatki Kota, znajdujące się w jego archiwum (obecnie w Bibliotece Jagiellońskiej), publikuje systematycznie Z. Pietrzyk, który ostatnio ogłosił także korespondencję S. Kota z Markiem Wajsblumem. Pański projekt opublikowania księgi pamiątkowej na 25-lecie śmierci Stanisława Kota uważam ze wszech miar za zasługujący na realizację. Warto może przypomnieć, iż księga taka ukazała się w Warszawie, w r. 1949 pod tytułem: „Studia z dziejów kultury. Książka zbiorowa" (nakład: Gebethner i Wolff). Ponieważ jednak cenzura usunęła stosowną dedykację, wstęp i bibliografię prac, więc tylko wtajemniczeni wiedzą, iż wybite czerwoną farbą na okładce litery „S" i „K" sygnalizują, że miała to być księga poświęcona Stanisławowi Kotowi...

Z poważaniem

Janusz TAZBIR

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.K.G., Będzin – Zwalczanie emancypacji przez same kobiety jest z pewnością, jak Pani pisze, problemem „bardzo aktualnym", choć też i dyskusyjnym, ale nie da się go rozwiązać pisaniem słabych wierszy.

Anna B., Polska – Utwory Pani, skądinąd sympatyczne, są artystycznie naiwne.

J.H.G., Kraków – Sam Pan określił swój stosunek do własnego pisania określając je jako „twórczość" (w cudzysłowie).

E. Głowacki, Londyn – Przesłanych wyjaśnień nie zamieszczę, gdyż jak zaznaczyliśmy w 120 numerze *Zeszytów Historycznych*, polemikę w sprawie p. Z. Starosteckiego uważamy za zamkniętą.

KSIĄŻKI

Mariusz Wilk: *Bestseller o Stalinie* 126
Florian Śmieja: *Dwa spotkania* 131
Kazimierz Zamorski: *W przyjacielskim klimacie* 134
Leszek Szaruga: *Nie napisana książka* 144
– *Nadesłane nowości wydawnicze* . 147

●

– *Wydarzenia miesiąca* 149

Z OSTATNIEJ CHWILI

Andrzej Micewski: *III Rzeczpospolita po trzecich wyborach* 151

K. Orłowska-Wojczulanis,
T.P. Rutkowski, J. Tazbir: *Listy do Redakcji* 158
– *Odpowiedzi Redakcji* 159

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4ème trimestre 1997.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:
Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obł.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04
Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1997		
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: **Barbara Malak-Minkiewicz**, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260,fax: (613) 789-1051; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	$ can.13,00	$ can.75,00	$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. **PG-KONTO 614 87 10-4.**	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; **POLONIA Bookstore,** 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books**, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»**, 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru – F 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSŁAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA" (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE" (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464 **Cena F. 200,00**

●

Tom 500 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT
STO DWUDZIESTY PIERWSZY

zawiera opracowania: A. Grzywacz: *Wojna obronna Polski 1939 roku w relacji polskiego sztabowca;* **K. Bieniecki:** *Współpraca SOE z NKWD i Polacy;* **T. Wyrwa:** *Studium Polski Podziemnej w Londynie;* **A. Ziółkowska Boehm:** *„Złamana strzała". (Rozmowa z Januszem Żurakowskim, legendarnym „Żurą", pilotem Bitwy o Anglię i Arrow);* **R. Socha:** *Wszystkie teczki „Bolka"; Marszałek Rydz-Śmigły a Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Proces Taterników; Deklaracja polsko-ukraińska z 1979 r. na tle historycznym Relacja o śmierci Marszałka Piłsudskiego; Zaznałam w życiu tyle dobroci. (Z Mychajłyną Kociubyńską rozmawiają Bogumiła Berdychowska i Aleksandra Hnatiuk);* **Z T. Wierzbicki:** *Antoni Peretiatkowicz 1884-1956;* **T. Wyrwa:** *Od Napoleona do De Gaulle'a;* **E. Halicz:** *Problem Niemcy-Polska;* **T. Mianowicz:** *Oceny i zalecenia: Wizyta Michaiła Susłowa w Warszawie w kwietniu 1981 r.;* **M. Rudzki:** *Winietki drugiej okupacji i emigracji;* **J. Słubicki:** *Katedra historii Polski na Kanadyjskim Uniwersytecie* **oraz LISTY DO REDAKCJI.**

Str. 240 **Cena F. 90,00**

Cena 55 F

I.N., 93400 St-Ouen - 2158 - 1997